REDAGUJE
PROFESOR
JAN ŻARYN



wSIECI

Nr 7–8 (86–87)
LIPIEC–SIERPIEŃ 2020
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

100. ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ

TRIUMF 1920

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803







Dziękujemy,
że jesteście z nami!

Redakcja SIECI





Zamów e-prenumeratę SIECI

NAWET 50% TANIEJ!

WEJDŹ NA: **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl bb51fa83aa

WIARA W CUDA PRZYNOSI ZWYCIĘSTWA

Naród polski niejednokrotnie doświadczał prawdziwości powyższych słów. Nasza wiara w możliwość nastania radykalnej zmiany w podłym położeniu sprawy polskiej w XIX w. wzmacniała i dodawała skrzydeł tak powstańcom, jak i społecznikom czy kapłanom broniącym ludu Bożego przed nachalną, protestancką germanizacją czy prawosławną rusyfikacją. Katolicyzm wyróżniał Polaków tak mocno, że w chwilach grozy bądź uniesienia wznosiliśmy modły o pomoc lub oddawaliśmy Matce Najświętszej należne dziękczynienia. „W przeddzień Święta Wniebowzięcia kościoły [stolicy] wypełniły się wiernymi, którzy wznosili do Matki Boskiej modły o ratunek" – pisał w swej pracy o Warszawie w 1920 r. Adam Zamoyski. A sytuacja była fatalna; jeszcze 14 sierpnia: „Czołowe jednostki rosyjskie znajdowały się już niecałe dwadzieścia kilometrów od Warszawy, a według krążących plotek na przedmieściach widywano patrole kozackie". Bolszewicy jak szarańcza lub potop zbliżali się tak od wschodu jak niegdyś Suworow, i od północy, okrążając miasto, jak Paskiewicz. Nikt nie był w stanie powstrzymać tej rzeszy obdartych, gwałcących i niszczących mienie podludzi, za którymi pyszni przywódcy już drukowali odezwy nowej władzy zainstalowanej rzekomo w starodawnym mieście Warsa i Sawy. Pozostała jedynie modlitwa! Czyli wiara, że choć po ludzku zrobiliśmy wszystko, co zrobić można, to przecież tylko Opatrzność jest w stanie odwrócić nadciągającą nieuchronność. Modlono się zarówno w świątyniach warszawskich, jak i na Jasnej Górze, ale także w całej chrześcijańskiej Europie, na wezwanie episkopatu Polski i papieża Benedykta XV. Modlono się w Lourdes, modlono się w Rzymie na prośbę papieża, a nawet w Belgii, za sprawą jednego z najwybitniejszych autorytetów Kościoła – kardynała Desire Josepha Merciera (1851–1926). W czasie I wojny światowej, gdy władze opuściły swoją ojczyznę, stanął on na czele antyniemieckiego ruchu oporu, a po zwycięskiej wojnie Polaków z bolszewikami w dowód wdzięczności za szczerą modlitwę został przez państwo polskie obdarzony najwyższym odznaczeniem, Orderem Orła Białego (w 1921 r.).

Dziś, w świecie zarządzanym przez racjonalistów, trudno uwierzyć niektórym, że modlitwa i wiara czynią historię! Tacy jesteśmy ułomni. W cyklicznym dodatku IPN-owskim w naszym miesięczniku przywołujemy wydarzenia dużo bliższe chronologicznie. W lipcu i w sierpniu 1980 r. robotnicy rozpoczęli falę strajków, które doprowadziły do powstania blisko 10-milionowego ruchu społecznego Solidarność. Jak pisze prezes IPN dr Jarosław Szarek w artykule wstępnym: „Na łamach gdańskiego »Bratniaka« podkreślano [wówczas], że dla robotników słowa »Polska« i »naród« są wprawdzie realnymi wartościami, rozważano jednak, »czy wystarczy to, aby podjęli walkę w imię całego narodu, w interesie wszystkich Polaków«". Przebieg gdańskiego Wielkiego Strajku szybko przekreślił te inteligenckie lęki". Mija 40 lat od tamtych dni i tygodni. Niezależne Samorządne Związki Zawodowe powstawały w walce pokojowej z systemem – słusznie nazwanym Imperium Zła – na gruncie wiary, pod krzyżem w stoczni i przy portrecie papieża Polaka Jana Pawła II. Choć w szeregach Solidarności odnajdziemy ludzi różnych poglądów i wyznających różne religie, ku zaskoczeniu zachodnich obserwatorów w 1980 r., to jednak dominujący nurt miał wyraziste oblicze narodowe. Na ziemi polskiej powstawał związek zawodowy, robotniczy odwołujący się do Boga i Matki Boskiej w Jej jasnogórskim wizerunku. Obyliśmy się bez ideologii lewicowych i ich nosicieli, trockistów, socjalistów-reformatorów i miłośników luksemburgizmu, nadającym ton zachodnim centralom związkowym, walczącym w tym czasie z rzekomo antyludzkim kapitalizmem. Wystarczyła nam nauka społeczna Kościoła, której nosicielem stał się najpierw Prymas Tysiąclecia, a potem św. Jan Paweł II.

Ten ostatni miał rację, gdy do jednych mówił, a innym przypominał w czerwcu 1979 r., że nie sposób zrozumieć Polaków oraz naszej historii bez Chrystusa i obecności Jego Matki w naszych dziejach. A kiedy ktoś próbuje udawać, że rozumie, to prędzej czy później przegrywa. Bo cuda się zdarzają i odzyskujemy niepodległość.

JAN ŻARYN



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl



HISTORIA



SOLIDARNOŚĆ

10 NA ZACHODZIE Z UPŁYWEM CZASU POSTRZEGA SIĘ WOJNĘ POLSKO-SOWIECKĄ I BITWĘ WARSZAWSKĄ JAKO NIEZNACZĄCY KONFLIKT NA PERYFERIACH EUROPY, KTÓRY SPROWOKOWALI POLACY – WSKAZUJE MAREK KORNAT

30 PRZYWRACAJĄC ZAKŁAMANĄ PRZEZ KOMUNISTÓW PRAWDĘ HISTORYCZNĄ, NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" BUDOWAŁA TOŻSAMOŚĆ I SIŁĘ RUCHU, KTÓRY W OSTATECZNYM ROZRACHUNKU PRZYNIÓSŁ NIEPODLEGŁOŚĆ – PISZE JAROSŁAW SZAREK

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

9 MIĘDZYMORZE: POD SZTANDAREM FEDERACJI
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 ZWYCIĘSTWO, KTÓREGO EUROPA NIE UZNAŁA ZA SWOJE
MAREK KORNAT

16 NIEMIECKIE POLETKO LENINA
WOJCIECH OSIŃSKI



19 GDAŃSK W CZASIE WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ
DANIEL CZERWIŃSKI

22 PRASA FRANCUSKA WOBEC BITWY WARSZAWSKIEJ
JOANNA METZGER



24 BOLSZEWICKA APOKALIPSA I TRIUMF POLSKIEGO DUCHA
MACIEJ GLOGER

27 WOJOWNIK ZE ZBARAŻA
ANDRZEJ FEDOROWICZ

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

30 1980–2020 SOLIDARNOŚĆ – „W IMIĘ CAŁEGO NARODU"
ZESPÓŁ HISTORYKÓW IPN

WEHIKUŁ CZASU

38 LIPIEC, SIERPIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

42 SYNOD ZAMOJSKI
JACEK KROCHMAL



TAJEMNICE AAN

44 BEZPIEKA WOBEC KOBIET WYWIADU
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

DWA BRATANKI

46 PIERWSZA DYKTATURA PROLETARIATU NA WĘGRZECH
KÁROLY SZERENCSÉS

49 PÁL TELEKI – PREMIER, KTÓRY NIE UWAŻAŁ SIĘ ZA POLITYKA
BALÁZS ABLONCZY



52 WĘGRZY POLAKOM 1918–1921
ENDRE LÁSZLÓ VARGA

FELIETONY

55 1949 – ANDRIEJ WYSZYNSKI AWANSUJE
PAWEŁ SKIBIŃSKI

75 KRESOWY KATOLICYZM
GRZEGORZ GÓRNY



85 TATARKIEWICZ
ANTONI DUDEK

85 22 CZERWCA – O DNIU ÓW
RYSZARD CZARNECKI

89 DZIECIAKI ZE LWOWA
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

95 MÓJ TELE-RANKING
MAREK JUREK

98 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

DUSZA KONTUSZA

56 JAN JANUSZOWSKI – MIESZCZANIN SZLACHCICEM
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

59 PROKURATOR Z PASJĄ
ELŻBIETA ROMANOWSKA

62 OPOWIEŚCI O POLSKIM PIWIE
MARCIN WIŚNIARSKI

eprasa.pl bb51fa83aa



64 W DWUDZIESTOLECIU MIĘDZYWOJENNYM MÓWIONO O NIM „PAPIEŻ POLAKÓW". PIUS XI ZAWDZIĘCZAŁ TEN PRZYDOMEK SWOJEMU OSOBISTEMU, WRĘCZ EMOCJONALNEMU, STOSUNKOWI DO POLSKI. TA RELACJA NIE ZAWSZE JEDNAK NALEŻAŁA DO NAJŁATWIEJSZYCH – OCENIA RAFAŁ KOWALCZYK

FOT. ARCHIWUM IPN, NAC

IDMN

64 **Z WATYKANU NAD WISŁĘ I Z POWROTEM**
RAFAŁ KOWALCZYK

67 **O OBROŃCACH ŻYCIA POCZĘTEGO W PRL**
MARTA CYWIŃSKA

NAC PREZENTUJE

70 **(NIE)UTRACONE**
KATARZYNA ZIELIŃSKA



POLONIA

72 **DUSZPASTERZ LITWINÓW W POLSCE NA CELOWNIKU SB**
KRZYSZTOF TARKA

ZIEMIAŃSTWO

76 **KSIĘŻNICZKA SUFRAŻYSTKA I INNI**
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI



WŁADCZYNIE

79 **KATARZYNA TELNICZANKA**
MAREK BARAŃSKI

NARRACJA USPL

80 **NA SYBIR**
MAREK JAN CHODAKIEWICZ



PEŁNA KULTURA

82 **WNIEBOWSTĄPIENIE PAŃSKIE W SZTUCE GOTYCKIEJ**
ERWIN JAN KOZŁOWSKI

84 **WOJNA W KINIE**
KAROL MAZUR



86 **W KRĘGU KLIO**
RAFAŁ ŁATKA

87 **...Z MARIUSZEM OLCZAKIEM**
ROZMAWIA RAFAŁ ŁATKA

DIABEŁ NIE MÓGŁ



90 **PIERWSZA DAMA ŻURNALISTYKI WILEŃSKIEJ**
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

92 **PROFESORSKIE WZORCE**
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

94 **MITSUBISHI G4M, CZYLI LATAJĄCE CYGARO**
KACPER GROCHOCKI

HISTORIA OKŁADKI

96 **NA FRONCIE BITWY WARSZAWSKIEJ**
MICHAŁ KORSUN

ZE ZBIORÓW MPW

99 **SZTYLET KOMANDOSA**
RAFAŁ BRODACKI



eprasa.pl bb51fa83da

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Bartłomiej Szyperski, bartlomiej.szyperski@fratria.pl
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Projekt okładki: Michał Korsun; Zdjęcie: Andrzej Wiktor; Rekonstruktorzy: Fryderyk Palonka-Manunza, Kacper Tarnowski (SGH Zgrupowanie „Radosław"), Jacek Gradus, Mateusz i Maciej Kacprzak, Bartłomiej i Julian Sasin (Stowarzyszenie Historyczno Edukacyjne im. 7 Pułku Lansjerów Nadwiślańskich). Podziękowania dla Grzegorza Krynickiego i Piotra Klaybora za pomoc przy realizacji sesji.

80. rocznica pierwszego transportu Polaków do Auschwitz

14 czerwca odbyły się obchody 80. rocznicy skierowania przez Niemców pierwszego transportu Polaków do niemieckiego nazistowskiego obozu Auschwitz. Uroczystości patronatem narodowym objął prezydent RP Andrzej Duda, a patronatem honorowym – minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. Od 2006 r. w dniu, w którym przypada ta rocznica, obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady. Główne uroczystości odbyły się w Muzeum Auschwitz-Birkenau. W tym roku, z uwagi na epidemię, wiele zaplanowanych wydarzeń, zwłaszcza wystawienniczych, odbyło się jednak w przestrzeni internetowej. Transmitowana była m.in. msza św. w Centrum Świętego Maksymiliana w Harmężach pod przewodnictwem bp. Romana Pindla oraz symboliczne upamiętnienie na terenie byłego obozu Auschwitz. W ramach obchodów przygotowano także wystawę internetową – „Pierwszy transport Polaków do Auschwitz – 14 czerwca 1940 r.", publikacje książkowe dostępne w internetowej księgarni Muzeum, w tym relacje więźnia z pierwszego transportu do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, dwie lekcje internetowe: „Pierwsi Polacy w Auschwitz" oraz „Wysiedlenia ludności polskiej i żydowskiej z Oświęcimia i okolicznych miejscowości w latach 1940–42", projekt edukacyjny „Obywatele polscy w KL Auschwitz", nagranie piosenki Katy Carr „Kommander's Car" poświęconej ucieczce z KL Auschwitz Kazimierza Piechowskiego. Materiały te dostępne są na stronie internetowej: 14czerwca.auschwitz.org.

Zob. także instalację wystawę przygotowaną w Warszawie przez artystę grafika Wojciecha Korkucia.



Upamiętnienie polskich Sprawiedliwych

4 czerwca Instytut Pileckiego uhonorował w Sterdyni 11 Polaków zamordowanych za ratowanie Żydów podczas okupacji niemieckiej w trakcie II wojny światowej. Odsłonięto tam już dziesiąty kamień w ramach projektu „Zawołani po imieniu", który rozpoczęto w czerwcu ub.r. Akcja ma na celu złożenie hołdu tym, którzy oddali życie za pomoc żydowskim bliźnim w czasach nieludzkiego terroru narzuconego przez niemieckiego okupanta. W uroczystości w Sterdyni wzięła udział m.in. wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Magdalena Gawin. Oddano tam hołd osobom, które zginęły na skutek niemieckiej obławy na uciekinierów z getta w Sterdyni oraz pomagających im mieszkańców Paulinowa i Starego Ratyńca.

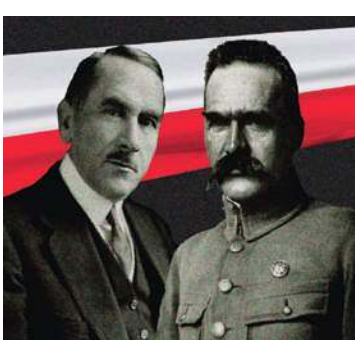


Roman Dmowski upamiętniony na warszawskiej Pradze

31 maja w kościele Matki Bożej Loretańskiej na warszawskiej Pradze została odsłonięta tablica upamiętniająca jednego z polskich Ojców Niepodległości Romana Dmowskiego. Przypomina ona, że to właśnie w tej świątyni przywódca Narodowej Demokracji przyjął 13 listopada 1864 r. sakrament chrztu św. W trakcie ceremonii o dorobku lidera endecji przypomniał prof. Jan Żaryn. Następnie przygotowaną tablicę poświęcił ordynariusz warszawskopraski bp Romuald Kamiński, który po zakończeniu uroczystości odprawił mszę św. w intencji Ojczyzny. Upamiętnienie Romana Dmowskiego nastąpiło z inicjatywy społecznego Komitetu, Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego, Stowarzyszenia Polska Jest Najważniejsza oraz Fundacji PGNiG.

Apel historyków i miłośników historii o szacunek i godne upamiętnianie Ojców Niepodległości

„W przededniu 100. rocznicy zwycięstwa nad nawałą bolszewicką apelujemy oraz prosimy o pamięć i należny szacunek dla Ojców Niepodległości, ze szczególnym uwzględnieniem dwóch z nich – Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Byli oni jednocześnie przywódcami dwóch najbardziej znaczących nurtów politycznych, które w największym stopniu przyczyniły się do odzyskania przez Polskę niepodległości. Z ich ideami utożsamiają się kolejne pokolenia Polaków, w tym także niżej podpisani" – napisali historycy i miłośnicy historii inicjujący apel o szacunek oraz godne upamiętnienie Piłsudskiego i Dmowskiego. Wśród sygnatariuszy dokumentów znaleźli się m.in.: redaktor naczelny „wSieci Historii" i dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn, prof. Bogdan Musiał, prof. Marek Kornat, prof. Andrzej Nowak, prof. Paweł Skibiński, prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, red. Piotr Gursztyn i wielu innych. Apel można wesprzeć poprzez złożenie swojego podpisu na adres: kontakt@idmn.pl.



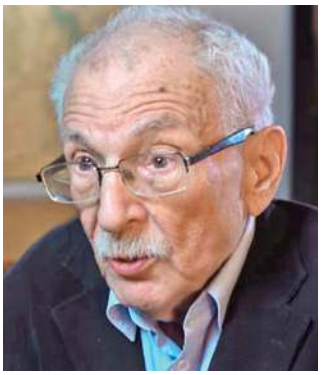
FOT. MAT. PRASOWE

eprasa.pl bb51fa83aa

„O czasie i wieczności". Medalierskie rozmowy z Janem Pawłem II

Od 25 maja dostępna jest w internecie kolejna wirtualna wystawa Kordegardy – Galerii Narodowego Centrum Kultury, która przedstawia ponad 40 prac medalierskich współczesnych polskich artystów, inspirowanych nauczaniem i tekstami Jana Pawła II na temat czasu, wieczności, przemijania. Filmowa prezentacja upamiętnia setną rocznicę urodzin polskiego papieża i jest efektem współpracy Kordegardy oraz Polskiego Stowarzyszenia Sztuki Medalierskiej. „Kordegarda to miejsce otwarte na różne dziedziny sztuki i ważne tematy. W związku z jubileuszem setnych urodzin Ojca Świętego zaprosiliśmy do współpracy polskich medalierów. I mimo że epidemia koronawirusa pokrzyżowała nasze plany ekspozycji stacjonarnej, nie zrezygnowaliśmy z możliwości zaprezentowania publiczności dorobku polskich artystów. Tak powstał film, który jest rozmową o czasie i przemijaniu prowadzoną z artystami, dla których formą wyrazu są dzieła medalierskie – podkreśla prof. Rafał Wiśniewski, dyrektor NCK. Kuratorami wystawy są Bernard Marek Adamowicz i Marcin Kuropatwa.

Premiera filmu o prof. Bolesławie Orłowskim



FOT. IPN

3 maja IPN udostępnił w internecie film dokumentalny „Fenomen polskości", poświęcony prof. Bolesławowi Orłowskiemu, który od lat bada i propaguje polski wkład w rozwój światowej nauki i techniki. Intelektualista poświęcił lata na popularyzację osiągnięć polskich wynalazców i naukowców, np. przypominanie, że badania Aleksandra Wasiutyńskiego, Stefana Bryły czy też Zygmunta Puławskiego przyczyniły się do rozwoju chemii, kolejnictwa i lotnictwa. O jego życiu i pasji opowiada film Aliny Czerniakowskiej dostępny na kanale IPNtv. Z bohaterem produkcji – prof. Orłowskim – o jego misji rozmawiał red. Maciej Kwaśniewski. Film dostępny jest na portalu www.przystanekhistoria.pl. Profesor jest także publicystą magazynu „wSieci Historii".

CO BĘDZIE

Uroczystość powołania Rady Programowej IDMN

25 czerwca na Zamku Królewskim w Warszawie odbędzie się uroczystość powołania Rady Programowej Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Podczas wydarzenia wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński wręczy nominację członkom Rady Programowej IDMN – państwowej instytucji kultury stworzonej przez MKiDN w lutym br. Na czele Rady stanie prof. Stanisław Gebhardt, współpracownik Roberta Schumana, członek władz emigracyjnego Stronnictwa Pracy, działacz międzynarodowych organizacji chadeckich, więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, żołnierz AK, prezes Fundacji Odbudowy Demokracji im. Ignacego Jana Paderewskiego. W skład tego gremium wejdą również m.in. były marszałek Sejmu RP Marek Jurek, prof. Krzysztof Kawalec, prof. Marian Marek Drozdowski, działacz Ligi Narodowo-Demokratycznej i Polskiego Komitetu Obrony Życia, Rodziny i Narodu Marian Barański, prof. Mieczysław Ryba, prof. Janusz Odziemkowski czy prezes Instytutu Naukowego im. Oskara Haleckiego w Kanadzie dr Aleksander Jabłoński. W trakcie uroczystości wystąpienie „Potrzeba poznania dziedzictwa narodowego i katolicko-społecznego" wygłosi kawaler Orderu Orła Białego prof. Wojciech Roszkowski, a dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn zaprezentuje program działalności Instytutu, który będzie następnie przedmiotem obrad pierwszego posiedzenia rady programowej. Obrady będą transmitowane na żywo m.in. na profilu idmn.pl na Facebooku.

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego
i Ignacego J. Paderewskiego

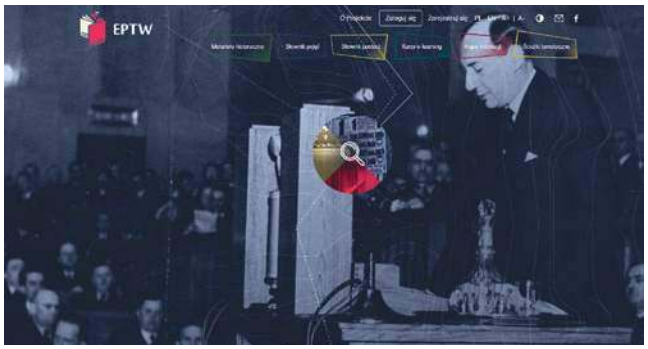


FOT. MAT. PRASOWE/EWA BEHRENS

Muzealne zielone szkoły

Ponad 150 propozycji zajęć z zakresu historii, języka polskiego, przyrody, historii sztuki i plastyki przygotowały instytucje prowadzone i współprowadzone przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. „Muzealne zielone szkoły" to oferta skierowana do placówek oświatowych, które ze względu na sytuację epidemiologiczną nie mogą realizować programu w ramach tradycyjnych tzw. zielonych szkół. Zajęcia zostały przygotowane z uwzględnieniem podstawy programowej oraz z podziałem na trzy kategorie wiekowe: szkoła podstawowa – klasy 1–4, szkoła podstawowa – klasy 5–8 oraz szkoła ponadpodstawowa. „Wyjątkowa sytuacja, która zmusiła nas wszystkich – w tym dzieci i młodzież – do pozostania w domu, jednocześnie otworzyła przed nami nowe możliwości dotarcia z bogatą ofertą kulturalną i edukacyjną do szerokiego grona odbiorców. Za pomocą nowoczesnych mediów muzea, które tworzą, budują naszą tożsamość, przechowując i chroniąc zbiory dziedzictwa przeszłości, stały się dostępne dla wszystkich" – mówi o akcji wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. Oferta „Muzealnych zielonych szkół" jest dostępna na stronie www.kultura.gov.pl.

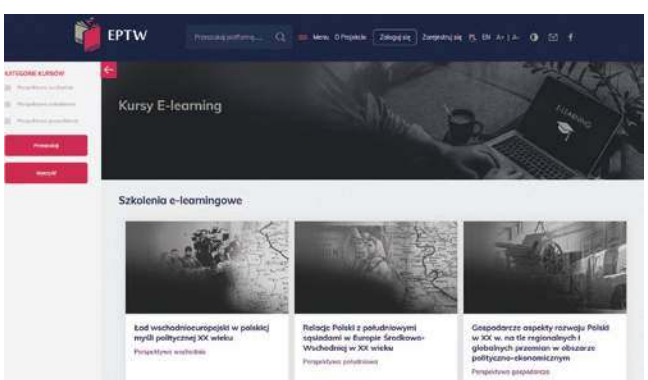
eprasa.pl bb51fa83aa



FOT. MAT. PRASOWE

EPTW – platforma wiedzy o Międzymorzu

Europejska Platforma Transferu Wiedzy to innowacyjny projekt, którego celem jest dialog humanistyki z nowymi technologiami i wdrażanie idei humanistyki dla rozwoju oraz doskonałości naukowej, poprzez utworzenie unikatowej, multimedialnej i interaktywnej platformy elektronicznej transferu wiedzy i zasobów źródłowych o charakterze interdyscyplinarnym. Platforma stanowić będzie format repozytorium elektronicznego oraz szerokiego kompendium wiedzy na temat scenariuszy i wizji roli Polski w Europie Środkowo-Wschodniej w koncepcjach geopolitycznych, gospodarczych i cywilizacyjno-kulturowych na przestrzeni XX w. (z nawiązaniem do XIX w.), formułowanych przez polskich myślicieli i reprezentantów różnych dyscyplin wiedzy, niekiedy już zapomnianych. W ramach tworzenia platformy wykorzystywany będzie również innowacyjny system User Experience – w ramach projektu przeprowadzone zostaną konsultacje z różnymi ośrodkami wiedzy: archiwa, muzea, uniwersytety, biblioteki – co pozwoli na precyzyjne dostosowanie funkcjonalności narzędzia do potrzeb grupy docelowej. Na platformie udostępnione zostaną analizy eksperckie, publikacje, lekcje online (w formacie e-learningu),



bogata baza różnorodnych materiałów źródłowych (w tym dotąd niepublikowanych lub nierozpowszechnionych), jak również specjalnie opracowane pod kątem projektu słowniki biograficzne i terminologiczne. Platforma będzie zawierać treści w językach polskim oraz angielskim. Jest ona dostępna pod adresem internetowym: www.eptw.edu.pl. Projekt jest realizowany w ramach grantu z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach współpracy z Centrum Europejskim Natolin. Przedsięwzięciem kieruje prof. Przemysław Waingertner z Uniwersytetu Łódzkiego, a jednocześnie stały felietonista „wSieci Historii".

OPR. PIOTR MAZUREK

Szkoła Letnia IDMN

W dniach 17–20 sierpnia w Jabłonnie pod Warszawą Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego organizuje szkołę letnią dla studentów historii, magistrantów, doktorantów oraz nauczycieli historii i katechetów uczących w szkołach średnich. IDMN pokryje osobom zakwalifikowanym koszty pobytu. W programie znajdą się wykłady oraz warsztaty prowadzone przez wybitnych znawców historii ruchu narodowo-chrześcijańskiego. Będą one związane przede wszystkim ze 100-leciem Bitwy Warszawskiej, 100. rocznicą urodzin św. Jana Pawła II oraz z osobą prymasa Tysiąclecia Stefana kardynała Wyszyńskiego. Zainteresowani udziałem w zajęciach szkoły letniej IDMN proszeni są o nadsyłanie do 30 czerwca br. na adres kontakt@idmn.pl krótkich (do tysiąca słów) tekstów motywacyjnych dotyczących powyższych tematów, oraz podpisanego skanu formularza zgłoszeniowego, który można pobrać ze strony idmn.pl. Wszystkie zgłoszone osoby zostaną powiadomione o wyniku kwalifikacji do 10 lipca. Dodatkowych informacji udziela Robert Gaweł: robert.gawel@idmn.pl; tel. 604 941 952.



Bitwa Warszawska – piechota polska w tyralierze

FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

20 czerwca (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

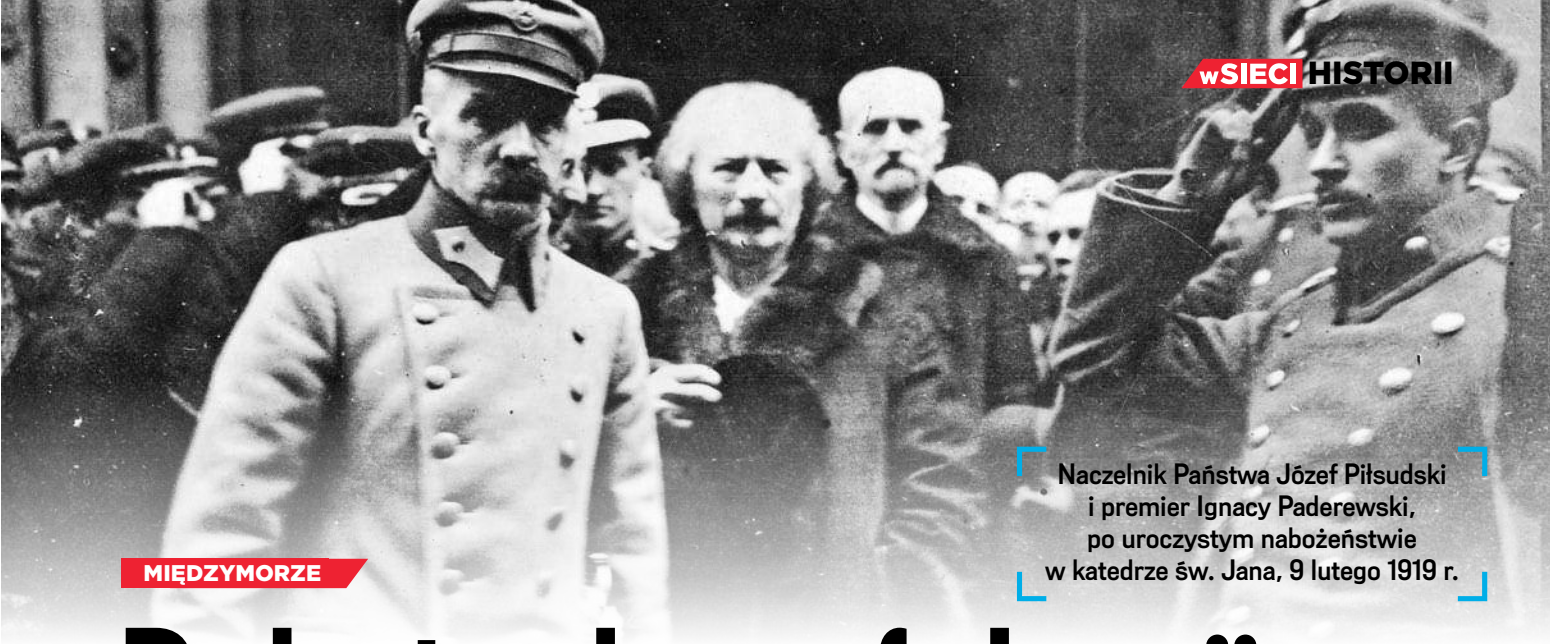
...w Radiu Warszawa...

15 lipca (środa) Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**29 zł** (3 wydania)	**54 zł** (6 wydań)
SIECI	**75 zł**	**139 zł**	**245 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**158 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl bb51fa83aa



Naczelnik Państwa Józef Piłsudski i premier Ignacy Paderewski, po uroczystym nabożeństwie w katedrze św. Jana, 9 lutego 1919 r.

FOT. NAC

MIĘDZYMORZE

Pod sztandarem federacji



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Próby zbudowania w Europie Środkowo-Wschodniej ładu, który miał zapewnić Polsce bezpieczeństwo, opartego na idei stworzenia wielopaństwowego związku z polskim udziałem sięgają jeszcze średniowiecza – krótkotrwałych unii polsko-węgierskich w XIV i XV w., polityki dynastycznej Jagiellonów w XVI w.

Przede wszystkim jednak wywodzą się z unii polsko-litewskiej z 1385 r., która po blisko 200 latach dała początek republikańskiej w treści, a monarchicznej w formie, Rzeczypospolitej Obojga Narodów – szlacheckiemu, wielonarodowemu i wielokulturowemu imperium sięgającemu od Bałtyku po Morze Czarne i od Smoleńska do Poznania. Po jego upadku w XVIII stuleciu do odbudowy takiego państwa dążyli Polacy idący za Napoleonem na Moskwę w 1812 r. i powstańcy styczniowi pragnący urzeczywistnić – niespełnioną po hadziackiej umowie „Lachów" z Kozakami z 1658 r. – Rzeczpospolitą Trojga Narodów: polsko-litewsko-ruską (czyli ukraińską). Echa „Polski Jagiellońskiej" odzywały się paradoksalnie i w wizji współpracy Polaków z narodami ciemiężonymi przez Rosję w celu wspólnego wyzwolenia spod władzy Kremla, propagowanej w początkach minionego stulecia przez niepodległościową Polską Partię Socjalistyczną (a zwłaszcza jej lidera Józefa Piłsudskiego) i w postulatach sięgających daleko na wschód granic przyszłej Polski Romana Dmowskiego z lat I wojny światowej. Tyle że twórca polskiego nowoczesnego nacjonalizmu i rodzimego obozu narodowego tylko Polaków widział w roli prawowitych gospodarzy odbudowanej republiki.

Kiedy Rzeczpospolita odzyskała w 1918 r. niepodległość, dawna idea przybrała nowe szaty programu federacyjnego. Jego propagatorami stali się ówczesny Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny Piłsudski i wspierający go tzw. obóz belwederski oparty na socjalistach, ludowcach, liberalnej i radykalnej inteligencji oraz byłych legionistach. W przyszłej federacji (określanej przez sympatyzującego z tą wizją wirtuoza fortepianu, ale wówczas przede wszystkim polityka, Ignacego Paderewskiego, mianem „Stanów Zjednoczonych Europy Wschodniej") miały się znaleźć Polska, Litwa, Białoruś i Ukraina. Drogą do realizacji tej idei była zwycięska wojna z bolszewicką Rosją sowiecką i jej zepchnięcie na wschód, celem – zbudowanie państwa związkowego na tyle silnego, by mogło się oprzeć w przyszłości zarówno imperializmowi Sowietów, jak i rewizjonistycznym dążeniom pokonanych w Wielkiej Wojnie Niemiec. Wobec słabości zwolenników tego projektu na Ukrainie i Białorusi, otwartej niechęci doń Litwy oraz militarnej siły czerwonej Rosji, wojna polsko-sowiecka z lat 1919-1921 nie doprowadziła do utworzenia federacji ani stabilizacji regionu. Wojska Rzeczypospolitej po zdobyciu Wilna i Kijowa musiały w wyniku kontrofensywy Armii Czerwonej wycofać się aż nad Wisłę. I choć odniosły później świetne zwycięstwa, które utrwaliły polską niepodległość – w Bitwie Warszawskiej i batalii nad Niemnem – potencjał militarny, demograficzny i gospodarczy odradzającej się po ponad stuletnich zaborach i I wojnie światowej Rzeczypospolitej okazał się niewystarczający, aby zmusić nową czerwoną Rosję do odstąpienia od aneksji Białej Rusi i Ukrainy.

W mającym nastąpić po wojnie polsko-sowieckiej 20-letnim okresie pokoju jedynym pokłosiem ambitnych planów federacyjnych okazała się próba zbudowania w 1922 r. Związku Bałtyckiego – sojuszu polityczno-wojskowego i porozumienia gospodarczego z Łotwą, Estonią i Finlandią. Po przewrocie majowym 1926 r. i powrocie do władzy Piłsudskiego echem idei „Stanów Zjednoczonych Europy Wschodniej" miał się stać z kolei program „prometejski" opracowany w środowisku zwolenników Marszałka. Postulował on rozbicie ówczesnego Związku Sowieckiego przez wspieranie niepodległościowych dążeń wśród jego nierosyjskich narodowości. W jego realizację zaangażowani byli: wywiad, dyplomacja, politycy i działacze społeczni. Jednak założony cel tych działań – wobec niewielkich środków, jakimi dysponowano, oraz totalitarnego charakteru sowieckiego reżimu – okazał się wówczas nierealny.

eprasa.pl bb51fa83aa



FOT. NAC; ARCHIWUM



MAREK KORNAT

W SWOICH UWAGACH POŚWIĘCONYCH POLSCE MARSZAŁEK FERDINAND FOCH NAPISAŁ 21 LIPCA 1920 r., ŻE „TYLKO RZĄD POLSKI MA SIŁY, ABY ZATRZYMAĆ ARMIE SOWIECKIE. MY NIE MOŻEMY POMÓC INACZEJ, JAK TYLKO DOSTAWAMI MATERIAŁU WOJENNEGO”



Aliancka misja w Polsce, sierpień 1920 r. W pierwszym rzędzie od lewej: Edgar Vincent D'Abernon, Jean Jules Jusserand, gen. Maxime Weygand (również na zdjęciu po lewej) i Maurice Hankey

eprasa.pl bb51fa83aa

ZWYCIĘSTWO, KTÓREGO EUROPA NIE UZNAŁA ZA SWOJE

W godzinie najtragiczniejszej, w obliczu niedoli bez granic, w obliczu zbrodni, która ma być dokonana nad Wisłą – Wasze, o ludy świata, sumienie czynimy odpowiedzialnym. Wasza obojętność, jak w roku 1772, 1795, 1831, 1863, pozwolić może raz jeszcze satrapom Wschodu obalić zaczątek Wolności, który na gruzach caratów Mikołaja i Wilhelma zaistniał i który dziś zginąć może pod ciosami imperializmu bolszewickiego. Niechaj sumienie Wasze wolę Waszą poruszy. Gdyby dzisiaj zginęła polska wolność, jutro Wasza, o ludy, wolność może być zagrożona. Kiedy 8 września 1831 r. armia rosyjska zajęła Warszawę powstania narodowego, Louis Blanc notował, że ten dzień jest drugim dniem Waterloo dla Francji. Pomnijcie dalej, aby ten upadek Polski nie był początkiem nowej wojny światowej, nowej, stokroć większej hekatomby, jaką wolne demokracje Zachodu będą musiały złożyć na ołtarzu własnej obrony narodowej. Zwycięstwo bolszewickie nad Wisłą zagraża całej Europie Zachodniej, nowa wojna światowa wisi nad światem niby gradowa chmura. Opamiętajcie się, wolne ludy świata. Ludzkość, słuszność, prawda wołają Was. Zwlekacie? Boicie się wojny? Przyjdzie do Was, jak do nas przyszła. Za późno będzie bronić się, gdy u Waszych stanie progów. Nie tylko nasz, ale i Wasz los nad Wisłą się dzisiaj rozstrzyga" – tak brzmiała odezwa Rady Obrony Państwa „Do Ludów świata" ogłoszona 6 sierpnia 1920 r. Tekst tego poruszającego dokumentu stworzył wicepremier Rządu Obrony Narodowej Ignacy Daszyński, a jest on słabo znany. Apel ten nie doczekał się odpowiedzi.



Niewiara Zachodu

Poza wysłaniem do Polski misji politycznej (z lordem D'Abernonem na czele) i wojskowej doradczej (pod kierownictwem gen. Weyganda) mocarstwa zachodnie nie zrobiły nic. Umowa w Spa, którą 10 lipca 1920 r. zawarł premier Władysław Grabski, nie została wykonana. Premier Alexandre Millerand stwierdził wyraźnie, że sama Francja nie może wziąć odpowiedzialności za obronę i los Polski. Potrzebne jest zbrojne działanie armii brytyjskiej, a jego nie było, choć architektem i głównym gwarantem wspomnianej umowy był David Lloyd George.

WOJNA 1920 r. JEST POSTRZEGANA JAKO NIEZNACZĄCY KONFLIKT NA PERYFERIACH EUROPY, KTÓRY SPROWOKOWALI POLACY

Na konferencji premierów alianckich w Hythe 8–9 sierpnia 1920 r. marszałek Foch potępił Piłsudskiego za operację kijowską. Premierzy Lloyd George i Millerand zgodzili się właściwie, że jego odsunięcie od władzy, a przede wszystkim od dowodzenia siłami zbrojnymi – jest potrzebne. To dlatego Naczelnik Państwa złożył pismo dymisyjne na ręce premiera Witosa, zanim wyruszył dowodzić kontrofensywą polską, i upoważnił go, aby tego dokumentu użył stosownie do sytuacji.

Zwycięstwo nad Wisłą było dla narodów Zachodu przyjemną niespodzianką – oczywiście z wyjątkiem tych sił lewicy, które pokładały nadzieje w naukach Lenina. Zaborczy pochód armii sowieckiej został zatrzymany. Ład wersalski ocalono. Szkic niniejszy poświęcamy pierwszym ocenom bitwy o Warszawę w politycznych (głównie dyplomatycznych) sferach zagranicznych, korzystając z tych opinii, do których udało się dotrzeć, zbierając materiał do niewydanej książki o Polsce Odrodzonej w percepcji Zachodu. Daje się tu rozpoznać trzy kierunki percepcji tego przełomowego wydarzenia.

Cywilizację ratuje się nad Wisłą

Pierwszy z nich to wypowiedzi tych przedstawicieli polityki i dyplomacji mocarstw zachodnich, którzy doceniali wielkość czynu, jaki się dokonał. Towarzyszyła im na ogół refleksja nad znaczeniem Bitwy Warszawskiej dla Europy.

Prawdziwą gloryfikację polskiego zwycięstwa przedstawił premier Millerand, powtarzając za XIX-wiecznym historykiem francuskim Juliuszem Micheletem, iż „cywilizację ratuje się nad Wisłą". I właśnie to się stało. Inny wielki Francuz, George Clemenceau (który w styczniu 1920 r. opuścił urząd premiera i polityki międzynarodowej właściwie nie komentował), zdobył się na piękny list do swego współpracownika André Tardieu (późniejszego premiera), w którym napisał, że „męstwo Polaków zyskało nowy dowód historyczny". Bitwa o Warszawę to »

eprasa.pl bb51fa83aa

» „jedno z najpiękniejszych widowisk, jakie dać może zbiorowość ludzka” – powiedział gen. Weygand.

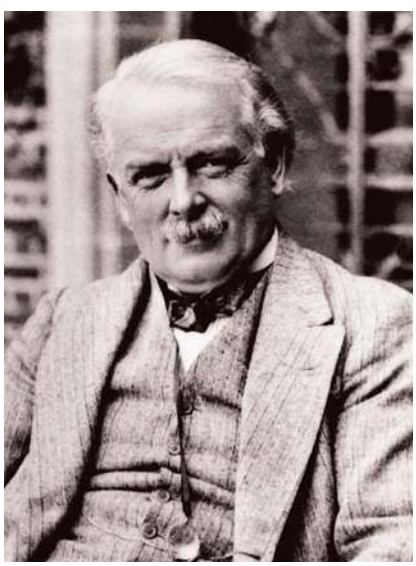
Jak dobrze wiadomo, Bitwa Warszawska pozostawiła wielkie wrażenie na wspomnianym już szefie alianckiej misji politycznej do Polski, brytyjskim dyplomacie lordzie D’Abernonie. Uznał on tę bitwę za „osiemnastą decydującą w dziejach świata”. Podniósł ją do rozmiarów wielkiego starcia dwóch cywilizacji: europejskiej (zachodniej) i barbarzyńskiej (sowieckiej). Wywodząc się z żydowskiej rodziny konwertytów na anglikanizm, lord D’Abernon był przekonany, że w wypadku klęski polskiej armii pod Warszawą „nie tylko chrześcijaństwo otrzymałoby cios druzgocący, ale samo istnienie zachodniej cywilizacji zostałoby zagrożone. Bitwa pod Tours uratowała naszych brytyjskich przodków i galijskich sąsiadów od jarzma Koranu, prawdopodobne jest, iż Bitwa Warszawska ocaliła Europę Środkową i część zachodniej od bardziej brzemiennego przewrotem niebezpieczeństwa – od fanatycznej tyranii Sowietów”. Stwierdził też: „[...] współczesna historia cywilizacji zna mało wydarzeń, posiadających znaczenie większe od bitwy pod Warszawą w roku 1920. Nie zna zaś ani jednego, które by było mniej docenione... Gdyby bitwa pod Warszawą zakończyła się była zwycięstwem bolszewików, nastąpiłby punkt zwrotny w dziejach Europy, nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, iż z upadkiem Warszawy środkowa Europa stanęłaby otworem dla propagandy komunistycznej i dla sowieckiej inwazji”.

Hołd polskiemu zwycięstwu złożyła katolicka (wówczas) Belgia ustami swego wielkiego prymasa kardynała Merciera. W gorących dniach sierpnia 1920 r. stał się on autorem głośnego apelu do opinii zachodniej w obronie Polski. Na mocarstwach zachodnich, głosiła ta odezwa, ciąży obowiązek zmazania winy za brak sprzeciwu wobec rozbiorów dawnej Polski i dodatkowe potwierdzenie tego podziału na kongresie wiedeńskim w 1815 r. W papierach polskiej dyplomacji zachowały się słowa belgijskiego hierarchy, że „naród belgijski rozumiał, iż w bitwie nad Wisłą rozstrzygały się losy cywilizacji europejskiej i że naród belgijski nie zapomniał o usłudze, jaką dla wywalczenia niepodległości Belgii oddał w 1830 r. wybuch powstania listopadowego”. Zestawienie tych dwóch usług jest znamienne. Nadmieńmy, iż w końcu listopada 1830 r. rozkazy Mikołaja I do armii rosyjskiej (i polskiej), aby ruszyć na Belgię, były już wydane. Ale powstanie polskie obróciło te plany wniwecz. Odnotować jeszcze warto, że latem 1920 r. w Belgii doszło do ciężkiego kryzysu rządowego za sprawą Polski. Gabinet premiera Delacroix upadł, bo nie godził się na dostawy do Polski amunicji i broni. Oburzenie opinii publicznej było tak wielkie, że wymusiło dymisję premiera. Nowy minister wojny Devèze natychmiast pozwolił na transport broni, chociaż odciętej od świata Polsce na niewiele się to przydało (jedyne dostawy przyszły z Węgier przez Rumunię).

Cud Weyganda?

Drugi nurt rozważań i komentarzy wokół bitwy o Warszawę to dobrze znana narracja przypisująca autorstwo zwycięstwa gen. Weygandowi. Utrwalenie się we Francji mitu o Weygandzie jako „zbawcy Polski” stało się faktem – zwłaszcza w kręgach wojskowych. Nie pomogły temu zaprzeczenia samego generała ani jego stwierdzenie, że było to „czysto polskie zwycięstwo”. Pierwszy impuls do postawienia tej sprawy w taki sposób dał przywódca francuskiej prawicy monarchistycznej i katolickiej Charles Maurras artykułem w dzienniku „Action Française” już na początku września 1920 r. Orzekł, że było to „zwycięstwo Weyganda” (victoire de Weygand). W liście do generała z 30 grudnia 1920 r. marszałek Foch nazwał go dowódcą, „który przesądził o całkowitym odwrocie armii bolszewickich i ocalił Polskę”. Paul Painlevé jako minister wojny napisał, że Weygand „dał operacjom armii polskiej silny i oświecony impuls, co pozwoliło osiągnąć decydujące rozstrzygnięcia”. Marszałek Pétain podobnie stwierdził, iż „swoim działaniem i radami Weygand wywarł wpływ decydujący, co spowodowało odwrót wspólnego wroga”.

Pamiętając o tych opiniach, odnotować warto raport francuskiego wywiadu zatytułowany „L’Oeuvre militaire du



David Lloyd George



Edgar Vincent D’Abernon



Alexandre Millerand

FOT. SHUTTERSTOCK/EVERETT HISTORICAL; EAST NEWS/RIGHTS MANAGED-NAC

eprasa.pl bb51fa83aa



Maréchal Pilsudski" z 30 kwietnia 1936 r., w którym przyznawano jasno, że o rezultacie wojny polsko-sowieckiej rozstrzygnęła zwycięska ofensywa znad Wieprza. Raport ten – przeznaczony dla władz wojskowych – mówił jednoznacznie, że 16 sierpnia Piłsudski operacją tą dowodził osobiście i siły sowieckie zmuszone zostały do całkowitego odwrotu. „C'est la victoire".

Teza o zbawczych zasługach gen. Weyganda miała się jednak w międzywojennej Europie dobrze. W cenionej ze względu na ścisłość informacji i cieszącej się prestiżem „Encyclopaedii Britannica", w wydaniu z 1930 r., pod hasłem „Russia", w rubryce „War with Poland" przeczytać można było, że w obliczu śmiertelnego zagrożenia bytu Polski i „groźby ustanowienia komunizmu w sercu Europy" gen. Weygand przejął komendę nad armią polską, dostrzegł lukę we froncie nieprzyjacielskim i powtórzył „w mniejszej skali manewr Focha znad Marny". W rezultacie Polska została ocalona, a traktat pokojowy z sowiecką Rosją stał się dla niej korzystny.

Historyk i dyplomata brytyjski Harold Nicolson w swej książce „Curzon: The Last Phase 1919–1925. A Study in Post-War Diplomacy" z 1934 r. napisał, że gen. Weygand pod Warszawę „zgalwanizował polski opór", mimo „obstrukcji marszałka Piłsudskiego". Tak doszło do rozstrzygającego kontruderzenia armii polskiej. Był to, mówiąc wprost, »

eprasa.pl bb51fa83aa

» „sukces Weyganda". Rozważaniom o Bitwie Warszawskiej towarzyszyło poszukiwanie analogii do „cudu nad Marną". Niewątpliwie najostrożniej wyraził się dyplomata i poseł włoski w Polsce Francesco Tommasini, który gen. Weygandowi przypisywał tylko „zharmonizowanie" pracy polskiego Sztabu Generalnego i skoordynowanie swoimi radami operacji kontrofensywnej przeciw armii Tuchaczewskiego. Trudno byłoby nie zgodzić się z Michałem Sokolnickim, który pisał w 1930 r., iż „przeciętny inteligentny Europejczyk", zapytany o to wydarzenie, „łączy je z nazwiskiem gen. Weyganda".

Swawolne przedsięwzięcie Polaków

Myliłby się ten, kto by sądził, iż Zachód powitał polskie zwycięstwo jako akt jednoznacznie dobroczynny – a więc w taki sposób, jak możemy ocenić na podstawie przytoczonych wypowiedzi. Od razu bowiem wieść o klęsce Sowietów pod Warszawą wywołała w Europie falę niepokoju o przyszłość stosunków polsko-rosyjskich i obawy, aby Polacy nie narzucili wschodniemu sąsiadowi granicy po własnej myśli. Tak powstała niejako trzecia narracja o bitwie nad Wisłą. Motywował ją niepokój przed nadmiernym wykorzystaniem przez Polskę chwilowej słabości Rosji, co doprowadzi do groźnych powikłań dla europejskiego pokoju. Te poglądy głosili bardzo różni ludzie Zachodu. Zgadzali się w tym: lewicowo-liberalny polityk włoski Francesco Nitti i pisarz polityczny francuskiej prawicy monarchistycznej Jacques Bainville, brytyjski profesor Robert Seton-Watson i wspomniany Clemenceau.

Wpływowe pismo brytyjskie „The New Statesman and Nation" już 31 lipca 1920 r. ogłosiło na swych łamach, iż „fantastyczna polityka budowania Polski jako bariery i francuskiego policjanta w Europie Środkowej została rozbita" i prowadzi ją do klęski. Były premier brytyjski Herbert Asquith, poseł do Izby Gmin, przemawiając 10 sierpnia 1920 r., stwierdził, że postulat granic z 1772 r. to „czysto agresywna przygoda" i „swawolne przedsięwzięcie". Koła lewicowe i liberalne powtarzały hasło, że „Sowiety chciały pokoju", a „Polska – wojny" – jak się wyraził historyk i gen. Marian Kukiel. Te nastroje chwilowo przygasły, ale zaraz powróciły.

Na początku sierpnia 1920 r. nawet wyjątkowo otwarty na zrozumienie polskich interesów polityk włoski Carlo Sforza doradzał Polsce niezwłoczne podjęcie rokowań pokojowych z Sowietami. Wyprawę na Kijów ocenił jako bezsprzeczny błąd. Uważał, że militarnie bolszewizmu zniszczyć się nie da. Skoro – z powodu różnic w obozie Ententy – nie powiodła się polityka Clemenceau, polityka blokady Rosji i „kordonu sanitarnego", pozostaje jeszcze druga opcja: „pozwolić komunizmowi swobodnie się rozwijać" i „bolszewizm albo przeżyje, albo obumrze". W związku z tym Sforza był przekonany, iż normalizacja stosunków polsko-sowieckich jest konieczna. Tyle tylko, że

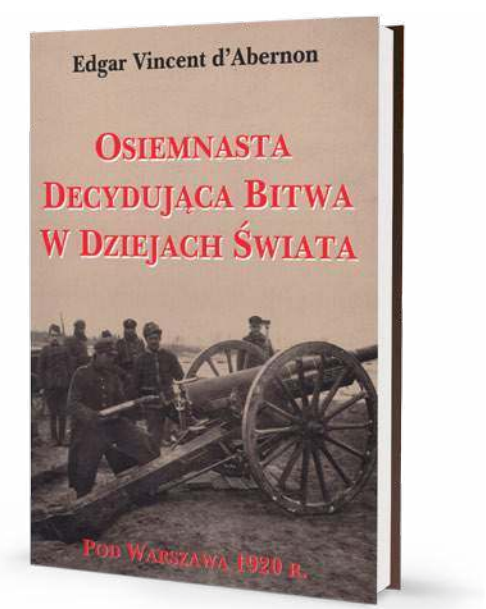
ROZWAŻANIOM O BITWIE WARSZAWSKIEJ NA ZACHODZIE TOWARZYSZYŁO POSZUKIWANIE ANALOGII DO „CUDU NAD MARNĄ"

pisał te słowa, kiedy armia sowiecka stała w centrum Polski, a więc pokój kończący konflikt zbrojny musiałby zostać zawarty pod dyktando Moskwy. Alternatywa nie istniała.

Weygand w artykule na łamach „Le Temps" zaapelował 27 sierpnia 1920 r. do rządu polskiego, aby nie w swoich roszczeniach terytorialnych na wschodzie zachował „umiarkowanie". Doradzał, aby granica polsko-sowiecka została ustalona „dostatecznie daleko" od polskiej stolicy, ale tak, aby nie wykopała przeszkody nie do pokonania w stosunkach polsko-rosyjskich. Lewicowy polityk i dziennikarz (późniejszy ambasador w Moskwie) Jean Herbertte określił polsko-sowiecki układ o preliminariach pokojowych jako „przedwczesny". André Geraud (czyli Pertinax) pisał o błędzie, za który Polska zapłaci.

Godnym również przytoczenia jest posunięcie dyplomacji amerykańskiej, świadczące o niechęci tego mocarstwa do uznania polskich aspiracji terytorialnych na wschód od linii Curzona, pozostaje tzw. nota Colby'ego z września 1920 r., wydana w odpowiedzi na pytanie zadane w tej sprawie rządowi amerykańskiemu przez ambasadora Italii markiza Imperiali. Zastępca sekretarza stanu Bainbridge Colby ostrzegł Polskę przed ekspansją na wschód. W Waszyngtonie panował wciąż Wilsonowski pogląd o potrzebie państwa polskiego, ale w granicach obejmujących ziemie „bezspornie polskie". Od Rosji powinny się oderwać jedynie dawne Królestwo Kongresowe oraz dwa inne narody: Finowie i Ormianie.

Z upływem czasu powstało jeszcze jedno podejście do wojny polsko-sowieckiej i Bitwy Warszawskiej na Zachodzie. Charakteryzuje je postrzeganie tego wydarzenia jako nieznaczącego konfliktu na peryferiach Europy, który sprowokowali Polacy, aspirując do wielkiego terytorialnie państwa i nie chcąc pogodzić się z doktryną samostanowienia narodów. Ów graniczny konflikt dwóch skłóconych narodów rozstrzygnęli na swoją korzyść, ale tylko na krótko mogli utrzymać swe zdobycze. Tak – mniej więcej – jest on przedstawiany w dzisiejszej Europie w podręcznikach szkolnych. Bitwa o polską stolicę w 1920 r. nie znalazła miejsca w narracji o przeszłości Europy, jaką stworzono, prezentując głośną wystawę w brukselskim Domu Europejskiej Historii pod auspicjami Parlamentu Europejskiego. I tak oto Europa nie uznała tego zwycięstwa za swoje – jak to powiedział wspomniany już historyk i dyplomata Sokolnicki.



eprasa.pl bb51fa83aa

Zamów prenumeratę Z PREZENTEM!

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + wSIECI HISTORII

30% TANIEJ + PREZENT



PRENUMERATA NA 12 MIESIĘCY

SIECI + wSIECI HISTORII	SIECI	wSIECI HISTORII
280 ZŁ	245 ZŁ	54 ZŁ

Zamówienia prenumeraty można składać:
- przez internet: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**
- telefonicznie: **22 616 15 70**
- e-mailem: **prenumerata@fratria.pl**

eprasa.pl bb51fa83aa



WOJCIECH OSIŃSKI

NIEMIECKIE POLETKO LENINA



PRZEDWOJENNE WAŚNIE NIEMIECKICH SOCJALISTÓW I KOMUNISTÓW DO DZIŚ RZUCAJĄ SWÓJ CIEŃ NA RZECZYWISTOŚĆ POLITYCZNĄ NAD SPREWĄ


Nr. 5. VII. Jahrgang, 1919. Einzelpreis 15 Pfg. Frankfurt a. M., 26. Januar.

Das Illustrierte Blatt

Eine Wahlrednerin in den Straßen Berlins am 19. Januar.

Dziś czasem nie doceniamy znaczenia Cudu nad Wisłą wtedy, gdy niepodległa Polska była otoczona pierścieniem wrogów „spod czerwonej gwiazdy", niosących ze sobą rzezie i spustoszenia. W końcu 1918 r. niemieccy komuniści byli przekonani, że ferment, jaki poruszył grawitującą ku bolszewizmowi Rosję, niebawem dotrze także do Berlina. Toteż uniesieni euforią rewolucji listopadowej i ośmieleni wparciem ZSRS, ruszyli w styczniu 1919 r. do odrzucania „barier klasowych". Bezbrzeżna pycha działaczy skrajnej lewicy wynikała nie tylko ze wzrostu siły uśpionego dotąd imperium sowieckiego, utrzymującego wszędzie w Europie swoje agenturalne szajki. Również sytuacja w rodzącej się dopiero Republice Weimarskiej była wysoce niestabilna, co stanowiło dla Komunistycznej Partii Niemiec (KPD) dobrą okazję do „przestawienia zwrotnicy historii". Zresztą Lenin też doskonale wiedział, że niektóre środowiska nad Sprewą były szczególnie podatne na budowaną przezeń doktrynę i mogły w przyszłości odegrać kluczową rolę w niesieniu „dobrej nadziei". Niemiecka historiografia służy licznymi i przytaczanymi jeszcze dziś przez obecnych polityków lewicy porównaniami „powstania Spartakusa" do szturmu bolszewików na Pałac Zimowy w Petersburgu. Pomiędzy oboma wydarzeniami istnieją jednak pewne różnice.

W 1918 r. klęska kajzerowskiej ofensywy na froncie zachodnim i blokada gospodarcza ze strony Ententy groziły szybkim wyczerpaniem niemieckiego społeczeństwa. Ocierające się o wojnę domową protesty nie wygasły i zaczęły się przeradzać w otwarty

FOT. DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM BERLIN

eprasa.pl bb51fa83aa

bunt. Do pierwszego większego lokalnego wystąpienia doszło 3 listopada 1918 r. w Kilonii, gdzie zaostrzające się problemy socjalne otworzyły tysiącom marynarzy drogę do pomszczenia doznanych krzywd. Z pełną aprobatą ludności cywilnej szybko zajęli całe miasto, utworzyli rady robotnicze i własne oddziały zbrojne. Fala społecznej niechęci rozlała się wkrótce m.in. też na Hamburg, Bremę i Lubekę, a następnie na Nadrenię. Właściwie dopiero wtedy bakcyl socjalizmu przerzucił się również na stolicę. Niemiecka rewolucja nie wynikała więc jedynie z imperatywu naśladowania wzorców ZSRS. Była mocno zdecentralizowana i miała swoją własną dynamikę. Zresztą jesienią 1918 r. w samym Berlinie nie było wysłanników Lenina, a tamtejsi robotnicy nie mieli jeszcze politycznego zaplecza w postaci Związku Spartakusa i obietnic złożonych przez Karla Liebknechta i Różę Luksemburg. – Głównymi aktorami rewolucji listopadowej były najpierw masy niezadowolonych robotników, a nie zawodowi przywódcy ugrupowań politycznych – przekonuje berliński historyk i politolog Herfried Münkler.

Ideologiczni narwańcy

U zarania Republiki Weimarskiej partią cieszącą się największym zaufaniem była SPD, której liderzy wprawdzie nadal wygłaszali rewolucyjne hasła, lecz w rzeczywistości dążyli już do pragmatyzmu kojarzącego się z umiarem. Pierwsza wojna światowa oraz wydarzenia w Rosji obnażyły głębokie podziały wśród socjaldemokratów, które przydały skrzydeł popadającym w samozachwyt komunistom. Podobnie jak w Polsce kres wojny ujawnił po lewej stronie pewną fundamentalną sprzeczność – między lojalnością wobec własnego państwa a skłonnością do daleko idącej akceptacji międzynarodowej komuny. Niektórzy politycy SPD odczytali zachodzące zmiany i porzuciwszy pełnione przez nich wcześniej funkcje, przedzierzgnęli się w wyrazicieli „twardej" linii. Już w 1917 r. lewicowi odszczepieńcy założyli niezależną USPD, do której dołączył Związek Spartakusa – grupa niemieckich i zagranicznych socjalistów, bliskich ideałom marksizmu-leninizmu i chcących powściągnąć dążenia niepodległościowe we własnych ojczyznach. W historycznym dniu 9 listopada 1918 r. toczył się już więc na lewicy ostry spór o władzę. Polityk SPD Philipp Scheidemann jako pierwszy proklamował z Reichstagu niemiecką republikę. Natomiast dwie godziny później Karl Liebknecht ogłosił z balkonu Zamku Królewskiego w berlińskim Lustgarten republikę socjalistyczną. Przy czym na początku umiarkowani gracze SPD i USPD próbowali załagodzić sytuację zamknięciem choćby kilku programowych frontów, eksponując jedyne swoje spoiwo – stabilizację państwa. W tej lewicowej narracji odzywały się jednak już wyraźne zgrzyty. Nawet wśród niektórych wyznawców Lenina zwyciężyło w końcu przekonanie, że nie warto zapędzać Niemców pod komunistyczny knut. Lider skrajnej lewicy Liebknecht był zdumiony ostrością krytyki we własnym obozie. 19 grudnia zjazd rad robotniczych odrzucił wniosek o utworzenie „niemieckiej republiki rad" na wzór ZSRS. Większość zagłosowała za „republiką socjalną", łączącą parlamentaryzm z demokratycznie wybieranymi radami, oraz za gospodarką wykluczającą jej ubezwłasnowolnienie (choć dopuszczającą interwencję państwa). Najzagorzalsi komuniści nie weszli przeto do koalicji rządowej SPD-USPD, na której czele stanął Friedrich Ebert.

Mimo że ta wewnątrzpartyjna porażka zwolenników bolszewizmu ukształtowała ich wizerunek jako grupy „ideologicznych narwańców", nie czuli się oni wcale zepchnięci do sekciarskiego narożnika. Nadal krzepili się przekonaniem, że prawdziwa rewolucja dopiero nastąpi. Mieli też za sobą wciąż wielu sympatyków, którzy w swojej gorliwości skłonni byli przeprowadzić ją za wszelką cenę. Rozłam na lewicy zaprowadził ich w rejony radykalizmu, a pełzający konflikt domowy musiał nieuchronnie eskalować. Na przełomie 1918/19 członkowie Związku Spartakusa założyli Komunistyczną Partię Niemiec – KPD. Środowisko to było owładnięte niespecjalnie mądrymi pomysłami, zwłaszcza że każdą co przytomniejszą osobę Liebknecht usuwał z partii ze sprawnością początkującego Stalina. Ciekawe zresztą, że na czele nowej niemieckiej formacji stanęli m.in. też członkowie SDKPiL, dla których wiązanie polskiej niezawisłości z przekraczaniem międzyklasowych przepaści było „nienaturalne". I to nikt inny jak Karol Radek ostrzegał w styczniu 1919 r. swoich niemieckich kolegów przed zbyt pochopnym podżeganiem berlińczyków do rebelii. Zdaniem polskich przyjaciół Lenina Berlin nie był jeszcze gotowy na zmasowany bunt. Dlatego ukuty przez niemieckich historyków termin „Spartakusaufstand" jest nieco mylny, bo wskazuje na „spartakowców" jako inicjatorów powstania. Tymczasem komuniści z KPD i Związku Spartakusa dołączyli dopiero po 5 stycznia 1919 r., kiedy już było za późno na odwrót. Wokół tejże rewolty natworzono skądinąd jeszcze wiele innych mitów. To zaś, że nadal pokutują one w niemieckiej historii, równie niezniszczalnie jak twierdzenie, że Liebknecht poległ „śmiercią męczeńską", pokazuje tylko, w jakim stopniu udało się dzisiejszym neomarksistom wpłynąć na świadomość społeczeństwa.

Beczka prochu

Przyczyną rozpalenia się rewolty było zdymisjonowanie przez rząd Eberta prezydenta policji Emila Eichhorna, który po cichu patronował zbuntowanym komunistom. To wydarzenie obiegło łamy gazet, okazując się paliwem, które wyciągnęło na berlińskie ulice setki tysięcy ludzi. Dopiero wtedy politycy KPD wezwali do strajku generalnego, tworząc tymczasowy komitet rewolucyjny. „Spartakowcy" zajęli główne stołeczne redakcje (jak choćby afiliowaną przy rządzie SPD „Vorwärts"), co sprawiło, że w pobliżu beczki prochu, jaką był Reichstag, zrobiło się jeszcze gorącej. 7 stycznia Ebert zerwał negocjacje z komunistami i powierzył zwierzchnictwo nad wojskiem Gustavowi Noskemu, który polecił ochotnikom z Freikorpsów obsadzić strategiczne punkty miasta. Cztery dni później Noske nakazał szturm na zajęte redakcje, w wyniku czego zginęło 156 osób. Kolejne manewry oficerów Freikorpsów były już nacechowane postępującym brakiem skrupułów. Zamordowanie 15 sierpnia 1919 r. Luksemburg i Liebknechta stało się niebawem przedmiotem żywych dyskusji o „zdradzie" i „wartościach", pogłębiających podziały w obozie zwolenników socjalizmu. Tyle że wojna na lewicy dostarczała również amunicji innym ideologom o ciasnych horyzontach. Zmierzch SPD, USPD i KPD zbiegł się z powstaniem NSDAP, która obiecywała nie tylko „lepsze jutro", lecz także bezlitosne rozprawienie się z bolszewikami. W latach 20. nazistowskie gazetki karmiły swoich czytelników teoriami spiskowymi, głoszącymi, jakoby główną winę za przegraną wojnę ponosili rząd Eberta oraz jego „żydowscy sprzymierzeńcy z rodziny Lenina". Narastająca złość Niemców wobec »

eprasa.pl bb51fa83aa



» establishmentu, niewahająca się przed sięganiem po skrajnie antysemickie emocje, wybuchła z siłą, która wielu niemieckich intelektualistów napełniła niesmakiem. Przy czym wielu z nich nie narażało się na zarzut sprzyjania komunistom, tylko walczyło swoim piórem o wolność słowa. Zanim bowiem w 1933 r. hitlerowscy furiaci sięgnęli po władzę, czołowi działacze KPD udzielali się jeszcze w debacie publicznej. I to mimo że byli otoczeni atmosferą niechęci, gdyż tolerowali grozę stalinowskiego terroru, z jego już wtedy oczywistymi dla wszystkich okrucieństwami. Słowo „bolszewik" budziło słuszną odrazę w całym cywilizowanym świecie, do jakiego Republika Weimarska – przy wszystkich jej uchybieniach – chciała jednak należeć. Ale z drugiej strony istotą demokratycznego ustroju jest twórczy ferment politycznego konfliktu i ścierania się odmiennych punktów widzenia. Dlatego SPD i stare wilhelmińskie elity długo tolerowały komunistycznych i nazistowskich zadymiarzy, zatykając nosy i zaciskając zęby. W wyborach prezydenckich w 1925 r. KPD wystawiła nawet swojego własnego kandydata, Ernsta Thälmanna (zamordowanego przez hitlerowców w 1944 r.). Był to już czas dla socjalistów zdecydowanie nieżyczliwy, mimo że szalejący wówczas na świecie kryzys gospodarczy napędzał także nastroje antykapitalistyczne.

Właściwie już w obliczu klęski berlińskich spartakowców w 1919 r. trudno było o bardziej jaskrawe dowody, że niemiecki wariant bolszewizmu nie może przynieść żadnego skutku poza ofiarami. Wszelako Lenin wciąż podtrzymywał nadzieję, że Niemcy będą lokomotywą jego „rewolucji światowej". Po konferencji pokojowej w Paryżu nadal uparcie twierdził, że siedzibą komitetu wykonawczego Kominternu będzie Berlin, a językiem urzędowym w Europie – niemiecki. Jeszcze wiosną 1919 r. mógł przypuszczać, że jego scenariusz się ziści. Jednym z ostatnich miejsc, gdzie przetaczała się rewolucja listopadowa, była Bawaria. Ówczesny szef jej lokalnego rządu Kurt Eisner (USPD) został zabity, co tylko rozjuszyło tamtejszych socjalistów. W kwietniu 1919 r. z inicjatywy Gustava Landauera powołano Bawarską Republikę Rad, która kilka tygodni później została spacyfikowana w podobny sposób jak „powstanie styczniowe" w Berlinie. Latem 1919 r. Lenin żywił się jeszcze błogim przekonaniem, że natarcie na Niemcy może się powieść dzięki Węgrom, gdzie oddany mu Béla Kun chwilowo był praktycznie pierwszą osobą w państwie. Te nadzieje okazały się jednakże płonne, bo komuniści z Budapesztu spotkali się z ofensywą wojsk rumuńskich i kontrrewolucją Miklósa Horthy'ego. Projekt „rewolucji światowej" tracił swój impet, choć miał go odzyskać w starciu z Polską. A jednak Lenin po raz wtóry miał zostać boleśnie wybudzony ze snu o „czerwonej potędze".

Niezabliźnione rany

W sierpniu 1920 r. Polakom udało się zatrzymać zarazę, która miała na dobre zainfekować Niemcy oraz inne kraje zachodnie. Sami Niemcy swoją ostatnią rozpaczliwą próbę doszlusowania do marszowego szyku podjęli jeszcze rok później. Tzw. przewrót marcowy w 1921 r. w Saksonii, na którego czele stanął m.in. odsunięty od wpływów na Węgrzech Béla Kun, był jednak kiepsko zorganizowany i spalił na panewce. Natomiast po śmierci Lenina w 1924 r. Stalin postanowił posłać niektóre „niemieckie plany" swojego poprzednika do kosza, choć na pewno nie chciał zrezygnować z utrzymania części Europy w poddaństwie. Po II wojnie światowej sowiecki dyktator nadal nacinał w Niemczech nigdy do końca niezabliźnione rany, a „spartakowcy" do dziś rzucają swój cień na rzeczywistość w politycznym Berlinie. O tym świadczą nie tylko nieusuwalne nazwy ulic po piewcach KPD, którzy tak jak Wilhelm Pieck przetrwali „rodzinne" czystki Stalina w moskiewskim Hotelu Lux i po 1949 r. przejęli władzę w NRD.

Wydarzenia ze stycznia 1919 r. wtrąciły niemiecką lewicę na dekady w spór nie do rozstrzygnięcia. Spór bynajmniej niewyczerpujący się w pytaniu, kto zabił Liebknechta i Luksemburg. Niektórzy posłowie SPD i Die Linke nadal darzą się szczerą niechęcią, która już nieraz rozładowywała się w parlamentarnych niesnaskach. Historyczne urazy nasiliły się już krótko po II wojnie światowej, w strefie zajętej przez Sowietów spowodowane choćby przymusowym zjednoczeniem SPD z KPD. Z kolei w Niemczech Zachodnich klimat zatruwali radykalni spadkobiercy Marksa z terrorystycznej Frakcji Czerwonej Armii (RAF).

Zmiany ustrojowe w 1989 r. bynajmniej nie powściągnęły apetytów niemieckich komunistów, a w niektórych pieśniach neomarksistowskich euromędrków pobrzmiewają nadal nuty zaczerpnięte z repertuaru Włodzimierza Iljicza. Okrucieństwa komunistów jakoś nie budzą ciekawości lewicowych publicystów. Jeszcze dziś spotykam w pozjednoczeniowym Berlinie niereformowalnych „romantyków", którzy twierdzą, że wczesne pisma Stalina, mającego przecież na sumieniu więcej ludzi niż wszystkie pozostałe totalitarne rządy razem wzięte, „nie są pozbawione sensu". Każdego zaś, kto próbuje z nimi polemizować, okraszają wzgardliwą etykietką „faszysty". Wciąż ukazują się w Niemczech wysokonakładowe gazety, które puszczają do druku teksty utrzymane w archaicznym tonie przemówień Liebknechta. Ciągle jeszcze funkcjonują w RFN różnorakie grupy spod znaku sierpa i młota, szczodrze zasilane strumieniem europejskich grantów. Czy oni nic nie wiedzą o historii? O komunistycznej tresurze, jakiej były przez pół wieku poddawane narody zza żelaznej kurtyny? Czasem można odnieść wrażenie, że pewne środowiska decyzyjne w Niemczech nadal bujają wśród ideologicznych abstraktów, miast spojrzeć na oczywiste fakty i przyjąć je do wiadomości.

FOT. DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM BERLIN

eprasa.pl bb51fa83aa

GDAŃSK W CZASIE WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ

KIEDY POLSKA WALCZYŁA Z NAJAZDEM BOLSZEWICKIM, W GDAŃSKU NA ULICACH POJAWIAŁY SIĘ AFISZE: „TAK BYĆ NIE MOŻE. ROBOTNICY GDAŃSCY NIE POWINNI BYĆ KATAMI REWOLUCJI ROSYJSKIEJ! ŻADNEGO MATERIAŁU WOJENNEGO DLA POLSKI"

DANIEL CZERWIŃSKI

Odradzająca się po zaborach Polska miała pełne prawo oczekiwać powrotu do macierzy Pomorza wraz z jedynym ówczesnym portem morskim w Gdańsku. Polakom wiele obiecywano, jednak ostatecznie po konferencji pokojowej w Paryżu przyznano II RP zaledwie 147 km linii brzegowej. Gdańsk był kością niezgody pomiędzy zwycięskimi mocarstwami. Francja popierała Polskę, Wielka Brytania zajmowała jednak zupełnie inne stanowisko, do którego dał się częściowo przekonać szukający „świata idealnego" prezydent USA Woodrow Wilson. Nie bez znaczenia były też protesty części miejscowych Niemców. Ostatecznie wybrano więc koncepcję utworzenia z Gdańska wolnego miasta pod »



Powszechny Związek Zawodowy w Gdańsku podjął na początku sierpnia 1920 r. decyzję o wstrzymaniu wyładunku w porcie jakichkolwiek towarów dla Polski, lata 20. XX w.

eprasa.pl bb51fa83aa

» protektoratem Ligi Narodów. O tym, że pomysł ten miał wiele mankamentów, przekonano się bardzo szybko.

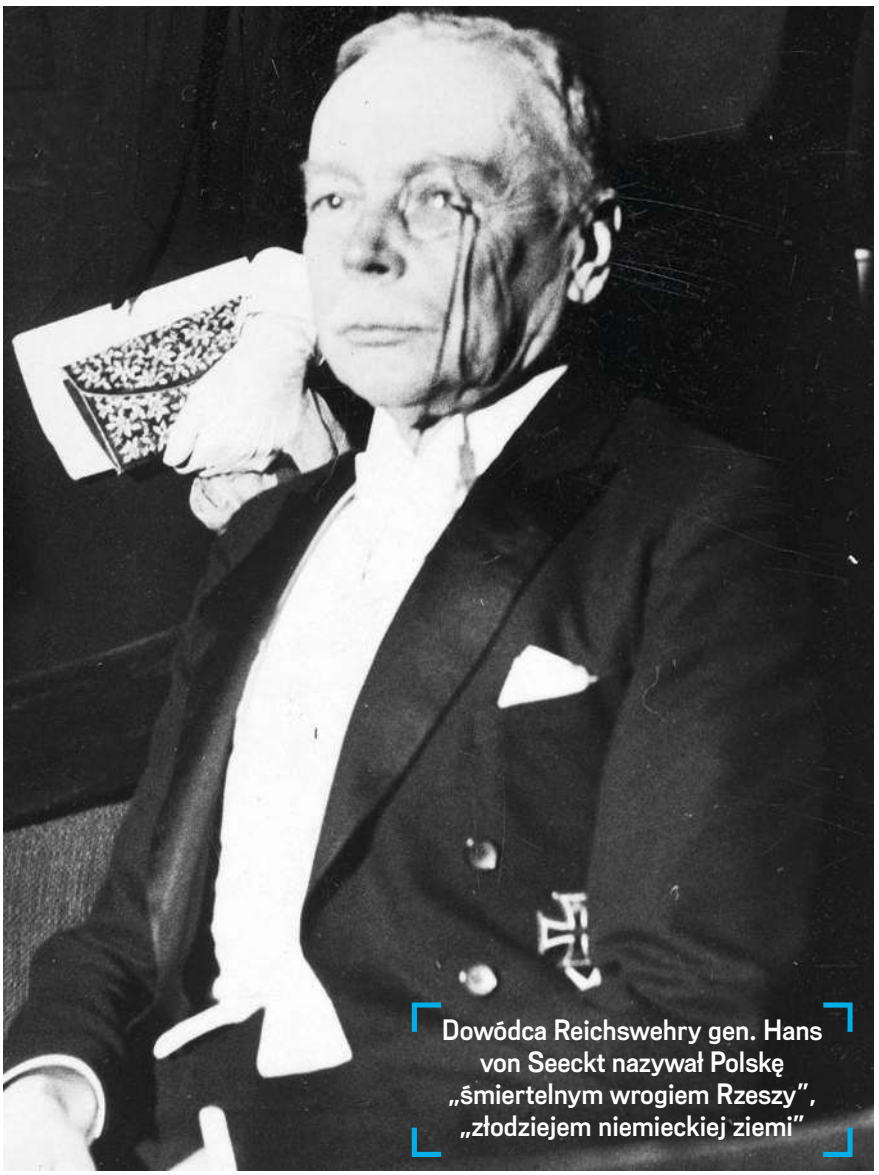
Dla nikogo nie było tajemnicą, że część ludności niemieckiej w Gdańsku była niechętna Polakom. Zdecydowanie najmocniej postanowienia z Wersalu kontestowali Niemcy napływowi oraz zwolennicy idei komunistycznych. Ich przesłanki były zupełnie inne, choć wojna polsko-bolszewicka sprawiła, że interesy obu stron zaczęły być zbieżne.

Stali sojusznicy

Nazywanie II RP przez Niemców „państwem sezonowym" nie było niczym nadzwyczajnym. Rząd niemiecki nie mógł jednak otwarcie wystąpić przeciwko Polakom, bo wywołałoby to reakcję państw Ententy. Walkę z Polską podjęła jednak rządzona przez bolszewików Rosja, której zwycięstwo wydawało się niektórym politykom niemieckim korzystne. Należał do nich niewątpliwie dowódca Reichswehry gen. Hans von Seeckt, który opowiadał się przy tym za zachowaniem neutralności w toczącej się wojnie i miał nadzieję, że po zwycięstwie nad Polską Sowieci będą respektowali linię graniczną sprzed 1914 r. Już na początku 1920 r. mówił on: „Jeśli chodzi o uratowanie przed bolszewizmem Polski, tego śmiertelnego wroga Rzeszy, tworu i sojusznika Francji, złodzieja niemieckiej ziemi, niszczyciela niemieckiej kultury, to do tego dzieła nie powinna być przyłożona żadna niemiecka ręka i jeśli diabeł będzie chciał zabrać Polskę, to powinniśmy mu w tym pomóc".

Rząd niemiecki nigdy oficjalnie nie poparł bolszewików, ale nie było tajemnicą, że wysłannicy Lenina i Trockiego prowadzili w Berlinie negocjacje, a polski wywiad raportował, że przy Armii Czerwonej znajdowali się niemieccy ochotnicy. Wyraźnym poparciem dla Rosji sowieckiej było też ogłoszenie neutralności przez Republikę Weimarską 20 lipca, a potem zakaz jakichkolwiek dostaw dla walczących stron wprowadzony 25 lipca. Biorąc pod uwagę, że dotykało to tylko Polski, trudno kwestionować korzyści płynące z tego dla bolszewików.

W tej sytuacji w opanowanym przez Niemców mieście nie może dziwić to, że hasła komunistów gdańskich o potrzebie zablokowania dostaw wojskowych dla Polski trafiały na podatny grunt. W lipcu 1920 r. w wielu krajach Europy odbywały się strajki przeciwko wojnie w Polsce.



FOT. NAC

Dowódca Reichswehry gen. Hans von Seeckt nazywał Polskę „śmiertelnym wrogiem Rzeszy", „złodziejem niemieckiej ziemi"

Akcja była zorganizowana i koordynowana przez Międzynarodówkę Komunistyczną – Komintern, który wykorzystując komunistyczne frakcje partii socjaldemokratycznych, finansował potajemnie antypolską propagandę prasową.

Polskie uprawnienia w Gdańsku wynikały z art. 104 traktatu wersalskiego. Paragraf drugi zapewniał Polsce „bez żadnych zastrzeżeń swobodne używanie, korzystanie z dróg wodnych, doków, basenów, nabrzeży i innych budowli na terytorium Wolnego Miasta, koniecznych dla wwozu i wywozu z Polski". Doprecyzowywała to odpowiednia konwencja, której podpisanie miało być jedynie formalnością. Okazało się jednak, że do listopada, kiedy została ratyfikowana, wydarzyło się w Gdańsku bardzo dużo.

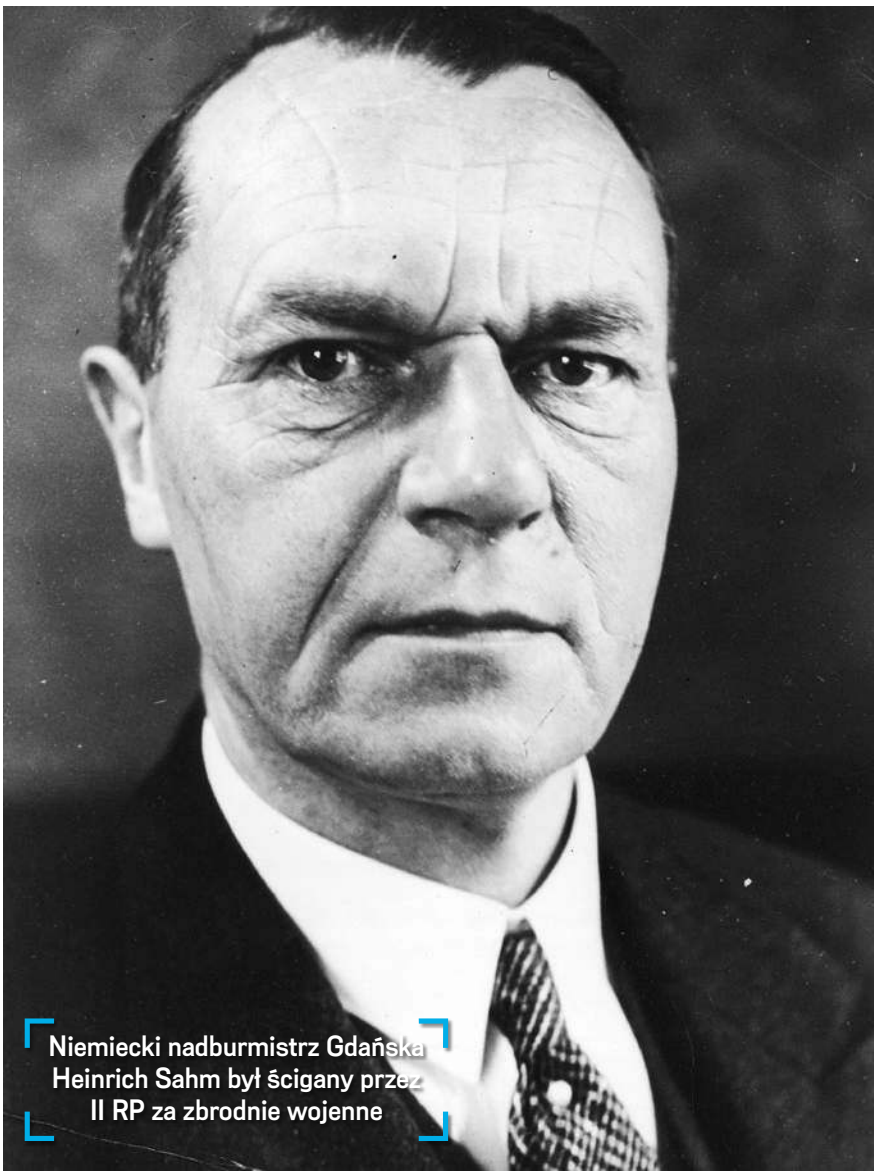
Ostatnie wojska niemieckie opuściły miasto nad Motławą w lutym 1920 r. Gwarantem spokoju w mieście do czasu ostatecznego powołania władz miały stać się wojska brytyjskie i francuskie. Kontrolę nad miastem sprawować miał z kolei przedstawiciel zwycięskich mocarstw i tymczasowy Wysoki Komisarz Ligi Narodów, brytyjski dyplomata, sir Reginald Tower. Znał on Niemcy, ich kulturę oraz mentalność. Studiował bowiem i pracował w Cesarstwie Niemieckim.

Brytyjczyk w Gdańsku

Egzekwowanie postanowień z Wersalu dotyczących portu w Gdańsku było dla Polski sprawą najwyższej wagi. Transport zaopatrzenia przez teren Niemiec jeszcze

eprasa.pl bb51fa83aa

FOT. NAC



Niemiecki nadburmistrz Gdańska Heinrich Sahm był ścigany przez II RP za zbrodnie wojenne

przed ogłoszeniem przez nie neutralności bywał utrudniony, podobnie działo się w przypadku Czechosłowacji. Gwarantem praw polskich w mieście nad Motławą powinien być sir Tower. Okazało się jednak, że zdecydowanie bardziej sprzyjał on stronie niemieckiej. Przedstawiciele polskiego rządu mieli problemy w kontaktach z Brytyjczykiem, czego nie można powiedzieć o niemieckim nadburmistrzu Heinrichu Sahmie, który dzięki wstawiennictwu Wysokiego Komisarza został nawet zdjęty z listy przestępców wojennych ściganych przez II RP za zbrodnie wojenne.

Do lipca 1920 r. transport przez Gdańsk bywał zakłócany (np. w kwietniu miasto opuściła duża grupa niemieckich kolejarzy), odbywał się jednak bez większych problemów. Ofensywa sowiecka na zachód, a także chęć wykorzystania sytuacji przez przywódców związków i niektórych ugrupowań politycznych spowodowały, że pojawiły się problemy. Trzeba bowiem pamiętać, że w letnich strajkach w Gdańsku nie chodziło tylko o utrudnienie sytuacji Polski, lecz również o poprawę bytu robotników, m.in. zmniejszenie podatków, które w Gdańsku były wyższe niż w Niemczech.

Szczególnie głośnym echem odbiła się sprawa statku z amunicją dla Polski s/s „Tryton". Już jego wypłynięcie zostało opóźnione przez strajk brytyjskich dokerów. W Gdańsku miał się pojawić 10 lipca, ale zawinął do portu dopiero 11 dni później. Podburzeni przez radykalnych działaczy portowcy wszczęli strajk. Zagrozili przy tym całkowitą blokadą portu, jeśli do rozładunku sprowadzeni zostaliby inni pracownicy. Dowodzący wojskami brytyjskimi w Gdańsku gen. Richard Haking zaproponował, żeby użyć jego żołnierzy, jednak zgodę na to uzyskano dopiero po tygodniu, a sam wyładunek odbył się na Martwej Wiśle, skąd barkami przewieziono towary do Tczewa.

Taki rozwój wypadków spowodował protesty. 29 lipca doszło do manifestacji, w wyniku której zginął jeden z robotników, a burmistrz Sahm został poturbowany przez tłum. Doszło też do ataków na polskie budynki, a w mieście pojawiło się sporo odezw podpisanych m.in. przez komunistyczny Związek Spartakusa. Wraz z informacjami o postępach Armii Czerwonej sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. 9 sierpnia Powszechny Związek Zawodowy w Gdańsku podjął decyzję o wstrzymaniu wyładunku jakichkolwiek towarów dla Polski. Tower, który już wcześniej słał do Londynu alarmujące raporty, przewidujące masowe rozruchy w mieście, nie tylko nie zaprotestował, lecz wstrzymał w porcie kolejne francuskie statki. Co więcej, nie oponował on po decyzji konstytuanty gdańskiej o ogłoszeniu neutralności Wolnego Miasta Gdańska z 20 sierpnia.

Tower, nie mając jasnych wytycznych, został przytłoczony przez sytuację. Blokada nie trwała już jednak długo. Bardziej zdecydowaną postawę zajęła w końcu Wielka Brytania, która wzmocniła swe wojska. Francuscy marynarze, nie przejmując się zakazami, rozpoczęli wyładunek towarów, a do portu wpłynął amerykański krążownik USS „Pittsburgh". Ostatniego dnia sierpnia reprezentujące gdańskich robotników organizacje związkowe w stosunku głosów 515 do 265 podjęły decyzję o zakończeniu strajku. W mieście nadal pojawiały się odezwy wzywające do blokowania dostaw dla Polski (jedna z nich podpisana przez Komunistyczną Partię Polski Sekcja Gdańsk), ale nie osiągnęły już nigdy takiego efektu.

Jako epilog warto przytoczyć historię kawalerzystów z 18 Pułku Ułanów Pomorskich. Także oni próbowali w sierpniu wyładować się w gdańskim porcie. Kiedy to się nie udało, wyszli na ląd w małej wiosce Gdynia, gdzie ostatecznie stworzono port morski, który wraz ze składnicą na Westerplatte uniezależnił II RP od „kaprysów" dokerów w Wolnym Mieście Gdańsku.

eprasa.pl bb51fa83aa

PRASA FRANCUSKA WOBEC BITWY WARSZAWSKIEJ

SIERPIEŃ 1920 r. WSZYSTKIE DZIENNIKI WE FRANCJI PISZĄ O WOJNIE POLSKO-SOWIECKIEJ, I TO NAJCZĘŚCIEJ NA PIERWSZYCH STRONACH


Le Petit Journal

ADMINISTRATION 15 CENT. SUPPLÉMENT ILLUSTRÉ 15 CENT. ABONNEMENTS

Les manuscrits ne sont pas rendus 31me Année Numéro 1.551

DIMANCHE 12 SEPTEMBRE 1920

LA VICTOIRE POLONAISE

Officiers français acclamés par la foule dans la rue Centrale, à Varsovie

FOT. EAST NEWS

JOANNA METZGER

Najpoważniejsze pisma mają rubrykę polską, w której są codzienne wiadomości z frontu. Jednocześnie publikują duże artykuły, analizując znaczenie tej wojny dla Francji i dla Europy.

Na początku miesiąca sytuacja jest już bardzo napięta, ale jeszcze nie tragiczna.

„Le Figaro" z 2 sierpnia (istniejąca do dziś gazeta prawicowa) kładzie nacisk na wagę porozumienia się Francji z Anglią w sprawie Polski. „Polska ma wciąż nadzieję" – tytułuje „Le Petit Journal" najpopularniejszy dziennik francuski z tej epoki (sympatie socjalistyczne) z 1 sierpnia. Załącza też duże zdjęcie gen. Józefa Hallera. „L'Humanite", gazeta komunistów, zajmuje się głównie polskim imperializmem, który „na czele z Dmowskim, Piłsudskim, Skulskim, Grabskim staje się narzędziem w ręku imperializmu francuskiego" – 2 sierpnia.

Niemcy z bolszewikami

Wiadomości są coraz bardziej alarmujące 5 sierpnia. Wojska sowieckie przekraczają Bug i „L'Echo de Paris" (pismo o tendencjach narodowych) pisze o „polskiej przegranej". Tego samego dnia „La Croix" (wychodząca do dziś gazeta katolicka) donosi na pierwszej stronie o sekretnym pakcie niemiecko-sowieckim i oskarża państwa Ententy o pozostawienie Polski samej. Wątek tajnego porozumienia Niemców z bolszewikami pojawia się często i jest przedmiotem analizy w „Le Temps". Poważny dziennik uważany za nieoficjalny organ dyplomacji francuskiej zajmuje się tym tematem w artykule wstępnym z 6 sierpnia pod tytułem „Berlin i Moskwa". Prowadzone są tajne rozmowy w Berlinie z przedstawicielem bolszewików V. Koppem w sprawie dostaw dla wojska. Wiadomość nie jest pewna, ale pewne jest to, że Niemcy mogą być zainteresowani zniszczeniem Polski wspólnie z Rosją sowiecką. W ten sposób chcą rozbić realia ukształtowane przez traktat wersalski. Cytuje się wypowiedź ministra spraw zagranicznych Niemiec Simmonsa, który nazwał traktat „zwykłym kawałkiem papieru". Niemcy popierają triumfalny pochód bolszewików, chcą go wykorzystać do całkowitego zniszczenia Polski, a następnie zawrzeć porozumienie z Rosją i podrzeć ten „papier z Wersalu". Na koniec autor artykułu stwierdza: „Tu jest największe niebezpieczeństwo. Naszym wrogiem jest bolszewizm. Ale czym byłby bolszewizm bez Berlina?". Następnego dnia artykuł nosi już tytuł „Pakt" i autor dodaje, że Anglia nie rozumie zagrożenia.

„Le Matin" (dziennik prawicowy) publikuje 5 sierpnia wywiad z Ignacym Paderewskim. Paderewski mówi m.in. „że tylko Francja pomaga Polsce". Krytykuje postawę Anglii i przestrzega przed konsekwencjami dla Europy, gdyby Polska została pobita: „Rosja i Niemcy staną się aliantami, gdyż to jest ich wspólny interes. Nikt nie będzie mógł im w tym przeszkodzić".

W tym momencie pojawiają się też pierwsze informacje na temat francuskiej misji wojskowej w Warszawie, a w szczególności o gen. Weygandzie. Gazety donoszą o jego nominacji na dowódcę wojsk polskich, a następnie dementują tę wiadomość, często krytykując polskie władze wojskowe. Stały korespondent w Warszawie pisze dla „Echo de Paris" 7 sierpnia: „Sprowadzono ich do roli doradców, których opinie są wysłuchiwane z wielkim namaszczeniem, ale nigdy nie

eprasa.pl bb51fa83aa

są wprowadzane w życie". „La Croix" informuje o tym, że gen. Weygand nie dowodzi polskim wojskiem, i wspomina o napiętych stosunkach między generałem a dowództwem, bez podawania jakichkolwiek nazwisk.

Następnym ważnym momentem dla prasy jest konferencja w Hythe i jej wynik. „Nie wyślemy wojsk do Polski – ogłasza Lloyd George", a cytuje go „Le Petit Journal" na pierwszej stronie 11 sierpnia.

„Excelsior" (ilustrowany dziennik, czyli pradziadek naszych tabloidów) całą pierwszą stronę wydania z 10 sierpnia poświęca wojnie w Polsce. Pod olbrzymim tytułem „Marsz Armii Czerwonej przez Polskę" narysowano dwie mapy. Pierwsza przedstawia sytuację aktualną na froncie. Druga mapa przenosi tę linię frontu na okolice Paryża. I legenda: „Wyobraźmy sobie, co by to było, gdyby Sowieci szli na Paryż?". Szok gwarantowany.

Modlitwa Europy

Na pierwszej stronie „La Croix" z 10 sierpnia, pod tytułem „Watykan i Polska", jest obszerna relacja z mszy św. za Polskę, która odbyła się w Rzymie 8 sierpnia. Przytacza się słowa papieża Benedykta XV z listu skierowanego do wikariusza rzymskiego, w którym papież dziękuje za tę inicjatywę. Wyraża życzenie, aby modlitwa za Polskę została rozpowszechniona w całym Kościele katolickim na świecie. Wszystkie gazety podają tę wiadomość – nawet komunistyczna „L'Humanite"!

Następne dni przynoszą coraz gorsze wiadomości z frontu. Widać coś w rodzaju „vent de panique" w całej prasie francuskiej. Świadczą o tym tytuły na pierwszych stronach gazet.

„Warszawa zagrożona" – „Le Figaro" z 10 sierpnia.

„Bolszewicy i Niemcy spotykają się na granicy Prus" – „Excelsior" z 12 sierpnia i cała pierwsza strona z dużymi zdjęciami żołnierzy oraz cywilów.

„Bitwa o Warszawę" – „Le Temps" z 13 sierpnia.

Panika dosięga też giełdy papierów wartościowych, na której notowania załamują się 9 sierpnia z racji wydarzeń w Polsce – „Le Temps" z 9 sierpnia.

Główną wiadomością 12 sierpnia jest uznanie przez Francję rządu „białego" gen. Wrangla. Prowadzi on zwycięską wojnę z Sowietami na Krymie. Wszystkie gazety łączą to z sytuacją w Polsce i tylko „L'Humanite" nazywa „skandalem".

15 sierpnia odbywa się doroczna pielgrzymka do Lourdes. W tym roku pielgrzymi mają się modlić także za Polskę. Na pierwszym planie pojawia się kardynał Leon Amette, arcybiskup Paryża: „Polska jest w strasznym niebezpieczeństwie. W dniu Święta Wniebowzięcia Maryi prosimy wszystkich wiernych o modlitwę za Polskę i Francję". List kardynała ma być czytany we wszystkich kościołach paryskich. Kardynał powołuje się w nim na przykład papieża, który właśnie zarządził w Rzymie modlitwy za Polskę. „Za tę Polskę, która ocaliła Europę przed turecką tyranią za czasów króla Jana Sobieskiego" – z artykułu w „Excelsior". Wszystkie gazety o tym piszą, „L'Humanite" tym razem milczy.

Decydujące starcie

A sytuacja jest straszna. Bolszewicy są pod Warszawą. Niemieccy piloci patrolują polskie niebo, szpiegując na rzecz Sowietów. Nieoceniony „Excelsior" umieszcza sześć dużych zdjęć na pierwszej stronie w wydaniu z 14 sierpnia. Jedno przedstawia gen. Weyganda, inne wojsko polskie oraz tłumy warszawiaków przed kościołami. Wewnątrz numeru – ale zapowiedziany na pierwszej stronie – wywiad z 83-letnim Władysławem Mickiewiczem, synem poety: „Oto bolszewicy u bram Warszawy. Czego chcą? Zapanować nad światem. To jest jak choroba zakaźna. Daję im rok na dojście do Niemiec, potem pójdą dalej. I co wtedy uczynią te narody?".

Teraz następuje chwila medialnej ciszy, gdyż wiadomości są niepewne, a właściwie ich brak. Telegramy nie dochodzą i wszyscy są w oczekiwaniu na wieści. „Bitwa wokół Warszawy i o Warszawę prowadzona w bardzo ciężkich warunkach. Aktualne zgrupowanie wojsk polskich dokonuje się według planu generała Weyganda. Polacy odnieśli chyba pierwsze zwycięstwo". Ostrożnie zaczyna „Le Temps" z 16 sierpnia. Dużo jest też o patriotyzmie polskim i o absolutnej woli walki o Warszawę. 17 sierpnia Polacy bronią się dzielnie, a już od 18 sierpnia pisze się oficjalnie o zwycięstwie.

„Warszawa uwolniona" – „Le Petit Journal" pisze o oficerach francuskich na pierwszej linii frontu, podając nazwiska generałów Billot i Henry.

19 sierpnia na pierwszej stronie „Le Figaro" ogłasza, że Warszawa jest uratowana, i od razu pojawia się wątek roli gen. Weyganda. Według gazety rola generała jako doradcy wojskowego była olbrzymia: „Wniósł on do polskiego bohaterstwa francuskie metody wojskowe".

18 sierpnia „Echo de Paris" jeszcze ostrożnie, ale już z pewnością, pisze o sukcesie polskiego wojska i podaje cztery powody: obronne walory Warszawy, otoczonej fortyfikacjami starymi, ale dobrej jakości, bałagan w dowództwie czerwonych, dobre rady dawane przez gen. Weyganda Polakom w sposób delikatny „avec douceur", dobre wieści z frontu krymskiego od gen. Wrangla.

Zwycięstwo!

Od tej chwili wszystkie wieści z Polski są znakomite, a tytuły na pierwszych stronach pełne entuzjazmu. Wszyscy piszą o sukcesie polskim, polskiego wojska, samej Polski, ale też wysuwa się na pierwszy plan postać gen. Weyganda jako doradcy wojskowego. „Le Temps" z 20 sierpnia podaje dokładny opis manifestacji w Warszawie przed siedzibą misji francuskiej, podczas której tłum wdzięcznych warszawiaków wiwatuje na cześć Weyganda, oficerów francuskich i Francji. Wszystkie dzienniki piszą o tym z radością, z wyjątkiem „L'Humanite", który uważa, że „ci, co się cieszą ze zwycięstwa Piłsudskiego i Weyganda, są kontrrewolucjonistami".

Radość wielu redakcji jest szczera i wyraża się zależnie od profilu gazety. „La Croix" z 20 sierpnia pisze w artykule wstępnym: „W grudniu 1918 r. w Lourdes gen. Haller oddał armię polską w opiekę Maryi Dziewicy. Maryja właśnie dała swą odpowiedź!".

29 sierpnia tłum paryżan wita na Gare de l'Est gen. Weyganda. „Zwycięzca z Warszawy", „Obrońca Polski", „Wyzwoliciel" – to tylko niektóre tytuły prasowe. Prasa zachwyca się „strategią francuską i polskim bohaterstwem". Tylko „La Croix" i „Le Temps" dopuszczą do głosu samego Weyganda. 28 sierpnia na pierwszej stronie „Le Temps" umieszcza wywiad z generałem przeprowadzony tuż przed jego wyjazdem z Warszawy. „Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem już wczoraj – na przyjęciu w Ratuszu – a mianowicie, że zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej jest dziełem polskim, odniesionym dzięki strategii polskiego dowództwa i dokonanym przez polskie wojsko".

eprasa.pl bb51fa83aa



Grupa literatów, żołnierzy Armii Ochotniczej. Od lewej widoczni m.in.: ppłk Marian Dienstl-Dąbrowa, Eugeniusz Małaczewski, Emil Zegadłowicz, Władysław Rabski, Edward Ligocki, redaktor Władysław Buchner, mjr Jan Grabowski, 1920 r.



PRZED WOJNĄ JEGO OPOWIADANIA ZNAŁA CAŁA INTELIGENTNA POLSKA, A UTWORY MAŁACZEWSKIEGO TRAFIŁY DO WYPISÓW SZKOLNYCH. PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ KOMUNIŚCI OCZYWIŚCIE ROBILI, CO MOGLI, ABY O PISARZU JAK NAJMNIEJ BYŁO SŁYCHAĆ. PO 1989 r. POJAWIŁ SIĘ POD JEGO ADRESEM ZARZUT ANTYSEMITYZMU

BOLSZEWICKA APOKALIPSA I TRIUMF POLSKIEGO DUCHA W TWÓRCZOŚCI EUGENIUSZA KORWIN-MAŁACZEWSKIEGO

eprasa.pl bb51fa83aa



MACIEJ GLOGER

W arcydziele, jakim jest opowiadanie Eugeniusza Korwin-Małaczewskiego, wieńczącym zbiór jego utworów o tym samym tytule: „Koń na wzgórzu" (1921) – pośród wielu scen i motywów próbujących oddać bezmiar bolszewickiego okrucieństwa, znajdujemy niepozorną scenę, rozgrywającą się w zdemolowanym przez sołdatów polskim kresowym dworze: „Uwagę mą zwróciła duża księga in folio, leżąca na podłodze w niedbałym rozwarciu i roztrzepaniu kart, z resztkami grubej pozłoty na brzegach i grzbiecie, tłoczona czcionkami greckimi na papierze pożółkłym od czasów. [...] Owiała mnie wspomnieniem znajoma treść: boski Platon bronił w obliczu wieków nieśmiertelnego Sokratesa... Przebiegłem oczami kartę do samego dołu i odwróciłem ją, sam o tym dobrze nie wiedząc. Wtem nagły fetor odepchnął, odtrącił mnie od rozwartej księgi... Odwróconą kartę ohydną lepką kałużą okrywały rozlane odchody ludzkie".

To tylko jeden z wielu porażających motywów, na które natrafimy w prozie Małaczewskiego, kondensujących sens bolszewizmu w znakomitym skrócie artystycznym, oddającym w pełni istotę komunistycznej ideologii, która tylko pozornie i taktycznie głosiła szczytne hasła równości i sprawiedliwości historycznej, a w istocie była przepełniona satanistyczną nienawiścią do człowieka oraz pasją niszczenia wielowiekowej kultury. Księga, stanowiąca jeden z najważniejszych symboli łacińskiej Europy, będąca znakiem Boskiego ładu, harmonii, piękna stworzenia, zostaje tu odpowiednio potraktowana przez „hunów postępu", stanowiących historyczne ukonkretnienie „dialektycznej bestii" marksizmu. Odsyłam tutaj do metafor Zbigniewa Herberta i jego słynnej „Elegii na odejście", gdzie pokrewnymi symbolami cywilizacji były pióro, atrament i lampa, które dostały się także w „prostackie tryby historii".

Literatura piękna i badanie bolszewizmu

Istotę i źródła rewolucji bolszewickiej próbowało przedstawiać wielu historyków, filozofów i teoretyków cywilizacji. Pośród nich byli także tacy jak Mikołaj Bierdiajew i Marian Zdziechowski, którzy wskazywali na metafizyczne źródła tego wydarzenia i jego religijne konsekwencje. Byli także tacy jak Richard Pipes czy Andrzej Andrusiewicz, którzy skupiali się bardziej na socjologiczno-ekonomicznych i naukowo weryfikowalnych źródłach, by opisać przyczyny wybuchu rewolucji 1917 r. Byli i tacy, którzy dowodzili, jak Andrzej Walicki czy, z innych pozycji, wybitny powieściopisarz Józef Mackiewicz, że komunizm nie ma wiele wspólnego z kulturą rosyjską. Byli w końcu badacze, którzy przekonująco dowodzili, że czerwony carat jest tylko kontynuacją caratu białego. Ci myśliciele, do których zaliczamy Jana Kucharzewskiego, Bogumiła Jasinowskiego, a także Mariana Zdziechowskiego i Feliksa Koneczny, tworzyli tzw. polską szkołę sowietologiczną uświadamiającą, że bolszewizm jest wrogiem cywilizacji łacińskiej, której Polska jest przedmurzem. Szkoła ta utwierdzała swoje tezy na podstawie bliskiego doświadczenia i bezpośredniej obserwacji bolszewickiego barbarzyństwa. Po lekturze polskich relacji z okresu zmagań z bolszewizmem powstaje refleksja, że dla właściwego i głębszego zrozumienia tego, co wydarzyło się w 1917 i później w 1920 r., niezbędne jest także zapoznanie się ze źródłami literackimi. Łączą one bowiem walor dokumentu historycznego z artystyczną wrażliwością otwierającą nam oczy na imponderabilia, na rzeczy trudno uchwytne, duchowo-psychologiczne, ale – jak dowodzi konsekwentnie w swych opowiadaniach Małaczewski – mające kluczowe znaczenie w zwycięstwie odradzającej się Polski nad sowiecką Rosją.

Polska literatura obfituje w liczne wybitne dzieła o walorach dokumentalnych na temat wojny polsko-bolszewickiej, spośród których wymienić trzeba „Pożogę" Zofii Kossak-Szczuckiej czy „Cud nad Wisłą" Adama Grzymały-Siedleckiego. Są to dzieła w dużej mierze skazywane na zapomnienie także po 1989 r. Powodem zapomnienia, jak można się domyślać, jest obecność w tych dziełach wielu niepoprawnych i niewygodnych, także dla dzisiejszej polityki historycznej Unii Europejskiej, prawd historycznych.

Krótkie życie żołnierza pisarza

Eugeniusz Korwin-Małaczewski urodził się w 1897 r. na Ukrainie w okolicach Humania. Wcześnie stracił ojca, wiele z jego rodzeństwa wcześnie umarło, sam odziedziczył słabe zdrowie. Skończył szkołę miejską w Humaniu, w której silnie zaznaczał się wpływ polskiej kultury. Pracując jako pomocnik adwokata, korzystał z bogatej biblioteki swego pryncypała i nasiąkał polską literaturą. Wpływy polskiego mesjanizmu oraz powieści historycznej Henryka Sienkiewicza są bardzo wyraźne w jego twórczości, ale objawiają się na sposób niezwykle oryginalny. W 1915 r. ochotniczo wstąpił do armii rosyjskiej. W czasie służby uzupełniał wykształcenie i zdał maturę. W 1916 r. ukończył szkołę podchorążych w Kijowie, został instruktorem wojskowym, później dowódcą kompanii. Uczestniczył w licznych walkach, ulegając w ich trakcie zatruciu gazami bojowymi, co nadwątliło jego zdrowie.

Po wybuchu rewolucji przyłączył się do polskich organizacji wojskowych tworzonych na terenie Rosji. Najpierw służył w I Korpusie gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, a potem w III Korpusie Eugeniusza Henninga-Michaelisa, w końcu znalazł się w tzw. Żelaznej Brygadzie gen. Józefa Hallera. Po przegranej bitwie z Niemcami pod Kaniowem (11 maja 1918 r.) i wobec rozbrajania polskiego wojska przez bolszewików wyrusza do Archangielska, gdzie lądują oddziały interwencyjne koalicji. W trakcie wędrówki wielokrotnie był aresztowany i skazany na rozstrzelanie. W Archangielsku nabawił się gruźlicy, która będzie przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Tam przyłączył się do polskich oddziałów formowanych pod angielskim dowództwem. Realia tej komitywy z Anglikami opisał z humorystycznymi akcentami w opowiadaniu „Blokhauz pod syreną". Po uczestnictwie w zmaganiach koalicji z bolszewikami o Archangielsk powrócił via Murmańsk, Newcastle, Londyn, Havre, Paryż do Europy i dołączył do sił polskich formowanych we Francji. Dzięki tym doświadczeniom Małaczewski stał się najważniejszym literackim kronikarzem opisującym epopeję murmańską, czyli udział polskich żołnierzy wspierających interwencję państw zachodnich w Rosji. Do kraju powrócił wraz Błękitną Armią gen. Hallera w kwietniu 1919 r. W maju i czerwcu bierze ponownie udział w walkach z bolszewikami na kresach południowych. Od jesieni następuje gwałtowne pogorszenie stanu jego zdrowia, także psychicznego, co powoduje odesłanie go na rekonwalescencję. Wtedy też rozpoczyna intensywną »

FOT. FOTOGRAFIA Z PUBLIKACJI Z. CHRZASTOWSKIEGO „LEGENDA MURMANSKA", NAC

eprasa.pl bb51fa83aa



» działalność pisarską. Pojawiające się od grudnia 1919 r. m.in. w „Rzeczpospolitej" opowiadania przynoszą mu rozgłos i poważanie. W grudniu 1920 r. zostaje awansowany na porucznika. Nawiązuje liczne kontakty ze środowiskiem literackim. Ciepłe relacje łączą go ze Stefanem Żeromskim, który odnajduje w jego twórczości wiele cech mu bliskich. Żeromski jako autor reportażu „Na probostwie w Wyszkowie" musiał docenić artystyczną precyzję i bogactwo ujęć składających się na wnikliwość i sugestywność rozpoznania bolszewickiego zagrożenia. Utwory Małaczewskiego pojawiające się w prasie w przełomowym sierpniu 1920 r. krzepiły Polaków moralnie i mobilizowały do nieustawania w walce. W grudniu 1921 r. wyjechał na leczenie gruźlicy do Zakopanego. Tam umarł 19 kwietnia 1922 r. Wszystkie te życiowe doświadczenia wnikliwy czytelnik odnajdzie zobrazowane w twórczości Małaczewskiego, w której fikcji literackiej jest niezmiernie mało.

Przyczyny zapomnienia – antysemityzm?

Literatura międzywojnia odnotowała na różne sposoby znaczący udział Żydów w ruchu komunistycznym. Żeromski w „Przedwiośniu" i dramacie „Ponad śnieg bielszy się stanę", Wacław Sieroszewski w dramacie „Bolszewicy", Reymont w niewykończonej antyutopii o wymiennych tytułach „Chrystus vel Misterium", Karol Hubert Rostworowski w dramacie „Antychryst", Zofia Kossak-Szczucka w „Pożodze", Marian Zdziechowski w swych rozprawach, zwłaszcza w „Czerwonym terrorze". Małaczewski wielokrotnie akcentuje powszechnie konstatowany przez historyków i socjologów fakt żydowskiej narodowości nie tyle teoretyków komunizmu, ile przede wszystkim przedstawicieli internacjonalnej elity bolszewickiej, stanowiącej kadrę bezwzględnych realizatorów tej zbrodniczej ideologii. Polski twórca rejestrował ten fakt wespół z całą ówczesną Europą i takimi sławami jak Tomasz Mann czy Winston Churchill. Zjawisko to postrzegał w religijnych kategoriach fałszywego proroctwa: „Współcześni Żydzi międzynarodowi wzięli w krwawy pacht naród wielomilionowy, wpierw uwiódłszy go fałszywym proroctwem Żyda Marksa. [...] Lecz na obliczu każdego wcielenia tych haseł w czyn – wyszczerza się potworny grymas Antychrystowego Szatana Dziejów". Podobnie jak Kossak-Szczucka w „Pożodze" rejestruje pisarz także socjologiczny fenomen silnego zaangażowania się młodzieży i biedoty żydowskiej w ruch bolszewicki, co doskonale powodowało narastanie antysemickich nastrojów. Bolszewicy np. wysyłali najczęściej komisarzy narodowości żydowskiej, aby indoktrynowali polskich harcerzy wciąganych w struktury komunistyczne i przyuczali ich, aby zamiast tradycyjnego pozdrowienia „czuwaj!" odpowiadali komunistycznym „bud' gotow!". „Zagadnięty tymi słowy harcerz polski odpowiadał zazwyczaj z szelmowską uciechą „»Bit' żydow«". Oczywiście działo się tak bardzo krótko, albowiem perswazja komisarzy szybko zamieniła się w wymyślne okrucieństwo i gehennę polskich „orląt i żórawiąt" [sic]. Trzeba podkreślić, że mimo tego powszechnego antypolskiego nastawienia, które powróciło w 1941 i po 1944 r., przemoc – i to często niewyobrażalna, jak ukazują to Kossak-Szczucka i Małaczewski – dosięgała Żydów głównie ze strony ukraińskiej, tak samo zresztą jak Polaków. Szkic „Cor cordium Poloniae" jest wielkim hołdem oddanym martyrologii na kresach polskich dzieci i młodzieży, instynktownie lgnącej do ducha polskości ku wstydowi dorosłych koniunkturalistów.

Polska cywilizacja

Z literatury okresu międzywojennego wyłania się przekonanie, ugruntowane na odżywającej wtedy w obliczu wschodniego zagrożenia tradycji antemurale christianitatis, że cywilizacja polska stanowi przeciwieństwo zarówno komunistycznego, jak i kapitalistyczno-liberalnego materializmu, a więc dwóch ekonomicznych lewiatanów nowoczesnego świata. Ich sojusz odsłonił w swej książce „Wall Street a rewolucja bolszewicka" (1974) Antony C. Sutton, ale i wielu innych znaczących historyków, których pomawia się o uleganie tzw. teoriom spiskowym. Sojusz ten zauważali wcześniej polscy ekonomiści narodowi: Roman Rybarski czy Adam Doboszyński. Ten ostatni, autor „Gospodarki narodowej", jeszcze w 1941 r. obiecywał: „Stworzymy własny ustrój gospodarczy, niezapożyczony u Adama Smitha ani Marksa". Roman Rybarski trafnie dostrzegał zbieżność podstaw i celów liberalizmu ekonomicznego oraz centralizmu komunistycznego: „Na platformie międzynarodowego uregulowania stosunków gospodarczych i politycznych spotyka się liberalny bankier z przedstawicielem zawodowych związków robotniczych; złota i czerwona międzynarodówka idą razem". Polska miała za zadanie przeciwstawić się temu apokaliptycznemu sojuszowi ogarniającemu Europę. Ten idealizm polski przemieniał się czasem w złudną utopię „szklanych domów" i w efekcie w rozczarowanie. Żeromski, mimo że doceniał Małaczewskiego, był bowiem daleki od chrześcijańskich inspiracji. Małaczewski na skutek wstrząsających przeżyć wojennych przechodził głęboką przemianę duchową pozwalającą spoglądać mu na konflikt z bolszewizmem i marksizmem w perspektywie eschatologii apokaliptycznej. Zatrważającym symbolem rodem z Apokalipsy jest tytułowy „koń na wzgórzu" – jeden z najbardziej silnych i przerażających symboli literackich. Siłę do zwalczania „szatana dziejów" Małaczewski czerpał, tak jak Kossak-Szczucka i legiony polskich żołnierzy, z chrześcijańskiego uniwersalizmu. Swymi religijnymi refleksjami nawiązywał ożywczy dialog z mesjanizmem i kontynuował najwyższe doświadczenia polskiej mistyki romantycznej i europejskiej, ukazującej historię jako zmaganie się szatańskiego zła z przesłaniem miłości Chrystusa. Jednym z najbardziej przekonujących i po dziś promieniujących siłą mesjaniczną świadectw, że taka formacja moralna ukształtowała się w odrodzonej Polsce, było odparcie bolszewizmu i „cud nad Wisłą". Ważnym świadectwem niesamowitego wysiłku, poświęcenia i psychologii tej formacji pokoleniowej jest zjawiskowa twórczość Małaczewskiego, którą należy jak najszybciej przywrócić także edukacji szkolnej.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl bb51fa83aa



ANDRZEJ FEDOROWICZ

WOJOWNIK ZE ZBARAŻA

JÓZEF JAWETZ JAKO JEDEN Z 12 ŻOŁNIERZY PRZEŻYŁ „POLSKIE TERMOPILE" – KRWAWĄ BITWĘ Z BOLSZEWIKAMI POD ZADWÓRZEM, WALCZYŁ POD NARWIKIEM I NAD LOARĄ, ZGINĄŁ JAKO BOHATER FRANCUSKIEGO RUCHU OPORU

Rozpoczęta 16 sierpnia 1920 r. polska kontrofensywa znad Wieprza była niezwykle ryzykownym manewrem. Prawa flanka polskiego wojska została niemal całkowicie odsłonięta i gdyby uderzyła w nią znajdująca się pod Lwowem Konarmia Siemiona Budionnego, polskie siły znalazłyby się w kleszczach dwóch sowieckich frontów. Tego samego dnia na bolszewików ruszył kontratak spod Lwowa. Został odparty, jednak Konarmia straciła czas. Gdy rankiem 17 sierpnia Małopolskie Oddziały Armii Ochotniczej – MOAO wycofywały się w stronę Lwowa, jednym z batalionów wchodzących w skład oddziału pościgowego Romana Abrahama dowodził >>

Józef Jawetz w czasie szkolenia podoficerskiego w Strasburgu, gdzie odbył elitarny kurs minersko-pirotechniczny

FOT. ARCHIWUM DOMOWE MARIE-IRENE HICTER (Z D. JAWETZ)

Teprasa.pl bb51fa83aa

» kpt. Bolesław Zajączkowski. 29-letni notariusz z Brodów nie wiedział jeszcze, że przyjdzie odegrać mu rolę polskiego Leonidasa.

Batalion posuwał się nasypem wzdłuż torów kolejowych do odległego 30 km Lwowa, gdy nagle dostał się pod ostrzał z karabinów i dział. Mała stacja kolejowa Zadwórze, która poprzedniego dnia była w polskich rękach, została zdobyta przez budionnowców z 6 Dywizji Konarmii. Polakom nie pozostało nic innego, jak przebić się przez sowieckie pozycje. Kpt. Zajączkowski poprowadził atak na wieś Zadwórze, a por. Antoni Dawidowicz na baterię artylerii. W południe, po pięciu godzinach walk, stacja kolejowa została odbita, jednak na pomoc swoim oddziałom pośpieszyli Kozacy Budionnego. W ciągu kolejnych kilku godzin batalion kpt. Zajączkowskiego odparł sześć kawaleryjskich szarż. Gdy skończyła się amunicja, dowódca nakazał wycofanie się wzdłuż torów w stronę lasu. Polacy zatrzymali się obok budki dróżnika, było ich ok. 350. Szybko się zorientowali, że są w okrążeniu, jednak wezwanie do poddania odrzucili z pogardą. Ostatnie kule kpt. Zajączkowski i kilku innych żołnierzy zachowali dla siebie, pozostali walczyli do końca – na bagnety, kolby, gołymi rękami. Dopiero ok. godz. 18 budionnowcom udało się pokonać opór. Zginęło 318 Polaków – ich ciała były tak zmasakrowane przez szable i kule, że tylko 106 udało się później zidentyfikować. Do niewoli dostało się 25 Polaków. Jedenastogodzinną bitwę przeżyło tylko 12 rannych. Jednym z nich był 15-letni Józef Jawetz.

Specjalista od wysadzania mostów

Urodził się 2 stycznia 1905 r. we Lwowie, mieszkał jednak z rodziną w odległym 140 km na wschód Zbarażu k. Tarnopola. Jego ojciec, Emil Jawetz, miał żydowskie korzenie i był ostatnim prywatnym właścicielem zbaraskiego zamku, a także dużego majątku rolnego, lasów, dwóch młynów wodnych i browaru. Józef był jeszcze gimnazjalistą, gdy zaciągnął się do MOAO, by walczyć w obronie Lwowa. Rozpoczął służbę jako jeden z najmłodszych żołnierzy batalionu kpt. Zajączkowskiego. Za odwagę na polu walki został odznaczony medalem 20 regimentu piechoty MOAO i specjalnym dyplomem. Gdy wyleczył rany spod Zadwórza, wrócił do szkoły i po maturze rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej. Ukończył je w 1925 r. w wieku zaledwie 20 lat.

Naukę postanowił kontynuować we Francji, w Instytucie Elektrycznym Politechniki w Grenoble. Gdy był za granicą, jego ojciec został w 1928 r. burmistrzem Zbaraża. Emil Jawetz pełnił tę funkcję przez kolejne sześć lat. W 1929 r. Józef uzyskał tytuł inżyniera elektryka, a rok później poślubił młodszą trzy lata nauczycielkę, Jadwigę Kopczyńską ze Zbaraża. Katolicki ślub odbył się w kościele Świętego Krzyża w Grenoble, a kilka miesięcy później młodzi małżonkowie otrzymali francuskie obywatelstwo. Jadwiga również podjęła studia politechniczne w Grenoble i w 1936 r. otrzymała dyplom inżyniera elektryka. Małżeństwo pracowało w jednym zawodzie w Sabaudzkim Przedsiębiorstwie Robót Elektrycznych w Aix-les-Bains.

JÓZEF JAWETZ BYŁ JESZCZE GIMNAZJALISTĄ, GDY ZACIĄGNĄŁ SIĘ DO MAŁOPOLSKICH ODDZIAŁÓW ARMII OCHOTNICZEJ, BY WALCZYĆ W OBRONIE LWOWA

Józef odbył służbę wojskową w Strasburgu, gdzie ukończył elitarny kurs minersko-pirotechniczny i szkolenie podoficerskie, uzyskując w 1932 r. pierwszą lokatę spośród 120 podoficerów. Jako rezerwista w stopniu starszego sierżanta został zmobilizowany we wrześniu 1939 r. i pół roku później wysłany jako inżynier 27 dywizji alpejskiej w okolice portu Narwik, o który od kwietnia 1940 r. toczył boje Aliancki Korpus Ekspedycyjny. Gdy jednak 10 maja wojska niemieckie zaatakowały Francję, wraz z częścią oddziału został pośpiesznie wycofany do kraju. Odtąd zadaniem Józefa Jawetza były działania sabotażowe, m.in. wysadzanie mostów i barek na Loarze.

Za udział w kampanii wyróżniono go rozkazem dowództwa wojsk inżynieryjnych i krzyżem wojennym. 18 lipca 1940 r. Józef Jawetz został zdemobilizowany i wrócił do domu. W tym czasie jego ojciec nie żył już od ponad pół roku. Tydzień po sowieckim ataku na Polskę Emil Jawetz został aresztowany przez NKWD i zmarł w sowieckim więzieniu 15 stycznia 1940 r., rzekomo na zawał serca.

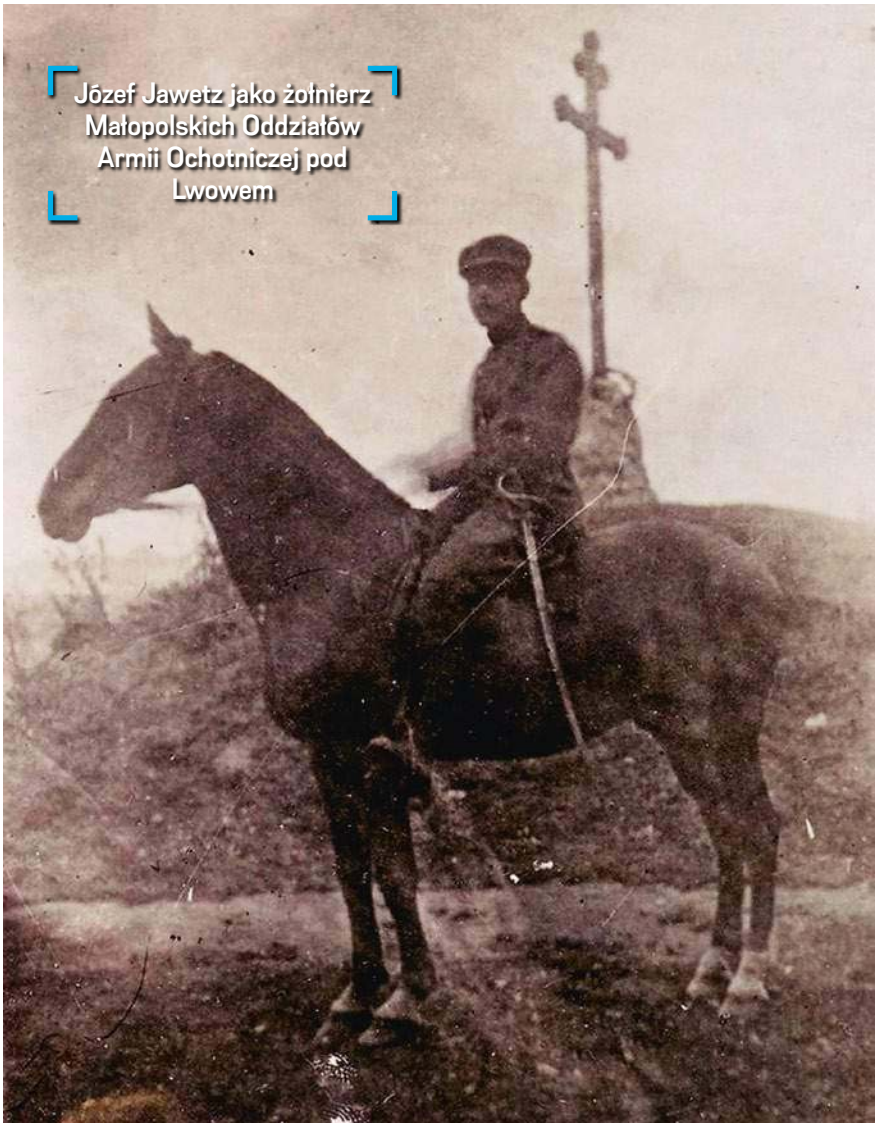
„Niech krew wroga nieczysta nasyci nasze ziemie"

Po powrocie z wojny Józef Jawetz podjął ponownie pracę w Aix-les-Bains. Nie wiadomo dokładnie, kiedy on i jego żona zostali członkami maquis – francuskiego ruchu oporu w rejonie Baques. Jest prawdopodobne, że byli żołnierzami francuskiej Armée Secrète – AS już od jej powołania we wrześniu 1942 r. 6 czerwca 1944 r., w dniu lądowania aliantów w Normandii, brytyjskie radio nadało fragment Marsylianki ze słowami „qu'un sang impur abreuve nos sillons" – „niech krew wroga nieczysta nasyci nasze ziemie". Był to sygnał do powszechnej mobilizacji wszystkich sił ruchu oporu.

W Sabaudii 7 czerwca 1944 r. lokalny dowódca AS, kpt. Blanchard, wydał rozkaz zablokowania dróg prowadzących do doliny Bauges. Partyzanci z regionów Aix-les-Bains i Chambery, żołnierze AS i komunistycznej FTPF – Francs-Tireurs et Partisans Francais mieli się zgrupować na płaskowyżu. Dzień później było na nim ok. 400 bojowników, w tym Józef Jawetz. 10 czerwca Niemcy zajęli pozycje wokół masywu i rozpoczęli atak.

Francuzi ponieśli ciężkie straty. Zginęło 20 maquis, wielu było rannych i zarządzony został odwrót. Dzięki doskonałej znajomości terenu Józef Jawetz przyczynił się wtedy do uratowania życia wielu ludziom. Jadwiga pełniła wówczas funkcję łączniczki pomiędzy grupami działającymi w Aix i partyzantami z rejonu Bauges. Zawsze udawało się jej przejechać przez niemieckie posterunki kontrolne pod pretekstem zdobywania żywności. Wiele razy unikała wpadki dzięki rozbudowanej sieci kontaktów, m.in. z panią Marine, właścicielką kwiaciarni, która naprawdę nazywała się Ouchakoff i była aktywną agentką ruchu oporu.

eprasa.pl bb51fa83aa



Józef Jawetz jako żołnierz Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej pod Lwowem

FOT. ARCHIWUM DOMOWE MARIE-IRENE HICTER (Z D. JAWETZ)

Polak werbuje żołnierzy z Wehrmachtu

4 lipca na Bauges został skierowany bardzo silny atak niemieckiej 157 dywizji. Partyzanci zostali zmuszeni do rozproszenia się. Gdy Niemcy wycofali się 8 lipca po dokonaniu zniszczeń i podpaleń, pozostawiając po sobie ruiny, partyzanci znów przystąpili do akcji. Józef Jawetz został wcielony jako starszy sierżant do oddziału pod dowództwem kpt. Godarda – komendanta AS Górnej Sabaudii.

Plan operacyjny przewidywał odcięcie dróg dostępu do Annecy w celu uniemożliwienia dotarcia tam posiłków z Aix-les-Bains lub Grenoble.

Przez trzy dni trwały ciężkie walki. 17 sierpnia na skutek akcji sabotażowej przeprowadzonej przez Józefa Jawetza wysadzony został most w miejscowości Alby-sur-Charan. Siła potężnej eksplozji przemieściła bloki kamieni na odległość 800 m. Po zablokowaniu drogi z Annecy partyzanci otoczyli miasto, a 21 sierpnia po południu rozpoczęli atak. Uniemożliwili podpalenie przez Niemców hotelu Mirabeau i ok. godz. 23 miasto zostało wyzwolone. Następnego dnia mieszkańcy entuzjastycznie przyjęli defiladę zwycięskich oddziałów, zorganizowaną przez władze i dowództwo ruchu oporu. Po południu 22 sierpnia Józef Jawetz skorzystał z krótkiego urlopu, odwiedził żonę i córkę, by po kilku spędzonych z nimi godzinach powrócić do oddziału i kontynuować walkę.

Tymczasem płk Galbert wydał rozkazy zaatakowania miejsca połączenia dwóch dolin rzecznych Isery i Arc. Celem było odcięcie Niemcom dróg odwrotu przez most Pont Royal w miejscowości Saint Pierre d' Albigny. Posiłki z Górnej Sabaudii dotarły 23 sierpnia na Przełęcz Frenejską i ok. godz. 15 rozpoczęły atak na Saint Pierre d'Albigny. Blisko 500 żołnierzy niemieckich broniło się nieopodal dworca. Dzięki akcji Józefa Jawetza na stronę partyzantów przeszli wcieleni przymusowo do Wehrmachtu Polacy artylerzyści. Walki trwały do późnej nocy. Następnego dnia po wznowieniu ataku i gwałtownej wymianie ognia wróg wycofał się w pośpiechu się w stronę Pont Royal.

Bohater Polski i Francji

W pościgu za Niemcami oddział Dominika wspierany przez trzech ochotników – Virieu, Jamina i Mouillère'a – zabezpieczył brzegi Isery i wziął do niewoli ok. 50 jeńców. Akcja została przerwana, gdy Mouillère padł trafiony z bliskiej odległości kulą. W czasie udzielania rannemu koledze pomocy śmiertelnie ugodzony w głowę został pełniący funkcję zastępcy szefa oddziału Józef Jawetz. Miał 39 lat. W dzienniku przemarszu kompanii Jouberta dokładnie opisano jego śmierć: „Zwiadowca Lucien Missillier dwukrotnie sprawdzał teren, ale ogień z karabinu maszynowego zamaskowanego w okopie otworzyli Niemcy dopiero w czasie głównego ataku. Seria przeszła nad głową Gaby Rachex i dosięgła Józefa Jawetza w głowę. Przetransportowany został przez panią Joubert do szpitala w Saint Pierre, gdzie o godzinie 15-tej zmarł na skutek odniesionych ran".

Józef Jawetz został w 1945 r. pośmiertnie udekorowany Medalem Wojskowym i Krzyżem Wojennym z Palmą. Po jego śmierci oddział Dominika zwrócił się do Jadwigi Jawetz z prośbą, by przyjęła zaszczytną rolę matki chrzestnej oddziału. Propozycja została przyjęta. Zimą 1944/1945 roku Jadwiga organizowała pracę ochotniczek, które przygotowywały dla partyzantów rękawice, ochraniacze śniegowe, szale i inne przydatne w terenie elementy wyposażenia.

Józef Jawetz musiał mieć dobre relacje z członkami swojego oddziału i wielu z nich przez lata utrzymywało stałe kontakty z jego rodziną. Mieszkańcy okolic Petit Bornand i masywu Glières zadbali po wojnie o wdowę i jej dzieci, z którymi spędzali razem nie tylko wakacje. W miejscu, gdzie zginął Józef Jawetz, wzniesiono pamiątkowy obelisk. Opiekują się nim władze regionu i organizacje kombatanckie. Niedawno córka Józefa i Jadwigi Jawetzów, Marie-Irene Hicter, zgłosiła pomysł, by w miejscu śmierci jej ojca umieścić dodatkową tablicę informującą o jego udziale w bitwie pod Zadwórzem – „Polskimi Termopilami". Starania trwają.

eprasa.pl bb51fa83aa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

„W imię całego narodu”

Jarosław Szarek

Zapaść gospodarki PRL w końcu lat 70. sprawiła, że wybuch społecznego niezadowolenia był nieunikniony. Przewidywały go zarówno opozycyjne analizy, jak i raporty SB. Jego konsekwencje przerosły jednak wszelkie oczekiwania

Zaczęło się w lipcu 1980 r. od spraw drobnych, czego symbolem była cena kotleta w zakładowej stołówce. Niebawem doszły żądania o charakterze politycznym (m.in. wolne wybory, ograniczenia obecności wojsk sowieckich w PRL, powrót „ziem wschodnich do macierzy”). Szybko schowano je pod stół – jako niemożliwe do spełnienia.

Na łamach gdańskiego „Bratniaka” podkreślano, że dla robotników słowa „Polska” i „naród” są wprawdzie realnymi wartościami, rozważano jednak, „czy wystarczy to, aby podjęli walkę w imię całego narodu, w interesie wszystkich Polaków”. Przebieg gdańskiego Wielkiego Strajku w sierpniu 1980 r. szybko przekreślił te inteligenckie lęki. 21 postulatów z żądaniem niezależnych związków zawodowych, stoczniowe msze św., krzyż w miejscu śmierci ofiar Grudnia ’70, „dni pełne nadziei... spory gorące... serca mocno bijące...” oraz powszechna solidarność w zmaganiach o godność i prawdę nadały ruchowi odnowy wyjątkową postać, której nie zatracił w kolejnych miesiącach.

W październiku 1980 r. sygnatariusze porozumień sierpniowych, m.in. Andrzej Gwiazda, Anna Walentynowicz i Lech Wałęsa, przybyli na południe Polski. Odwiedziny w katedrze wawelskiej, na Uniwersytecie Jagiellońskim i na Jasnej Górze podkreślały ogólnonarodowy charakter ruchu. Ówczesnego przywódcę Solidarności rozentuzjazmowany tłum – nieświadomy jego wcześniejszych związków z SB – wniósł na rękach na krakowski Rynek, a w miejscu, gdzie przysięgał Kościuszko w 1794 r., goście z Wybrzeża złożyli ślubowanie. „Przyrzekamy Ci, Naczelniku, że nie zawiedziemy społeczeństwa. Tak nam dopomóż Panie Boże i Niewinna Męko Syna Jego” – powtarzała Alina Pieńkowska.

Wpisując się w główny nurt dziejów Rzeczypospolitej, odtwarzając ciągłość niepodległościowej tradycji oraz przywracając zakłamaną przez komunistów prawdę historyczną, Solidarność budowała trwałą, niepowtarzalną tożsamość i siłę ruchu – ruchu, który w ostatecznym rozrachunku przyniósł nam po latach niepodległość.



Już w połowie sierpnia 1980 r. prymas miał świadomość, że strajkującym robotnikom nie chodzi o kwestie wyłącznie ekonomiczne ani socjalno-bytowe. 19 sierpnia w swoim dzienniku odnotował: „Dziś idzie już nie tylko o przysłowiową »kiełbasę«, ale o postulaty społeczne /Z[wiązki] Z[awodowe]/ i polityczne”. Ze względu na troskę o dobro Ojczyzny oraz czytelne aluzje Stanisława Kani odnośnie do groźby interwencji sowieckiej prymas zgodził się 25 sierpnia spotkać się z Edwardem Gierkiem. Kard. Wyszyński w rozmowie z I sekretarzem KC PZPR jednoznacznie poparł najważniejszy postulat strajkujących: „Ruch robotniczy wyrósł ze strajków i naraz rząd robotniczy występuje przeciwko strajkującym »to jest anomalia«, Kościół strajki popiera, bo strajk moralnie jest dopuszczalny”. Prymas w swoim dzienniku odnotował: „Pan E[dwar] G[ierek] zdecydowanie w obronie monopolu związkowego, ja za samorządnymi związkami. Dążyłem do tego, żeby przezwyciężyć u E.G. silną depresję, »która mogłaby się zakończyć tragicznie«”.

Kluczowe znaczenie dla określenia stosunku prymasa do protestu robotników i późniejszego stosunku do Solidarności miało bez wątpienia słynne kazanie z 26 sierpnia wygłoszone na Jasnej Górze, które stanowiło rozczarowanie dla strajkujących, spodziewających się jednoznacznego poparcia dla swoich postulatów. Otrzymali zaś wyraźne wezwanie do spokojnego rozważania sytuacji i odpowiedzialności za losy Ojczyzny. Mimo że władze zmanipulowały kazanie w transmisji telewizyjnej i radiowej, to wspomniane ingerencje nie zmieniały jego zasadniczego przekazu. Przywódca polskiego Kościoła widział sytuację społeczno-polityczną w ramach określonych warunków geopolitycznych oraz z punktu widzenia dobra wspólnego. Znalazły się w tym kazaniu słowa, że spełnienie postulatów należy rozłożyć na raty oraz należy się kierować w tej kwestii dojrzałością narodową. Prymas powody zajęcia takiego stanowiska przedstawił w czasie posiedzenia Rady Głównej Episkopatu Polski z 7 września, podkreślając: „Musimy dobrze zrozumieć rzeczywistość. Jesteśmy nauczycielami Narodu. 26 sierpnia 1980 r. mówiłem do Narodu, a nie do partii. Niektórym wydawało się, że za mało pod partię. Nie mówiłem też do stoczniowców – inni powiedzieli, że za mało pod stocznię.

eprasa.pl bb51fa83aa

„Ja mówiłem do Narodu”

Prymas Wyszyński wobec strajków z sierpnia 1980 r.

Rafał Łatka

Kard. Stefan Wyszyński już od 1979 r. zdawał sobie sprawę z konsekwencji kryzysu gospodarczego w Polsce i kilkukrotnie zwracał uwagę władzom PRL, że zła sytuacja społeczna może doprowadzić do wybuchu niezadowolenia społecznego na dużą skalę



Prymas Wyszyński podczas kazania, sierpień 1980 r.

FOT. INSTYTUT PRYMASOWSKI

Ja mówiłem do Narodu i dlatego ograniczyłem się do tych elementów zasadniczych, starając się wydozować tak, abym nie był demagogiem, zwłaszcza w takiej sytuacji, w której nie wiadomo, do czego to jeszcze może doprowadzić”. W wydanym dzień później Komunikacie Rady Głównej biskupi podkreślali, że kazanie prymasa zostało zmanipulowane. I dodawali, że w jego treści znalazło się wsparcie dla głównego postulatu strajkujących, czyli utworzenia niezależnych związków zawodowych, oraz stwierdzenie, iż ugoda społeczna możliwa jest tylko przy poszanowaniu praw Narodu. W tym czasie prymas uważał, że strajk trzeba zakończyć i przystąpić do negocjacji z władzami.

Kardynał Wyszyński zdawał sobie sprawę, że porozumienia sierpniowe i ustępstwa komunistów mają charakter taktyczny i dygnitarze partyjni będą starali się z nich stopniowo wycofywać. Pisał: „Rząd ustąpił w obawie o swoje »stolce« – ale to nie oznacza, że działa przekonany. Raczej pokonany. Nie da jednak za wygraną. Gdyby p. E[dward] Gierek miał pozostać, należałoby z nim rozmawiać. Ale wątpię, czy pozostanie”. Intuicja prymasa się potwierdziła, bo już kilka dni później Gierka na stanowisku I sekretarza PZPR zastąpił Stanisław Kania.

Kardynał Wyszyński rolę Kościoła w czasie strajków skomentował krótko, ale jednoznacznie, na łamach swego dziennika: „Zasada: nie atakujemy ustroju, ale popieraliśmy słuszne żądania robotników”.

TU RODZIŁA SIĘ Solidarność

Wystawa ma na celu ukazanie strajków z lipca/sierpnia/września 1980 r. na poziomie lokalnym.

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

1920 1940 1980

Terminy otwarcia wystaw w poszczególnych miastach:

Województwo Podlaskie:
1 lipca – Suwałki: Plac im. Marii Konopnickiej
21 lipca – Łomża: Stary Rynek
14 sierpnia – Białystok: plac przed Teatrem Dramatycznym

Województwo Kujawsko-Pomorskie:
1 lipca – Bydgoszcz przed Urzędem Wojewódzkim ul Jagiellońska 3
21 lipca – Włocławek Plac Wolności
14 sierpnia – Toruń skwer przy pomniku Zbrodni Pomorskiej, ul Uniwersytecka

Województwo Pomorskie:
1 lipca – Tczew
21 lipca – Lębork
14 sierpnia – Trójmiasto (Gdańsk oraz Gdynia)

Województwo Śląskie:
1 lipca – Dąbrowa Górnicza
21 lipca – Jastrzębie Zdrój
14 sierpnia – Tarnowskie Góry

Województwo Świętokrzyskie:
1 lipca – Kielce
21 lipca – Starachowice
14 sierpnia – Końskie

Województwo Małopolskie:
1 lipca Tarnów – Rynek
21 lipca Nowy Sącz – Rynek lub Planty
14 sierpnia Kraków – Rynek lub Aleja Róż

Województwo Lubelskie:
1 lipca – Świdnik
21 lipca – Lublin
14 sierpnia – Puławy

Województwo Łódzkie:
1 Lipca – Ostrów Wielkopolski, Rynek;
21 lipca – Łódź ul. Piotrkowska 265, plac przed Katedrą Łódzką;
14 sierpnia – Piotrków Trybunalski ul. M. Skłodowskiej-Curie 3 przed Miejską Biblioteką Publiczną.

Województwo Warmińsko-Mazurskie:
1 lipca – otwarcie wystawy w Olsztynie przed Warmińsko-Mazurskim Urzędzie Wojewódzkim.
1 lipca – otwarcie wystawy w Ostrołęce przed Biblioteką Miejską.
21 lipca – otwarcie wystawy w Mrągowie przed Miejskim Domem Kultury (CKiT).
14 sierpnia – otwarcie wystawy w Ostródzie przed Domem Kultury

Województwo Opolskie:
1 lipca – Opole
21 lipca – Nysa
14 sierpnia – Brzeg

Województwo Podkarpackie:
1 lipca – Mielec
21 lipca – Rzeszów
14 sierpnia – Stalowa Wola

Województwo Zachodniopomorskie:
1 lipca – Koszalin
21 lipca – Stargard Szczeciński
14 sierpnia – Szczecin

Województwo Mazowieckie:
1 lipca – Warszawa Ursynów - kościół św. Józefa
21 lipca – Warszawa
14 sierpnia – Dom Polonii w Pułtusku

Województwo Dolnośląskie:
1 lipca – Duszniki Zdrój
21 lipca – Polkowice
14 sierpnia – Dworzec Główny we Wrocławiu

więcej na: ipn.gov.pl

eprasa.pl bb51fa83aa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Twórcy a NSZZ „Solidarność”

Sebastian Ligarski

W sierpniu 1980 r. w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina przebywało kilku literatów oraz innych przedstawicieli środowisk twórczych

Do grona tego należeli m.in. Lech Bądkowski, Janusz Głowacki, Ryszard Kapuściński, Tomasz Łubieński, Kazimierz Orłoś czy Antoni Pawlak. Bogdan Borusewicz tak uzasadniał ich włączenie w protest: „Obawiałem się, że strajki zostaną przedstawione jako wyłącznie ruch robotniczy, klasowy. W związku z tym wszystko, co pokazywało, że tak nie jest, że to pospolite ruszenie społeczeństwa, starałem się eksponować. Zjawił się Lech Bądkowski z grupą pisarzy – został natychmiast włączony do Prezydium M[iędzyzakładowego] K[komitetu] S[trajkowego]. Zjawili się aktorzy – zostali zaproszeni na scenę. Żeby pokazać, że wokół MKS gromadzą się wszyscy, że to jest ruch nie tylko robotniczy, lecz także ogólnonarodowy”. Podobnie było w innych miejscach w kraju. W Poznaniu członek Studenckiego Komitetu Solidarności Lech Dymarski oraz członek Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” Stanisław Barańczak zbierali podpisy pod listem otwartym popierającym strajkujących stoczniowców oraz pieniądze dla nich. Strajki wspierali również aktywnie aktorzy niezależnego Teatru Ósmego Dnia. W Szczecinie w czasie strajku w Stoczni im. Warskiego przebywali Małgorzata Szejnert i Tomasz Zalewski z redakcji „Literatury”. Pojawił się też krytyk literacki Andrzej Kijowski, a pomiędzy oboma miastami Wybrzeża krążył Ryszard Kapuściński. We Wrocławiu strajkujących występami wsparli muzycy Opery Wrocławskiej, a piosenki dla nich śpiewał lokalny bard Roman Kołakowski. Generalnie jednak twórcy czekali na rozwój wydarzeń, a po stronie protestujących angażowali się jedynie nieliczni.

Powstanie NSZZ „Solidarność” zaowocowało gestami ze strony twórców, takimi jak oddawanie legitymacji partyjnych. Wzywano także władze do nowelizacji ustawy o cenzurze. W czasie kolejnych wyborów w związkach twórczych do władz wchodzili twórcy uważani za zwolenników nie tyle nowych związków zawodowych, ile głównie idei reformy ustroju państwa. Widocznym znakiem tych działań było powołanie we wrześniu 1980 r. Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, na czele którego stanął Klemens Szaniawski.

Dalszym impulsem do niezależnej postawy dla części środowiska była Literacka Nagroda Nobla przyznana Czesławowi Miłoszowi 9 października 1980 r. Pobyt pisarza w Polsce w dniach 5–17 czerwca 1981 r. miał według SB „zaktywizować elementy wrogie polityce kulturalnej [państwa], które będą podejmować próby zwiększenia swojego wpływu w środowisku i propagować wrogie treści polityczne”. Tak na marginesie w jej trakcie Miłosz odwiedził m.in. kolebkę Solidarności, czyli Stocznię Gdańską, i złożył (w Lublinie) hołd związkowcom, mówiąc: „To ja czuję się w obowiązku podziękować p. Wałęsie i robotnikom polskim”.

Rozwijały się też kontakty związku ze środowiskami twórczymi, czego wyrazem było np. zaproszenie przedstawicieli Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Filmowców Polskich czy Związku Polskich Artystów Plastyków na II turę I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”. W jej trakcie wystąpił prezes Zarządu Głównego ZLP Jan Józef Szczepański, a następnie podpisano porozumienie o współpracy między Solidarnością a ZLP.

11 grudnia 1981 r. rozpoczął się Kongres Kultury Polskiej, którego celem była dyskusja nad kondycją kultury oraz rolą i zadaniami twórców w zmieniającej się sytuacji politycznej kraju. Jego pomysłodawcami byli członkowie Związku Polskich Artystów Plastyków i Związku Literatów Polskich. Organizatorów powołał Komitet Porozumiewawczy Środowisk Twórczych i Naukowych, a przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego został historyk sztuki Jan Białostocki. Jego obrady przerwało wprowadzenie w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego, a część jego uczestników podzieliło los działaczy Solidarności i zostało internowanych.



FOT. AUTOR NIEZNANY/ARCHIWUM IPN

Strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w sierpniu 1980 r. Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Od prawej siedzą: Anna Walentynowicz, Lech Wałęsa, Lech Bądkowski, Bogdan Lis

eprasa.pl bb51fa83aa



17 września 1980 r., Gdańsk-Wrzeszcz, klub Ster – zebranie przedstawicieli Międzyzakładowych Komitetów Założycielskich z całej Polski

FOT. ZE ZBIORÓW ZENONA KWOKI

17 września 1980 r. w Gdańsku w siedzibie gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego spotkali się przedstawiciele komitetów (komisji) założycielskich z całego kraju

17 września 1980 r. oczami SB i WSW

Grzegorz Majchrzak

W trakcie spotkania mecenas Jan Olszewski zaproponował utworzenie jednego ogólnopolskiego związku. Wbrew oporom niektórych związkowców, zwłaszcza gdańskich (m.in. Lecha Wałęsy czy Andrzeja Gwiazdy), propozycję tę przyjęto. Powołano ogólnopolską Tymczasową Komisję Porozumiewawczą, na której czele jako przewodniczący stanął Wałęsa. Przyjęto też – zgodnie z propozycją Karola Modzelewskiego – nazwę NSZZ „Solidarność".

Obrady te były bacznie obserwowane zarówno przez Służbę Bezpieczeństwa (SB), jak i Wojskową Służbę Wewnętrzną (WSW). Pomagali w tym również obecni na nich – w charakterze uczestników lub obserwatorów – agenci, zwłaszcza SB. Udało im się nawet nagrać obrady, ale jedynie ich część – pełniejszym stenogramem, prawie dwukrotnie dłuższym od sporządzonego przez esbeków, dysponowali sami związkowcy... Z drugiej strony dzięki agentom SB wiedziała również, co się działo za kulisami oficjalnego spotkania, a także dysponowała – dzięki tajnemu współpracownikowi „Koledze" (Jerzemu Kozłowskiemu) – listą 80 zakładów, które w dniach 15 i 16 września zgłosiły się do MKZ w Gdańsku, czyli tych, których przedstawiciele mieli uczestniczyć w obradach. W jego ocenie do Trójmiasta przybyło – do chwili jego spotkania z oficerem prowadzącym – ok. 700 delegatów, z których w spotkaniu mogła (ze względu na wielkość sali obrad) wziąć udział jedynie część.

Oddzielną notatkę gdańska SB, na której spoczął główny ciężar działań, poświęciła wystąpieniu Olszewskiego. Informowano w niej, że dokonał on – jako doradca prawny NSZZ „Solidarność" Region Mazowsze – analizy uchwały Rady Państwa w zakresie rejestracji nowego związku i przedstawił „szereg uwag jego zdaniem napawających niepokojem". Opowiedział się on przeciwko powielaniu branżowej struktury Centralnej Rady Związków Zawodowych – optował za powołaniem jednego ogólnopolskiego związku i utworzeniem „komisji porozumiewawczej, jako organu konsultacyjno-doradczego z jednoczesnym utrzymaniem silnych i samodzielnych związków regionalnych". Jak kuriozalnie przy tym oceniali funkcjonariusze – był rzekomo „w tym zakresie propagatorem inicjatyw J[acka] Kuronia".

Z kolei WSW skoncentrowała się na obserwacji zewnętrznej, co zresztą nie przeszkodziło jej również raportować – obrady były transmitowane na zewnątrz – o przebiegu spotkania związkowców. W ocenie pracowników aparatu tajnego WSW, czyli oficerów występujących pod tzw. przykryciem, na salę obrad wpuszczono ok. 200 delegatów „z różnych stron kraju", a także dwóch księży (jednym z nich był przedstawiciel episkopatu, „powitany przez Wałęsę, jako przedstawiciel prymasa Polski"), a także dwoje cudzoziemców – „mężczyzna i kobieta o azjatyckim typie urody". Według ustaleń WSW byli to dziennikarze amerykańscy, dla których zrobiono wyjątek, gdyż innych (ani krajowych, ani zagranicznych) miano nie wpuszczać do środka. W ocenie wojskowej bezpieki obrady, które trwały ponad cztery godziny (z półgodzinną przerwą), śledziło na zewnątrz ok. 500 osób. Przytaczano przy tym ich opinię w sprawie niewpuszczenia na salę obrad krajowych żurnalistów – „polscy dziennikarze kłamią [...], a amerykańscy przekażą innym relacje obiektywne". Skrupulatni oficerowie odnotowali, że siedziba MKZ „została udekorowana hasłami i transparentami »Witajcie u nas – NSZZ Gdańsk« oraz napisem dużymi literami niebieskimi na białym płótnie »Niezależne Związki Zawodowe«", a także, iż jedyną dekorację sali obrad stanowiło „godło państwowe z lewej strony stołu prezydialnego i krzyż z prawej strony". Z kolei relacjonując obrady, pisali m.in., że „występujący dyskutanci podkreślali solidarność z Gdańskiem. Zabierający głos zwracali się do Wałęsy z szacunkiem i ukłonem. Niemal wszyscy postulowali potrzebę centralizacji i jedności ruchu związkowego oraz jednolitego statutu dla wszystkich ogniw", a „dalszą działalność uzależniali od postanowień podjętych na omawianym spotkaniu".

eprasa.pl bb51fa83aa





Zdjęcia terenu Ambasady USA w Warszawie z lat 1980–1981

Mylne tropy, złudne nadzieje

Ambasada USA w Warszawie wobec karnawału Solidarności

Stanowisko Ambasady USA w Warszawie w latach 1980--1981 odzwierciedlało wytyczne amerykańskiej polityki wobec PRL w tym okresie. Jednocześnie ambasada sama wpływała na kształt tej polityki, bombardując waszyngtońską centralę raportami, analizami, szyfrogramami itp.

Patryk Pleskot

Były one różnej jakości, a amerykańscy dyplomaci nie potrafili jednoznacznie stwierdzić, co tak naprawdę dzieje się w Polsce. Ambasada pechowo weszła w czas karnawału. Jej funkcjonowanie w 1980 r. w pewnej mierze odbijało kryzys polityczno-gospodarczy schyłku prezydentury Jimmy'ego Cartera. Trudności ekonomiczne powodowały cięcia budżetowe. Brakowało nawet pieniędzy na wyjazdy służbowe, np. na Wybrzeże, gdzie właśnie rodziła się Solidarność. Do tego odchodzącego na emeryturę ambasadora Williama E. Schaufele'a zastąpił właśnie Francis J. Meehan. Wielotygodniowa procedura wymiany nałożyła się na przełomowe wydarzenia z sierpnia i września 1980 r. W efekcie Schaufele obserwował narodziny Solidarności, szykując się do wyjazdu z PRL, a Meehan z pozycji osoby, która dopiero przybyła i potrzebowała czasu na zorientowanie się w sytuacji. Może dlatego nie od razu zrozumiano doniosłość narodzin ruchu Solidarności – w raportach ambasady przekonanie o wyjątkowości rozgrywających się w Polsce wydarzeń uwidacznia się z kilkutygodniowym opóźnieniem.

Jeśli chodzi o możliwości analizowania i prognozowania sytuacji w PRL, ambasada USA miała zarówno atuty, jak i słabości. Do atutów należała wszechstronność kontaktów. Rozmówcy Amerykanów rekrutowali się z różnych środowisk: od osobistości z aparatu partyjno-państwowego, przez reżimowych dziennikarzy, intelektualistów katolickich i hierarchów Kościoła, po dysydentów i (z czasem, od wiosny 1981 r.) działaczy Solidarności. Z tymi ostatnimi był jednak problem: początkowo ambasada nie miała kontaktów ze środowiskami robotniczymi – ich nawiązywanie trwało kilka miesięcy.

Mimo trudności w początkach 1981 r. ambasador Meehan był pozytywnie oceniany w Departamencie Stanu. Chwalono go za wiedzę i doświadczenie. Doceniano jego analizy sytuacji w Polsce jako niekoniunkturalne, nieulegające chwilowym nastrojom i przemyślane. Zauważano, że starał się obiektywnie, bez uprzedzeń i sympatii oceniać polską rzeczywistość, formułując niekiedy prognozy, które szły wbrew powszechnej w Waszyngtonie opinii, ale potem się sprawdzały (np. sceptycznie podszedł do możliwości radzieckiej interwencji w grudniu 1980 r.).

Tę ocenę należy jednak uznać za przesadną. Zróżnicowany stopień dostępności do poszczególnych grup społecznych w Polsce – wyraźny zwłaszcza na początku karnawału – zniekształcał treść analiz dyplomatów. Zbyt duże znaczenie w organizowaniu Solidarności przypisywano działaczom Klubów Inteligencji Katolickiej, z którymi utrzymywano bliskie relacje. Wyraźnie sprzyjano umiarkowanemu skrzydłu związku, m.in. uważając odstąpienie od strajku generalnego podczas kryzysu bydgoskiego za najlepsze rozwiązanie. Za to długo nie potrafiono wyrobić sobie opinii o Lechu Wałęsie, z którym bezpośrednie relacje nawiązano dopiero jesienią 1981 r.

Te nie zawsze trafne analizy czy poglądy nie powinny jednak dziwić. Oceniano ówczesną rzeczywistość na gorąco, przy ograniczonych danych, bez całego bagażu dzisiejszej wiedzy. Nie bardziej przenikliwe okazywały się często prognozy wywiadowcze, także te formułowane w Waszyngtonie. Nie zmienia to faktu, że ostatnie przed stanem wojennym prognozy ambasady USA o przyszłości polskiego eksperymentu były wyraźnie nietrafione. Jeszcze w listopadzie 1981 r. Meehan uważał za przesadzone alarmistyczne prognozy analityków z Departamentu Stanu. Bagatelizował konfrontacyjne posunięcia władz PRL i twierdził, że obie strony muszą się porozumieć. I choć miał ku temu garść przekonujących argumentów, 13 grudnia 1981 r. okazało się, że postawił złą diagnozę. Być może dlatego nie został – o czym marzył – ambasadorem w Moskwie.

FOT. ARCHIWUM IPN

eprasa.pl bb51fa83aa

„Pięć tygodni wolności”

Jednym z propagandowych zarzutów władz PRL wobec Solidarności było przejęcie kontroli nad związkiem przez „radykałów z KOR i KPN”, czyli dwóch ważnych organizacji opozycyjnych. Zarówno członkowie Biura Politycznego KC PZPR, jak i kierownictwo MSW zdawali sobie jednak sprawę, że ma to niewiele wspólnego z rzeczywistością

Grzegorz Wołk



Manifestacja przed Sądem Okręgowym w Warszawie podczas procesu liderów KPN w 1981 r.

FOT. ARCHIWUM IPN

Członkowie Konfederacji Polski Niepodległej nie odegrali tak znaczącej roli w strajkach sierpniowych jak środowisko Komitetu Obrony Robotników. W Stoczni Gdańskiej przebywała podczas strajku Nina Milewska, ale miała ona ograniczony wpływ na przebieg wydarzeń i nie należała do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Rok wcześniej była w centrum uwagi, gdy w trakcie opozycyjnej manifestacji informowała pod Grobem Nieznanego Żołnierza o powstaniu pierwszej za żelazną kurtyną partii politycznej, niebędącej pod kontrolą komunistów – KPN.

W sierpniu 1980 r., gdy esbecy polowali na opozycjonistów, by ci nie przedostali się do strajkujących zakładów, na ich celowniku znaleźli się także konfederaci. Notorycznie zatrzymywano ich w aresztach na 48 godzin lub pilnowano, by nie opuszczali własnych mieszkań. I chociaż komuniści zwracali uwagę, że strajkujący mogli się wzorować na tezach broszury Leszka Moczulskiego „Walka strajkowa w PRL”, to Konfederacja Polski Niepodległej po podpisaniu porozumień sierpniowych nie miała wpływu na kierownictwo Solidarności. Wykorzystali to komuniści, którzy w końcu września aresztowali lidera KPN. W kolejnych tygodniach jego los podzielili kolejni konfederaci. Po latach Moczulski podsumował to słowami: „Solidarność podarowała mi pięć tygodni wolności”. Może to dziwić, ale w okresie zapamiętanym jako karnawał wolności działacze KPN byli jeszcze mocniej represjonowani niż opozycja u schyłku lat 70.

Oczywiście Solidarność wywierała presję na władzę, by – zgodnie z punktem czwartym porozumienia gdańskiego – PRL przestała być krajem więźniów politycznych. Polscy komuniści, naciskani m.in. przez Moskwę, nie mogli jednak pozwolić na zwolnienie konfederatów. Nie pomogły wielotysięczne protesty i manifestacje organizowane przez powstające spontanicznie w całym kraju – w ramach Solidarności – Komitety Obrony Więzionych za Przekonania. Na szybki proces i wysokie wyroki naciskał na przywódców PRL Leonid Breżniew. Sowietów drażniły konfederacki antykomunizm i negowanie podległości Polski Związkowi Sowieckiemu. Ludzie KPN wypowiadali się bowiem w tej materii najradykalniej z grona całej demokratycznej opozycji.

Władze PRL wytoczyły ostatecznie – w czerwcu 1981 r. – liderom KPN proces. Pierwszy od wielu lat o charakterze politycznym. Nie uwzględniły jednak, że solidarnościowa rewolucja dotarła także do wymiaru sprawiedliwości. Sędziowie nie byli już tak ulegli. Starali się zachować bezstronność i honorować prawa oskarżonych. To dzięki Solidarności oskarżeni konfederaci mogli na sali rozpraw – niekiedy przez wiele godzin – polemizować z prokuratorskimi oskarżeniami i kpić z jakości zgromadzonych „dowodów”. Jeden z oskarżonych, Tadeusz Stański, żartował, że niedaleko mieszkania przewodniczącego KPN został ukryty czołg, a inny z działaczy, Romuald Szeremietiew, miał rzekomo skonstruować bombę neutronową, by wysadzić siedzibę KC PZPR. W ten sposób wykpiwano zarzuty o chęć zbrojnego obalenia ustroju PRL. Konfederacja dążyła do tego celu, ale pokojowymi metodami.

Jej radykalizm spotykał się nie tylko z wrogością komunistów, lecz często też z niezrozumieniem ze strony solidarnościowych liderów. Gdy związek zaangażował się mocniej w zwolnienie liderów KPN, to często zaznaczano, że działania te dotyczą wolności słowa, a Solidarność nie popiera poglądów Moczulskiego i kierowanej przez niego partii. Wywoływało to negatywne i niekiedy przesadzone reakcje członków i sympatyków KPN. Zdarzało im się nawet publicznie zarzucać liderom związku, iż działają na korzyść komunistów. Te spory stały się nieaktualne po 13 grudnia 1981 r., gdy komuniści zamknęli w więzieniach i jednych, i drugich.

eprasa.pl bb51fa83aa

Sowieci a Solidarność

Piotr Brzeziński

Władze ZSRS z uwagą obserwowały rozwój sytuacji w PRL. Już w sierpniu 1980 r. w KC Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego rozpoczęła działalność Komisja ds. Polski, na której czele stanął Michaił Susłow

Wejś skład weszli też: przewodniczący KGB Jurij Andropow, minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko i minister obrony marszałek Dmitrij Ustinow. Komisja uznała porozumienia sierpniowe za przejaw słabości PZPR, a Solidarność za organizację antysocjalistyczną i kontrrewolucyjną. Sowieci bali się jej wpływu na społeczeństwa innych demoludów. Ich szczególną irytację spowodowało uchwalone we wrześniu 1981 r. na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ Solidarność „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej", które uznali za dokument prowokacyjny i niebezpieczny, sam zjazd nazwali „antysocjalistyczną orgią".

Z czasem zresztą zaczęli się domagać od kierownictwa PRL podjęcia zdecydowanych działań przeciw nowemu związkowi, a w sowieckiej prasie pojawiły się atakujące Solidarność artykuły. W końcu 1980 r. wojska ZSRS, NRD i Czechosłowacji zorganizowały w pobliżu polskich granic manewry o kryptonimie Sojuz-80. Zdaniem płk. Ryszarda Kuklińskiego groźba inwazji miała być rzekomo na tyle realna, że skłoniła gen. Wojciecha Jaruzelskiego do pospiesznego opracowania planu wprowadzenia stanu wojennego. De facto prace nad nim trwały już od kilkunastu tygodni. Plan zaprezentowano podczas moskiewskiego szczytu Układu Warszawskiego na początku grudnia 1980 r. Po naradzie I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania przekonywał sekretarza generalnego KC KPZS Leonida Breżniewa, że zbrojna interwencja w Polsce wywoła spontaniczny opór społeczeństwa i „popłynie morze krwi". W odpowiedzi usłyszał enigmatyczne słowa: „No dobrze, nie wejdziemy. A jak będzie się komplikować, wejdziemy. Ale bez ciebie – nie wejdziemy". W międzyczasie zaniepokojony sytuacją prezydent USA Jimmy Carter wysłał Breżniewowi depeszę i przestrzegł go przed interwencją.

Wydaje się jednak wątpliwe, aby Polsce naprawdę groziła wtedy inwazja sił Układu Warszawskiego. Przekazane Amerykanom przez płk. Kuklińskiego informacje mocno zawyżały liczebność zgromadzonych nad granicą wojsk sowieckich: zamiast 15 dywizji były tam jedynie trzy. To zbyt mało na potrzeby interwencji. Można wręcz postawić tezę, że działania władz ZSRS były blefem, który miał na celu skłonić polskie kierownictwo do zintensyfikowania przygotowań do siłowej pacyfikacji Solidarności.

Z zachowanych dokumentów Biura Politycznego KC KPZS wynika, że Sowieci nie chcieli wkraczać do Polski, bojąc się sankcji ekonomicznych ze strony USA i innych państw zachodnich, zaangażowania swoich wojsk w kolejną (po afgańskiej) kosztowną wojnę, wyścigu zbrojeń, upadku eurokomunizmu, a nawet... zajęcia Kuby przez USA. „Interwencja w obecnej sytuacji międzynarodowej nie wchodzi w grę" – stwierdził w kwietniu 1981 r. premier ZSRS Nikołaj Tichonow. W październiku 1981 r. Andropow powiedział: „My jednak powinniśmy twardo obstawać przy swoim stanowisku i naszych wojsk do Polski nie wprowadzać". Dwa miesiące później – 10 grudnia – z kolei mówił: „Nie zamierzamy wprowadzać wojsk do Polski. Jest to słuszne stanowisko i musimy się go trzymać do końca. Nie wiem, jak rozwinie się sprawa z Polską, ale jeśli nawet Polska będzie pod władzą Solidarności, to będzie to tylko tyle. A jeśli na Związek Radziecki rzucą się kraje kapitalistyczne, a oni już mają odpowiednie uzgodnienia o różnego rodzaju sankcjach ekonomicznych i politycznych, to dla nas będzie to bardzo ciężkie".

Dwie doby później – w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. – Jaruzelski wprowadził stan wojenny, spełniając tym samym nadzieje władz sowieckich na samodzielną pacyfikację Solidarności przez władze PRL. Po latach sugerował, że uratował w ten sposób Polskę przed sowiecką inwazją. Problem w tym, że od czasu objęcia funkcji I sekretarza KC PZPR w październiku 1981 r. kilkakrotnie prosił Sowietów o ewentualną pomoc w razie niepowodzenia tej operacji.



Karykatury Leonida Breżniewa, przywódcy ZSRS, w biuletynach NSZZ „Solidarność" z 1981 r.

FOT. ARCHIWUM IPN

eprasa.pl bb51fa83aa



Marsz głodowy kobiet w Łodzi 30 lipca 1981 r. na fotografii Służby Bezpieczeństwa

Trawestacja pierwszego zdania „Manifestu komunistycznego" to tylko jedno z haseł, z którymi 30 lipca 1981 r. tysiące kobiet przeszły ul. Piotrkowską w Łodzi

Widmo głodu krąży po Polsce!

Tomasz Stempowski

Inne to m.in.: „Nie pozwolimy głodzić naszych dzieci", „Za błędy władzy zostaniemy głodni i nadzy", „Wyniszczenie narodu drogą do socjalizmu", „Głodno, chłodno i po ciemku, tak zginiemy pomaleńku", „Pustosłowiem z ekranów nie nakarmimy naszych dzieci", „Premierze! Bądź szczery, gdzie mleko i sery?", „Czy głodne dzieci to cel socjalizmu?", „Nie chcemy jeść kartek", „Władza ludu czy głodu?", „Generale!!! Jeść nam daj, bo... zniknie z mapy nasz kraj", „Chcemy dzielić chleb – nie Polskę", a także – jako swoiste dopełnienie – „Głodujący wszystkich krajów, łączcie się", przeróbka ostatnich słów manifestu Marksa i Engelsa.

Niedobory żywności to jedna ze stałych bolączek życia w PRL. Reglamentacja i system kartkowy nie rozwiązały problemu. Braki w zaopatrzeniu były szczególnie uciążliwe dla kobiet, które po pracy musiały jeszcze stać godzinami w kolejkach. W kwietniu 1981 r. reglamentacją objęta została sprzedaż mięsa i jego przetworów. Kiedy 12 lipca Rada Ministrów zmniejszyła o 20 proc. przydziały na te produkty, Zarząd Regionu Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność" zareagował czterodniową akcją protestacyjną. Rozpoczął ją w poniedziałek 27 lipca przejazd ul. Piotrkowską z pl. Niepodległości do pl. Wolności autobusów Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. Następnego dnia tę samą trasę przebyło kilkadziesiąt samochodów Państwowej Komunikacji Samochodowej, a 29 lipca ciężarówki Przedsiębiorstwa Transportowego Samochodów Budowlanych „Transbud". Pojazdy udekorowano biało-czerwonymi flagami i plakatami z hasłami krytykującymi politykę rządu. Przed budynkiem Urzędu Miasta kawalkada pojazdów przystawała, a kierowcy włączali klaksony. Przez megafony skandowano hasła z transparentów, a wszystkiemu przyglądały się tłumy zgromadzonych na ulicach łodzian.

Marsz głodowy kobiet był zwieńczeniem protestów. Organizatorzy szacowali, że wzięło w nim udział 50 tys. osób (według władz 10 tys.). Uczestniczki zebrały się przed katedrą. Na czele kolumny stanęła grupa matek z dziećmi w wózkach. Protestujący zatrzymali się na kilkanaście minut przed Urzędem Miasta, gdzie Janina Kończak, 30-letnia matka trojga dzieci i przewodnicząca Komitetu Zakładowego w Stomilu, odczytała postulaty Solidarności do władz miasta i rządu, m.in. żądanie działań zmierzających do likwidacji „skandalu kartkowego" (czyli chaosu w ich rozdzielaniu), poprawy zaopatrzenia i rezygnacji z obniżenia norm przydziałów mięsa. Następnie odśpiewano hymn, „Boże coś Polskę" oraz „Rotę" i pochód ruszył dalej. Po dotarciu do pl. Wolności ponownie przemawiała Kończak, a po niej przewodniczący Zarządu Regionu Ziemia Łódzka Andrzej Słowik.

Protest przyciągnął uwagę mediów. W konferencji prasowej zorganizowanej po jego zakończeniu wzięło udział ponad stu dziennikarzy, m.in. z USA, Finlandii, Włoch, Holandii, RFN, Wielkiej Brytanii, Francji i Chin. Przebieg marszu zarejestrowały zagraniczne telewizje oraz liczni fotoreporterzy, a także... Służba Bezpieczeństwa. Zgodnie z planami zabezpieczenia marszu zorganizowała ona cztery ukryte punkty obserwacyjne, a w tłum wmieszać się miało 11 funkcjonariuszy zaopatrzonych w magnetofony i ukryte aparaty fotograficzne. Ich zadaniem było rejestrowanie przypadków „naruszenia obowiązującego porządku prawnego". Protesty przebiegały jednak spokojnie.

Łódzki marsz głodowy był największy, ale nie był jedyny. 25 lipca protestowano w Kutnie, 30 lipca w Piotrkowie Trybunalskim, Tomaszowie Mazowieckim, Pabianicach, Zgierzu, Bełchatowie, Zduńskiej Woli i Łasku. Kolejne marsze zorganizowano w sierpniu. Interweniowały władze Solidarności – Krajowa Komisja Porozumiewawcza zaapelowała o „powstrzymanie się od dalszych marszów". Ograniczyło to skalę protestów w kolejnych miesiącach, ale im nie zapobiegło, gdyż ich przyczyny pozostały aktualne.

FOT. ARCHIWUM IPN

Tekst powstał we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej/25/0820/F

eprasa.pl bb51fa83aa

Lipiec



MICHAŁ KOMUDA

1 VII 1920 Sto lat temu w Warszawie, w obliczu zbliżającego się zagrożenia bolszewickiego, utworzono Radę Obrony Państwa.

5 VII 1809 Pod wsią Wagram armia Napoleona starła się z siłami austriackimi, rozpoczynając najbardziej krwawą ze swoich dotychczasowych bitew. W drugim dniu batalii do zwycięstwa cesarza Francuzów przyczyniła się świetna szarża polskich szwoleżerów, którzy bijąc swoich rodaków, ułanów z zaborczego wojska, przejęli ich lance. Napoleon, doceniając wirtuozerię, z jaką Polacy walczyli za pomocą tej zdobycznej broni, podjął decyzję o przydzieleniu jej im na stałe.



10 VII 1835 W Lublinie przyszedł na świat wybitny polski kompozytor i skrzypek Henryk Wieniawski. W setną rocznicę urodzin wirtuoza w 1935 r. zorganizowano po raz pierwszy Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy jego imienia.



12 VII 1945 Siły sowieckie przy wsparciu rodzimego aparatu represji rozpoczęły główną fazę obławy augustowskiej. Operacja ta, będąca największą komunistyczną zbrodnią w powojennej Polsce, zakończyła się uwięzieniem i zaginięciem przynajmniej kilkuset osób związanych z polskim podziemiem niepodległościowym.

14 VII 1500 Nad Wiedroszą wojska litewskie doznały druzgoczącej klęski w bitwie z siłami moskiewskimi kniazia Daniela Szczeni. W jej wyniku Litwa utraciła znaczną część swojego terytorium, a hetman wielki litewski Konstanty Ostrogski dostał się na trzy lata w niewolę.



19 VII 1920 W trakcie wojny polsko-bolszewickiej Pál Teleki został po raz pierwszy desygnowany na premiera Królestwa Węgier. Po objęciu tego stanowiska oznajmił: „To my przez stulecia nieśliśmy sztandar Europy i chrześcijaństwa. W tych bojach zawsze będziemy Polakom wiernymi druhami, także i tym razem uczynimy wszystko, by udzielić Polsce wszelkiej możliwej od nas pomocy...".

20 VII 1945 Po wyzwoleniu z niemieckiej niewoli do kraju powrócił prymas Polski, kardynał August Hlond.



26 VII 1400 Król Władysław Jagiełło dokonał odnowienia Uniwersytetu Krakowskiego. Do tego doniosłego aktu przyczyniła się królowa Jadwiga Andegaweńska, która w testamencie zapisała swój majątek na potrzeby uczelni.

eprasa.pl bb51fa83aa

6 VII 1320

700 lat temu w Budzie odbyły się zaślubiny córki króla Polski Elżbiety Łokietkówny i monarchy Węgier Karola Roberta. Małżeństwo to zaowocowało nie tylko powstaniem madziarskiej dynastii Andegawenów, lecz na lata zespoiło polsko-węgierski sojusz.

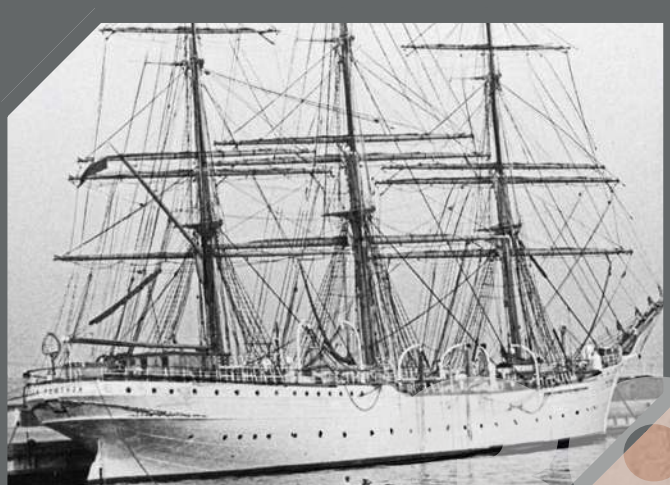


Córka Władysława Łokietka i starsza siostra Kazimierza Wielkiego została wydana za mąż jako kilkunastoletnia panna. W tym samym czasie jej przybyły na Węgry z Neapolu małżonek liczył 32 lata i był podwójnym wdowcem. Małżeństwo to z jednej strony zapewniało dopiero co odbudowanej z rozbicia dzielnicowego Polsce silnego sojusznika w konfliktach z zakonem krzyżackim, Litwinami, Tatarami oraz w sporze z królestwem Czech. Z drugiej strony ambitny władca Węgier zyskiwał na północy oparcie, pozwalające mu na prowadzenie ekspansywnej polityki względem innych państw oraz szansę na spłodzenie męskiego potomka, którego dotąd nie posiadał. Na powitanie orszaku polskiej królewny panowie węgierscy wyjechali do Nowego Sącza, natomiast tuż za granicą czekał na swoją przyszłą małżonkę sam Karol Robert. Ceremonia zaślubin odbyła się w Budzie, a następnie w koronacyjnym mieście węgierskich władców, dzisiejszym Székesfehérvárze, na skronie młodej Piastówny nałożono Świętą Koronę. Ten drugi akt był nie mniej istotny, ponieważ dzięki niemu Elżbieta stała się drugą osobą w państwie. Piastówna nie tylko spełniła marzenie swojego męża, dając mu aż pięciu męskich potomków, lecz również zapisała się w węgierskiej oraz polskiej historii jako jedna z najbardziej światłych kobiet i śmiałych polityków ówczesnej Europy. Jako królowa Węgier posiadała własną gwardię i liczne otoczenie dworek. Gościła na swoim dworze polskich książąt, księżne, rycerstwo i duchowieństwo, wielokrotnie przyczyniając się do ich spektakularnych karier. Z biegiem lat również jej rola wzrastała, i to nie tylko na Węgrzech, lecz w całym regionie. Dzięki mediacjom węgierskiej pary królewskiej zdołano doprowadzić do rozstrzygnięcia sporu polsko-krzyżackiego, a także do porozumienia między Polską a Czechami. Z punktu widzenia interesu Węgier jeszcze większym sukcesem okazały się układy sukcesyjne zawarte z Kazimierzem Wielkim na wypadek jego śmierci bez pozostawienia męskiego potomka. W ich myśl to potomstwo Elżbiety i Karola Roberta, a nie jej królewskiego brata, zasiadło na tronie na Wawelu. O kunszcie i dyplomatycznych zdolnościach Piastówny najdobitniej świadczy zapewnienie swojemu synowi Ludwikowi, zwanemu Wielkim, najpierw korony Węgier, a następnie Polski, doprowadzając do pierwszej unii personalnej między obydwoma państwami. Władca ten zresztą, podobnie jak jego ojciec, w wielu sprawach zawierzał swojej matce, wyznaczając ją m.in. regentką w Krakowie. Jednak najbardziej spektakularnym sukcesem Elżbiety było przygotowanie pod koniec życia gruntu do bezprecedensowego wydarzenia w polskiej historii, jakim było wybranie jej wnuczki Jadwigi Andegaweńskiej pierwszą kobietą królem Polski.

13 VII 1930

W Gdyni odbyła się ceremonia chrztu najsłynniejszego polskiego żaglowca, „Daru Pomorza". Data uroczystości, wbrew przesądom, okazała się wyjątkowo szczęśliwa dla tego szkolnego statku.

Żaglowiec został zakupiony ze środków pochodzących w dużej mierze ze zbiórki społecznej przeprowadzonej przez Pomorski Komitet Floty Narodowej. Pierwotnie nosił imię „Prinzess Eitel Friedrich", a następnie „Colbert" i pływał przez blisko 20 lat pod niemiecką oraz francuską banderą. Dlatego jego wybór wywoływał pewne kontrowersje. Po zakupieniu go przez Polskę został najpierw poddany remontowi w Danii, by wreszcie w czerwcu 1930 r. przypłynąć do Gdyni. Niespełna miesiąc później, przy pięknej lipcowej pogodzie, na oczach dziesiątków tysięcy ludzi przybyłych z całego kraju, odbyła się wspaniała uroczystość ochrzczenia fregaty i podniesienia na niej polskiej bandery. Statek został poświęcony przez biskupa chełmińskiego Stanisława Okoniewskiego i dla upamiętnienia ofiarodawców nazwany „Darem Pomorza". Jako żaglowiec szkoleniowy został przekazany Państwowej Szkole Morskiej, której wychowankowie już trzy dni później wypłynęli w pierwszy rejs. Łącznie w trakcie 51-letniej służby pod polską banderą, na statku często nazywanym „Białą Fregatą", wyszkolono blisko 14 tys. kapitanów, nawigatorów i marynarzy oraz odbyto 102 rejsy szkolne. Dziś można go podziwiać jako statek muzeum przy gdyńskim skwerze Kościuszki.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; NAC (2X); ARCHIWUM (3X)

eprasa.pl bb51fa83aa

Sierpień



2 VIII 1755 W Pierzchowcu urodził się uwieczniony w polskim hymnie państwowym gen. Jan Henryk Dąbrowski. Jego nazwisko znalazło się również wśród najwybitniejszych dowódców na Łuku Triumfalnym w Paryżu.

4 VIII 1915 Po raz pierwszy od czasów powstania listopadowego siły rosyjskiego zaborcy opuściły lewobrzeżną Warszawę. Dzień później do miasta wkroczyły oddziały niemieckie.



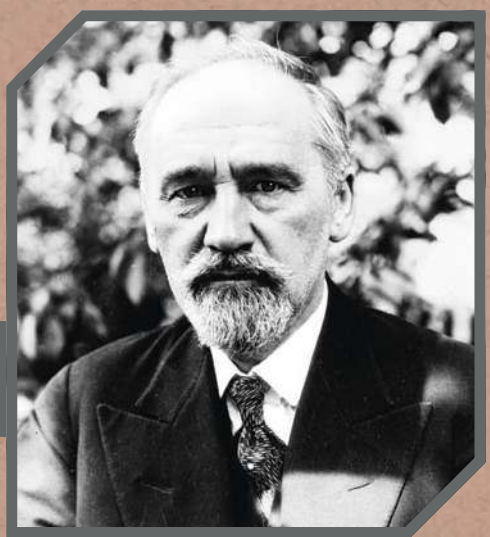
9 VIII 1930 90 lat temu przy ul. Łazienkowskiej w Warszawie odbyło się uroczyste otwarcie stadionu Legii, uświetnione rozegraniem meczu piłkarskiego Legia – Europa Barcelona.

14 VIII 1385 W Krewie podpisano umowę polsko-litewską, w konsekwencji której doszło do schrystianizowania Litwy, małżeństwa Władysława Jagiełły z polską królową Jadwigą oraz unii personalnej obu państw.



16 VIII 1980 40 lat temu w sali BHP Stoczni Gdańskiej powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który sformułował słynne 21 postulatów strajkowych.

18 VIII 1812 Pod naporem wojsk Napoleona padła rosyjska twierdza Smoleńsk. Bitwa o miasto była pierwszą wielką batalią sformowanego z polskich żołnierzy V korpusu, którym dowodził książę Józef Poniatowski.



23 VIII 1920 Dzień po wyparciu sił bolszewickich z Białegostoku do miasta przybyła grupa dziennikarzy. Jednym z nich był Karol Irzykowski, który zanotował następującą relację: „W walkach brało udział wielu cywilnych komunistów i miejscowych Żydów. Według wiadomości ze sfer wojskowych rzucano z okien na żołnierzy polskich granaty ręczne i strzelano z karabinów maszynowych. [...] Zaznaczyć jednak trzeba, że część miejscowych Żydów podczas inwazji bolszewickiej oddała znaczne usługi miejscowym działaczom polskim, ostrzegając ich w czas przed krokami Czerezwyczajki".

eprasa.pl bb51fa83aa



1 VIII 1944

Kilka godzin przed godziną „W" pracownicy montowni ukrytej w fabryce siatek ogrodowych przy pl. Grzybowskim 3/5 przenieśli się do nowej siedziby przy ul. Boduena 2. To w tym miejscu już w ogniu powstańczych walk mieli wznowić montaż słynnych konspiracyjnych pistoletów maszynowych Błyskawica.

Mieszczący się przy pl. Grzybowskim warsztat siatek ogrodzeniowych Franciszka Makowieckiego od listopada 1943 r. był miejscem, w którym montowano z dostarczanych podzespołów i przestrzeliwano wspomniane peemy dla Armii Krajowej. Konstruktorami tej legendarnej broni i osobami czuwającymi nad całą, zakonspirowaną linią produkcyjną byli inżynierowie Seweryn Wielanier i Wacław Zawrotny. Natomiast bezpośrednimi organizatorami montowni byli Stefan Berent „Steb" i Franciszek Makowiecki „Mahomet". Do 31 lipca zdołano w niej złożyć zapewne ponad 600 szt. broni, która następnie była wywożona z Warszawy. Wraz z wydaniem rozkazu rozpoczęcia powstania warszawskiego 1 sierpnia w godzinach wczesnopopołudniowych pracownicy montowni rozpoczęli przewożenie ukrytych w rolkach siatki gotowych błyskawic do nowego lokalu przy ul. Boduena 2. Miejsce to zostało wybrane na siedzibę oddziału osłonowego Wojskowych Zakładów Wydawniczych. Dzięki temu doszło do nietypowej sytuacji, jak na nieustanny podczas powstania głód broni. Dobrze ją obrazuje fragment wspomnień służącego w tym oddziale Stefana Maćkowiaka „Romana", który podkreślał: „Myśmy byli oddziałem jednym z najlepiej uzbrojonych, bo jak ktoś nie miał broni, dostawał błyskawicę". Z kolei Michał Wojewódzki „Andrzej" przekazał następujący opis: „Nigdy też nie zapomnę momentu, gdy o godzinie »W« z domów przy ulicy Boduena 2 i Sienkiewicza 1, obsadzonych przez nas, rozległa się pierwsza salwa z 25 błyskawic grupy żołnierzy wyposażonych przez Stefana Berenta". Oddział osłonowy WZW faktycznie mógł się poszczycić olbrzymim jak na możliwości powstańców odsetkiem posiadanych pistoletów maszynowych. Ocenia się, że na blisko 200 służących w nim ludzi aż do 75 posiadało błyskawice, nie licząc innych peemów. Dodatkowo w pierwszych godzinach powstania na Boduena 2 zorganizowano warsztat rusznikarski. Po paru dniach postanowiono uruchomić tam, pod kierownictwem Berenta, montaż błyskawic. W tym celu organizowano specjalne wypady do wykorzystywanych jeszcze podczas konspiracji magazynów, aby pozyskać części do skompletowania nowych egzemplarzy broni. W ten sposób w trakcie powstania warszawskiego zdołano zmontować ok. 40 nowych peemów. Prace nad nimi udokumentowała powstańcza ekipa filmowa, a także znany fotoreporter Eugeniusz Lokajski „Brok". Warto podkreślić, że błyskawica była jedynym opracowanym i tak masowo produkowanym konspiracyjnym pistoletem maszynowym w okupowanej przez Niemcy Europie, a jej dalszy montaż już podczas powstania stanowił kolejny ewenement.

8 VIII 1980

Po wyciszeniu lipcowej fali strajków w kraju komunistyczne władze doprowadziły do zwolnienia ze Stoczni Gdańskiej im. Lenina członkini Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża Anny Walentynowicz. To stosunkowo niewielkie, w świetle ogromu represji reżimu, pogwałcenie praw pracowniczych uruchomiło lawinę wydarzeń, które odmieniły Polskę.

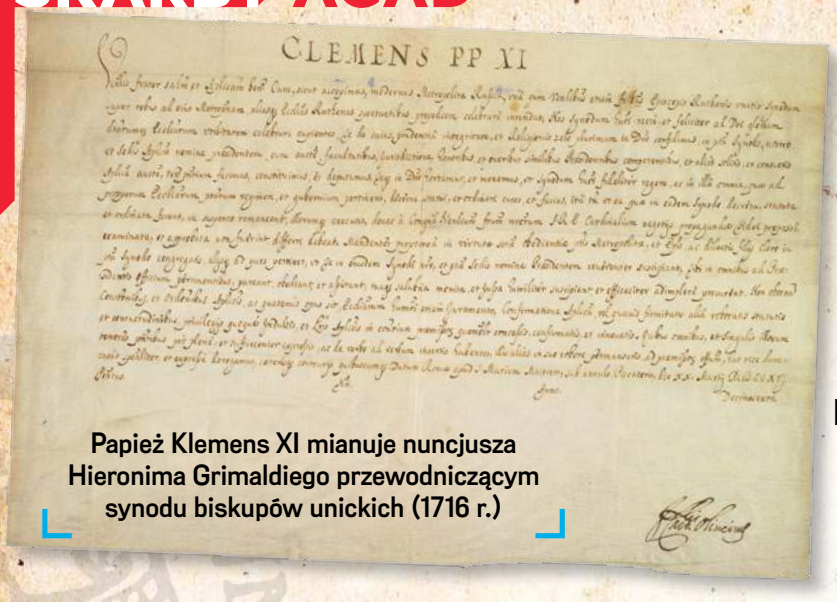
Anna Walentynowicz została zwolniona z pracy krótko przed swoim przejściem na emeryturę. Była to kara za jej działalność w związkach zawodowych oraz wieloletnie piętnowanie wypaczeń i łamania praw. Zgodnie z planem opracowanym przez działacza WZZ Bogdana Borusewicza stoczniowcy mieli wystąpić w obronie swojej koleżanki. O szóstej rano 14 sierpnia rozpoczęto strajk. W kolportowanej wśród pracowników ulotce napisano: „Anna Walentynowicz stała się niewygodna, bo swoim przykładem działała na innych. Stała się niewygodna, bo broniła innych i mogła zorganizować kolegów. [...] wielu z Was może się znaleźć w podobnej sytuacji". Pracownicy zaczęli masowo przyłączać się do protestu. Po czterech godzinach do stoczni przybył Lech Wałęsa, a następnie, pomimo prób jej zatrzymania przez Służbę Bezpieczeństwa, sama Walentynowicz, która wspominała: „Zdawałam sobie sprawę, że muszę dotrzeć do Stoczni. Znów dyrektor powiedziałby: »Wy o nią strajkujecie, a jej nie ma, lekceważy strajk«". Strajk poparły kolejne trójmiejskie zakłady. Po dwóch dniach dyrekcja zaakceptowała postulaty. Mimo to właśnie Walentynowicz i jej koleżanki były zwolenniczkami kontynuowania wraz z innymi zakładami protestu. To ta postawa doprowadziła do powstania miesiąc później Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność".



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (x3); NAC; MPWŁ M.CZUTKO

Opracował Michał Komuda

eprasa.pl bb51fa83aa



Papież Klemens XI mianuje nuncjusza Hieronima Grimaldiego przewodniczącym synodu biskupów unickich (1716 r.)

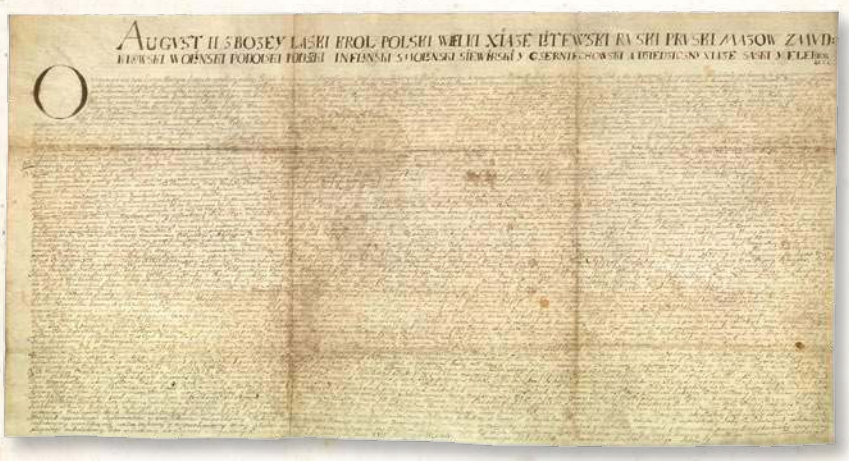
TRZYSTA LAT TEMU W ZAMOŚCIU MIAŁO MIEJSCE WYDARZENIE WYTYCZAJĄCE DALSZĄ DROGĘ KOŚCIOŁA UNICKIEGO, PÓŹNIEJ NAZWANEGO GRECKOKATOLICKIM. ZNACZENIE SYNODU ZAMOJSKIEGO DLA UNITÓW JEST PORÓWNYWALNE DO ROLI, JAKĄ W DZIEJACH KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO ODEGRAŁ SOBÓR TRYDENCKI

SYNOD ZAMOJSKI



JACEK KROCHMAL

Stosunek do unii brzeskiej (1596) podzielił Rusinów w Rzeczypospolitej na wyznawców prawosławia oraz katolicyzmu obrządku greckiego. Powstały dwie równoległe struktury Kościoła wschodniego z własną hierarchią, na czele której stali metropolici kijowscy, oddzielni dla prawosławnych i unitów. Podziały wyznaniowe rodziły gwałtowne spory, szybko nabierające wymiaru politycznego. Najpierw protektorami prawosławia ogłosili się Kozacy, którzy podczas powstania Chmielnickiego brutalnie prześladowali unitów. W tej roli wkrótce zastąpiła ich Rosja wykorzystująca kwestie wyznaniowe do ingerowania w wewnętrzne sprawy państwa polsko-litewskiego. W takich okolicznościach Kościół unicki stanął przed groźbą likwidacji. Paradoksalnie jednak sukcesy militarne i polityczne Rosji osłabiły Kościół prawosławny w Rzeczypospolitej. Po utracie wschodnich terytoriów zerwany został związek ze stolicą metropolii w Kijowie, zmniejszyła się liczba diecezji i wyznawców prawosławia. Stan ten pogłębiły rozstrzygnięcia traktatowe rozejmu andruszowskiego (1667) potwierdzone w pokoju Grzymułtowskiego z 1686 r. Rosja zagwarantowała sobie prawo do opieki nad prawosławiem w Rzeczypospolitej, co otworzyło pole do ingerowania w jej sprawy wewnętrzne. Po aneksji Kijowa przez Rosję prawosławna metropolia kijowska zerwała wielowiekowe związki z patriarchą Konstantynopola i została podporządkowana patriarsze moskiewskiemu. Osłabiając prawosławie, traktat andruszowski stworzył władzom polskim warunki do wzmocnienia pozycji Kościoła unickiego. Doceniano przy tym patriotyczne postawy unitów w okresie długoletnich wojen spychających Rzeczpospolitą na skraj upadku. Szczególne zasługi w uregulowaniu trudnych zagadnień polityki wyznaniowej miał król Jan III. Nominując potajemnych unitów na wakujące katedry prawosławne, Sobieski doprowadził do ewolucyjnego przejścia na unię kolejnych diecezji. Tzw. nowa unia przynosiła efekty jeszcze długo po śmierci króla. Kontynuowali ją jego następcy potwierdzający unitom dawne przywileje Kościoła wschodniego. W latach 1691–1715 unię przyjęły cztery diecezje prawosławne: przemyska, lwowska, łucka i metropolitalna kijowska, położona po polskiej stronie granicy. Unię ogłoszono też w diecezji kamienieckiej, która wraz z Podolem powróciła do Polski po pokoju



Król August II potwierdza dokumenty swych poprzedników nadające przywileje duchowieństwu unickiemu (1697 r.)

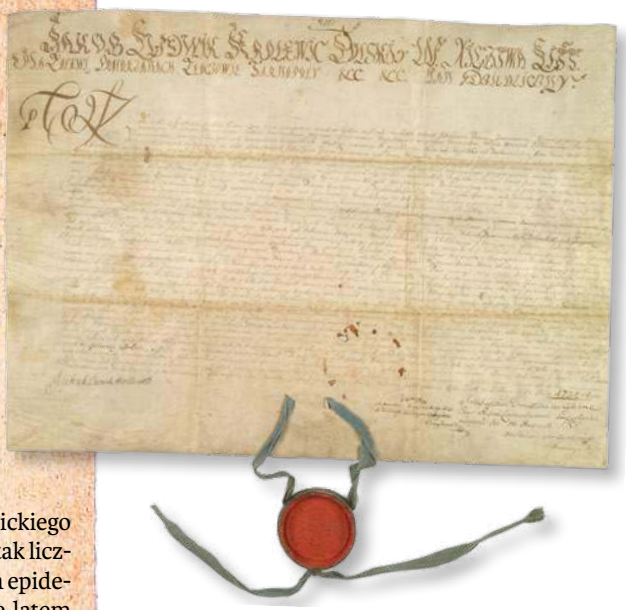
eprasa.pl bb51fa83aa

w Karłowicach. Prestiżowym sukcesem polityki unijnej było porzucenie prawosławia w 1708 r. przez lwowskie bractwo stauropigialne.

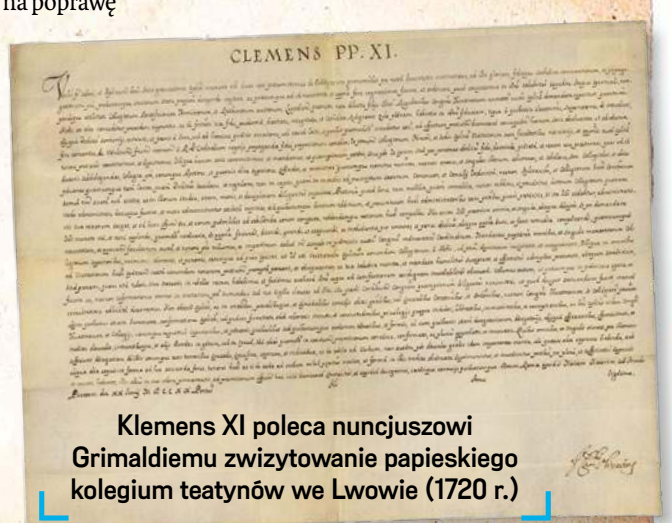
Przemiany te wymagały uregulowań w ramach całego Kościoła unickiego w Rzeczypospolitej. Poszczególne diecezje miały przecież swoje dzieje, często burzliwe, a każda z nich w innym okresie odchodziła od prawosławia, przyjmując katolicyzm w obrządku greckim i odtąd budując własną tradycję i zwyczaje. Diecezje w Wielkim Księstwie Litewskim uczyniły to już w XVII w., miały więc czas na wypracowanie relacji z łacińską częścią Kościoła. Inny przebieg proces ten miał w diecezjach na Rusi Czerwonej, trwających przy prawosławiu aż do przełomu XVII i XVIII stulecia, a wcześniej – jak w eparchii przemyskiej – będących w konflikcie z unitami mającymi własną hierarchię, struktury i wiernych na tym samym obszarze. Dostrzegając te problemy, unicki metropolita kijowski Leon Kiszka jesienią 1715 r. poprosił Stolicę Apostolską o zgodę na zwołanie prowincjonalnego synodu metropolii kijowskiej. Miał on rozgraniczyć diecezje, ustalić precedencję biskupów unickich, ujednolicić sprawy obrządkowe, wyplenić nadużycia i potępić sektę filipinów. Już wcześniej do Rzymu docierały informacje budzące niepokój o stan Kościoła unickiego. W 1713 r. Stefan Trombetti, rektor papieskiego kolegium ormiańskiego we Lwowie, zawiadamiał o podejrzeniach symonii przy obsadzie urzędów kościelnych. Były też inne argumenty przemawiające za potrzebą zwołania synodu. Hierarchowie uniccy metropolii kijowskiej od 1626 r. nie zbierali się na synodach prowincjonalnych. Zwołaniem synodu był wreszcie zainteresowany kler unicki, oczekując, że podjęte na nim uchwały pozwolą na poprawę jego złej kondycji materialnej. Plany zwołania synodu metropolii kijowskiej życzliwie przyjęła Kongregacja Rozkrzewiania Wiary. Metropolicie kijowskiemu polecono, aby przygotowania do synodu prowadził wspólnie z nuncjuszem apostolskim Hieronimem Grimaldim, którego papież Klemens XI w brewe z 20 marca 1716 r. mianował przewodniczącym obrad. Nominacja ta rozgoryczyła metropolitę, do którego kompetencji należało zwołanie synodu. Jego termin był odkładany także z powodu interwencji rosyjskiej, której konsekwencją był sejm niemy, co nie sprzyjało swobodzie zebrań hierarchów unickich. Po tej zwłoce synod zwołano do Lwowa na 26 sierpnia 1720 r. Miejsce obrad wybrano nieprzypadkowo. Miał się on odbyć w stolicy diecezji, która niedawno przystąpiła do unii, w mieście będącym siedzibą biskupów katolickich aż trzech obrządków: łacińskiego, unickiego i ormiańskiego. Planom zwołania tak licznego zgromadzenia przeszkodziła epidemia, która wybuchła we Lwowie latem 1720 r. Synodu jednak nie odwołano, ale przeniesiono go do pobliskiego Zamościa.

W synodzie uczestniczyli biskupi i kapłani uniccy z diecezji chełmskiej, kijowskiej, lwowskiej, łuckiej, pińskiej, połockiej, przemyskiej, smoleńskiej i włodzimierskiej. Łącznie w obradach wzięło udział ponad 150 duchownych świeckich i zakonnych. Aktywnością wyróżniali się nuncjusz Grimaldi, metropolita Kiszka, biskup lwowski Atanazy Szeptycki, rektor kolegium teatynów Trombetti i archimandryta Polikarp Filipowicz. Katolickość synodu podkreślał udział hierarchów łacińskich oraz ormiańskich z arcybiskupem lwowskim Janem Tobiaszem Augustynowiczem na czele. Wyniki prac ogłoszono na trzecim posiedzeniu, zamykającym synod 17 września 1720 r. Były to ustawy reformujące Kościół unicki wzorowane na dekretach soboru trydenckiego i uchwałach synodu mediolańskiego Karola Boromeusza z 1565 r. W 19 artykułach uporządkowano sprawy dogmatyki, kaznodziejstwa, katechizacji, liturgiki, administrowania sakramentów, spraw dyscyplinarnych, opłat kościelnych i relacji z bazylianami. Ważnym elementem reformy był nacisk na kształcenie księży. W tym celu przekazano dar metropolity Jerzego Winnickiego (†1713) przeznaczony na założenie seminarium unickiego w Przemyślu na rzecz kolegium teatynów we Lwowie, kształcącego księży unickich obrządku greckiego i ormiańskiego.

Dzieło synodu przetrwało upadek Rzeczypospolitej, szczególnie w tej jej części, z której powstała Galicja. Niestety w historiografii pokutuje spłycony pogląd sprowadzający znaczenie synodu zamojskiego do latynizacji Cerkwi. Tymczasem jego dzieło było wybitne. Zreformowany Kościół unicki stał się partnerem dla Kościoła łacińskiego. Polonizacja i latynizacja Cerkwi były zjawiskami związanymi z atrakcyjnością kultury polskiej. Wzmocniony reformami synodu zamojskiego Kościół unicki zachował bogactwo obrządku greckiego, przy jednoczesnej akomodacji tradycji polsko-łacińskiej Kościoła zachodniego. Proces ten zachodził w obydwie strony, ubogacając duchowość łacińską np. pod wpływem ikon – cudownych obrazów Maryjnych, będących obiektem szczególnej czci chrześcijan obydwu wyznań i obrządków.



Królewicz Jakub Ludwik Sobieski poszerza przywileje duchowieństwa unickiego w swych dobrach dziedzicznych (1735 r.)



Klemens XI poleca nuncjuszowi Grimaldiemu zwizytowanie papieskiego kolegium teatynów we Lwowie (1720 r.)

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl bb51fa83aa

BEZPIEKA WOBEC KOBIET WYWIADU

Archiwum Akt Nowych



KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

EMISARIUSZKI I KURIERKI – BOHATERKI PODZIEMIA ANTYKOMUNISTYCZNEGO. SILNE I ODWAŻNE KOBIETY, KTÓRE NIE BAŁY SIĘ ZAPŁACIĆ NAJWYŻSZEJ CENY ZA WOLNOŚĆ UKOCHANEJ OJCZYZNY

Ich udział w podziemiu antykomunistycznym był naturalną kontynuacją konspiracji okresu okupacji niemieckiej i wcześniejszej walki o niepodległość Polski. Po wojnie komunistyczna bezpieka nie stosowała żadnej taryfy ulgowej wobec kobiet. Kryterium płci, jako najbardziej podstawowe, naturalnie było traktowane przez funkcjonariuszy stalinowskiego aparatu przymusu wyłącznie w sposób formalny. Wszystkie istniejące przepisy dotyczące wykonywania kary zupełnie nie brały pod uwagę psychofizycznych odrębności kobiet. Równouprawnienie kobiet stosowano podczas śledztwa, nie pomijano żadnych tortur, stosowano najdotkliwsze kary, nawet karę śmierci.

Ogromnie ważną formą działalności opozycji antykomunistycznej było zbieranie dokumentów i informacji będących dowodem sowietyzacji kraju oraz imperialistycznych dążeń ZSRS. Wywiad był więc dziedziną najbardziej znienawidzoną przez komunistów. Osoby powiązane z wywiadem były szczególnie tropione i tępione. Dla oskarżycieli ujawnienie informacji będących tajemnicą państwową było tak istotne, że pomijali oni wszelkie motywy i zamiary oskarżonych. Nieważne były także podmioty, którym wiadomość została przekazana. W ten sposób zrównano ewidentnych szpiegów, działających na rzecz obcego wywiadu z osobami walczącymi o wolność, pragnącymi ujawnić opinii publicznej szokujące wiadomości lub dokumenty.

Jedną z kobiet skazanych na karę śmierci była Halina Żurowska ps. Heniek. W konspiracji działała już podczas wojny – początkowo była kurierką Tajnej Organizacji Wojskowej, następnie pracowała w Dziale Łączności Zagranicznej Armii Krajowej. W czasie powstania warszawskiego pełniła funkcję łączniczki w Zgrupowaniu „Radosław". W powojennej stalinowskiej rzeczywistości zdecydowała się na pozostanie w podziemiu i weszła w skład aparatu łączności MSW. Pełniła funkcję kierownika komórki łączności kurierskiej na kraj, przewożąc tajne raporty do kraju i za granicę. Pod koniec września 1948 r. została aresztowana przez UB w Gdańsku. Rok później po ciężkim śledztwie została skazana na karę śmierci. Bolesław Bierut, jak w przypadku wielu innych działaczy opozycji antykomunistycznej, nie skorzystał z prawa łaski. Podczas wyprowadzania na egzekucję usiłowano zmusić kobietę do podpisania zeznania, że Jan Mazurkiewicz „Radosław" współpracował z Niemcami. W zamian obiecywano jej zmianę wyroku i wolność. Halina Żurowska nie złamała się – została zgładzona strzałem w tył głowy w więzieniu mokotowskim 21 września 1949 r.



Halina Żurowska „Heniek" oraz opinia w sprawie jej ułaskawienia



DECYZJA

PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Nr Sn. Odw. S. 2990/49

o d p i s

Warszawa, dnia 14 września 1949 r.

1. W stosunku do skazanego wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie z dnia 8 sierpnia 1949 r. ŻUROWSKIEJ Heleny s. Wiktora na karę śmierci oraz kary dodatkowe utraty praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze i przepadku całego mienia

z prawa łaski ~~skorzystam~~ b) nie korzystam.

~~w stosunku do skazanego wyrokiem orzeczoną karę śmierci na karę~~

Ze strukturami wywiadu organizacji WiN związana była Stanisława Rachwał ps. Herbert, Ryś, Zygmunt. Doświadczenie w pracy wywiadowczej zdobyła również w okresie okupacji niemieckiej,

FOT. AAN; SHUTTERSTOCK

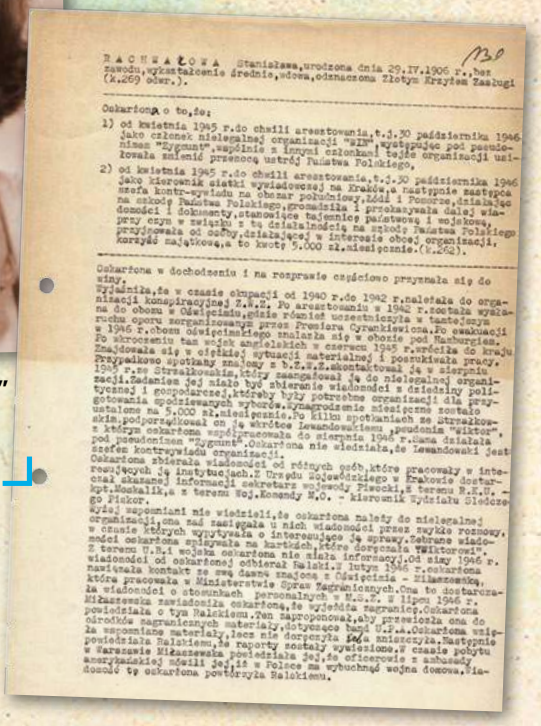
eprasa.pl bb51fa83aa



Stanisława Rachwał „Herbert” oraz okoliczności jej sprawy sądowej

jako żołnierz struktur kontrwywiadu Okręgu Kraków ZWZ-AK. Za tę aktywną działalność była dwa razy aresztowana przez hitlerowców i więziona w KL Auschwitz, KL Ravensbrück i KL Neustadt-Glewe. Tam również zaangażowała się czynnie w obozowy ruch oporu, np. w Auschwitz sporządzała ilościowe zestawienia transportów więźniów. Po powrocie do kraju rozpoczęła działalność w wywiadzie WiN na terenie okręgu krakowskiego, potem warszawskiego. Zajmowała się zbieraniem informacji z dziedziny gospodarczej, politycznej i wojskowej, m.in. gromadziła dane osobowe i sporządzała charakterystyki aktywnych członków partii komunistycznej, urzędników państwowych, funkcjonariuszy UB i MO oraz oficerów „ludowego” Wojska Polskiego. Sporządzane przez nią raporty były wykorzystywane przez dowództwo WiN w Kraju, jak również wysyłane do ośrodków emigracyjnych w Wielkiej Brytanii i Delegatury Zagranicznej WiN. Stanisława Rachwał została aresztowana w październiku 1946 r. w przededniu wyjazdu na Zachód, przeszła ciężkie 11-miesięczne śledztwo. Sąd skazał ją na karę dożywotniego więzienia, jednak wkrótce sprawę ponownie skierowano do rozpatrzenia i zamieniono dożywocie na karę śmierci. Po dwóch miesiącach w drodze „łaski” wyrok śmierci zamieniono z powrotem na dożywocie. Ostatecznie Stanisława Rachwał została zwolniona z więzienia w drodze amnestii w kwietniu 1956 r.

W siatce wywiadowczej rtm. Witolda Pileckiego ważną funkcję pełniła Maria Szelągowska ps. Rysia. Współpracowali ze sobą już podczas okupacji niemieckiej.



RACHWAŁOWA Stanisława,urodzona dnia 29.IV.1906 r.,bez zawodu,wykształcenie średnie,wdowa,odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi (k.269 obw.).

Oskarżona o to,że:

1) od kwietnia 1945 r.do chwili aresztowania,t.j.30 października 1946 jako członek nielegalnej organizacji "WiN" występując pod pseudonimem "Zygmunt",wspólnie z innymi członkami tejże organizacji usiłowała zmienić przemocą ustrój Państwa Polskiego,

2) od kwietnia 1945 r.do chwili aresztowania,t.j.30 października 1946 jako kierownik siatki wywiadowczej na Kraków,a następnie zastępca szefa kontr-wywiadu na obszar południowy,kolidi i Pomorze,działając na szkodę Państwa Polskiego,gromadziła i przekazywała dalej wiadomości i dokumenty,stanowiące tajemnicę państwową i wojskową, przy czym w związku z tą działalnością na rzecz Państwa Polskiego korzystała nadto,że to kwotę 5.000 zł.miesięcznie.(k.262).

Oskarżona w dochodzeniu i na rozprawie częściowo przyznała się do winy.

Wyjaśniła,że w czasie okupacji od 1940 r.do 1942 r.należała do organizacji konspiracyjnej Z.W.Z. Po aresztowaniu w 1942 r.została wysłana do obozu w Oświęcimiu,gdzie również uczestniczyła w tamtejszym ruchu oporu zorganizowanym przez Prezbitera Cyrankiewicza.Po ewakuacji w 1946 r.obozu oświęcimskiego znalazła się w obozie pod Hamburgiem. Po wkroczeniu tam wojsk angielskich w czerwcu 1945 r.wróciła do kraju. Znajdowała się w ciężkiej sytuacji materialnej i poszukiwała pracy. Przypadkowo spotkała znajomy z W.P.,z którym służyła w 1939 r.ze Strzałkowskim,który zaangażował ją do nielegalnej organizacji.Zadaniem jej miało być zbieranie wiadomości z dziedziny politycznej i gospodarczej,które były potrzebne organizacji dla przygotowania spodziewanych wyborów.Wynagrodzenie miesięczne wynosiło ustalone na 5.000 zł.miesięcznie.Po kilku spotkaniach ze Strzałkowskim,podporządkował on ją wkrótce Lewandowskiemu „pseudonim "Wiktor", pod pseudonimem "Zygmunt".Oskarżona nie wiedziała,że Lewandowski jest szefem kontrwywiadu organizacji.

Oskarżona zbierała wiadomości od różnych osób,które pracowały w instytucjach,które ją interesowały.Z Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie dostarczał kpt.Moskalik,a w terenu Woj.Komendy M.O. - kierownik Wydziału Śledczego Piskor.

Wyjaśniła,że zapoznani nie wiedzieli,że oskarżona należy do nielegalnej organizacji,ona nad nazwiska u nich wiadomości przez nikogo rozmowy, w czasie których wypytywała o interesujące ją sprawy.Zebrane wiadomości oskarżona spisywała na kartkach,które gorczała "Viktorowi". Z terenu U.B.i wojska oskarżona nie miała informacji.Od zimy 1946 r. wiadomości od oskarżonej odbierał Kalski.z lutym 1946 r.oskarżona nawiązała kontakt ze swą dawną znajomą z Oświęcimia - Milewską, która pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.Ona to dostarczała wiadomości o stosunkach personalnych w M.S.Z. W lipcu 1946 r. Milewska zawiadomiła oskarżoną,że wyjeżdża zagranicę.Oskarżona powiedziała o tym Kalskiemu.Ten zaproponował,aby przesłała ona do ośrodka zagranicznych materiały,które nie dorzucyła jego zniszczyła.Następnie za pośrednictwem Kalskiego otrzymała powiedziała Kalskiemu,że raporty zostały wysłane.W czasie pobytu w Warszawie Milewska powiedziała jej,że oficerowie z ambasady amerykańskiej,z jej w Polsce na wybuchnę wojna domowa,Kalskiego to oskarżona powtórzyła Kalskiemu.

Kiedy spotkali się we Włoszech, w II Korpusie gen. Andersa, Maria Szelągowska pomagała Pileckiemu w spisywaniu jego relacji o tworzeniu podziemnej organizacji w Auschwitz. Wedle bezpieki w siatce Pileckiego pełniła ona funkcję „informatorki i kierowniczki biura studiów wywiadu Andersa”. Podczas aresztowania w jej mieszkaniu znaleziono archiwum sieci zawierające fotokopie raportów. Maria Szelągowska podczas procesu w sądzie mówiła: „Mną kierowała głęboka wiara i przekonanie w to, co robiłam, wiara w ukochany kraj i Ojczyznę”. W marcu 1948 r. po pokazowym procesie wraz z Witoldem Pileckim i Tadeuszem Płużańskim kobieta została skazana na karę śmierci. Wkrótce karę śmierci zamieniono na karę dożywotniego więzienia, jednak nawet w drodze na odczytanie ułaskawienia funkcjonariusze utrzymywali, że czeka ją egzekucja. Była to powszechnie stosowana zagrywka, by doprowadzić więźnia do skrajnej rozpaczy. Marii Szelągowskiej „darowano” życie, jednak kobieta bardzo przeżyła wyrok Witolda Pileckiego, z którym łączyła ją głęboka przyjaźń i wieloletnia współpraca. Jako więzień najbardziej niebezpieczny karę odbywała w najsurowszych więzieniach dla kobiet, m.in. w Fordonie i Inowrocławiu. To więzienie izolacyjne szczególnie zapisało się w psychice kobiety, która musiała się zmierzyć tam z objawami ciężkiej psychonerwicy.

Okres spędzony w stalinowskich więzieniach pozostawiał nieodwracalne zmiany w osobowości kobiet. Opuszczając więzienie, bohaterki zabierały ze sobą nadwerężone zdrowie, chorą psychikę, a na wolności musiały się zmierzyć z problemami nowej, nieprzychylnej im rzeczywistości: zdobyciem pracy, utratą majątku i ciągłą inwigilacją.

Przywołałam zaledwie trzy bohaterki, skracając ich historie do niewielkich biogramów. O ich patriotycznej działalności można by napisać obszerne opracowania. Źródła do poznania ich pełnych życiorysów oraz postaci innych nieustraszonych kobiet znajdują się w Archiwum Akt Nowych w zespołach Prokuratury Generalnej, Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP i Kancelarii Rady Państwa oraz w bogatych zasobach Komisji Historii Kobiet w Walce o Niepodległość Polski.

W drugim rzędzie Witold Pilecki, Maria Szelągowska i Tadeusz Płużański



FOT. IPN (2x)

eprasa.pl bb51fa83aa

Ambasada Węgier Warszawa
Magyarország Nagykövetsége Varsó
Instytut im. Balassiego
Węgierski Instytut Kultury w Warszawie



KÁROLY SZERENCSÉS

Żołnierze Republiki Rad, 1919 r.

PIERWSZA DYKTATURA PROLETARIATU NA WĘGRZECH

SOWIECKA PRÓBA ZASZCZEPIENIA ZARAZY REWOLUCJI NA WĘGRZECH NA SZCZĘŚCIE SIĘ NIE UDAŁA I TRWAŁA KRÓTKO. JEDNAK NAWET TE CZTERY KRWAWE MIESIĄCE 1919 r. MIAŁY POWAŻNY NEGATYWNY WPŁYW NA WĘGIERSKIE PAŃSTWO I SPOŁECZEŃSTWO

Oglądana z perspektywy stu lat Wielka Wojna, jak współcześni nazywali I wojnę światową, faktycznie w sposób definitywny zmiażdżyła świat, który na Węgrzech określano terminem „szczęśliwe czasy pokoju". Upadły Austro-Węgry, Imperium Rosyjskie oraz Imperium Osmańskie, znacząco osłabiły się również Niemcy. Jednakże każdy upadek to zarazem odrodzenie – także na poziomie narodów i państw – które wymaga zdumiewających energii i jasnych, możliwych do zrealizowania celów, silnej jedności narodowej, rozwijanego przez tysiąclecia instynktu życia, odpowiednich przywódców.

Militarna, polityczna, gospodarcza i społeczna zapaść, jaka dotknęła Węgry, była szczególnie poważna pod koniec 1918 i na początku 1919 r. Zawiodły elity polityczne zarówno historyczne, jak i nowe, samozwańcze. Na przełomie lat 1918–1919 nastąpił też rozpad niemal wszystkich struktur i instytucji politycznych, wojskowych, gospodarczych i administracji publicznej. Faktem jest, że proces ten przyśpieszyło masowe i postępujące z każdej strony zajmowanie Węgier przez wrogie wojska, które niemalże nie natrafiały na opór. Sygnowana nazwiskiem

FOT. FORTEPAN / ERKY-NAGY TIBOR

eprasa.pl bb51fa83aa

hrabiego Mihálya Károlyiego Węgierska Republika Ludowa pod każdym względem została policzona, zważona i podzielona. Całkowity brak struktur i instytucji oraz świadome sabotowanie wysiłków na rzecz ich powstania i utrzymania, a ponadto utrata czysto węgierskich terenów historycznych zostały wykorzystane przez grupkę bolszewickich komunistów. Przybyli z Rosji na Węgry, aby w tej sytuacji organizować się i podejmować w kraju działania mające na celu podkopanie, a następnie przejęcie władzy na drodze przewrotu, tak aby również na Węgrzech wspomóc „rewolucję światową".

Początki komunistów

Węgierska Partia Komunistów powstała 24 listopada 1918 r., zaledwie tydzień po tym, jak odgórnie wyznaczone kierownictwo tutejszej partii, z Bélą Kunem na czele, dotarło z Moskwy do Budapesztu. Przybysze przywieźli dużo pieniędzy oraz materiałów propagandowych w postaci broszur i wydrukowanych zawczasu ulotek. Fundusze, którymi dysponowali, posłużyły do uruchomienia gazet, jak „Vörös Újság" („Gazeta Czerwona"), „Vörös Katona" („Żołnierz Czerwony"), „Ifjú Proletár" („Młody Proletariusz"). Przesłanie Béli Kuna brzmiało następująco: „Podpalcie cały kraj, rozbijcie każdą przeszkodę, która śmie stanąć na drodze uciśnionym".

Już za „Republiki Ludowej" powstały na Węgrzech rozmaite rady (Rada Narodowa, Rada Robotnicza, Rada Żołnierska itd.), w których kierowniczą rolę odgrywali socjaldemokraci, ale rychło i tutaj umocniła się grupa „bolszewików". 20 lutego 1919 r. komuniści podjęli próbę przeprowadzenia zbrojnego puczu, wówczas jeszcze jednak bez powodzenia. Kierownictwo partii zostało aresztowane, lecz prasa i propaganda szeptana nadal podsycały nastroje. „Pożyteczni idioci", jak Lenin nazywał inteligencję, wypatrujący własnych korzyści, rzeczywiście zaszkodzili bardziej niż przejrzysta propaganda komunistyczna. Wielu ludzi miało poczucie, że w samym środku wielkiego krachu potrzebny jest jakiś zupełnie nowy porządek gospodarczy, polityczny i etyczny. W miejsce węgierskiego liberalizmu narodowego, który był u władzy przez ostatnie pół wieku, pragnęli czegoś innego. W tej sytuacji 20 marca 1919 r. do węgierskiego rządu nadeszła nota Ententy (tzw. nota Vyxa), która zawierała oficjalną informację o likwidacji terytorialnej integralności Węgier i utracie przez państwo ogromnych obszarów zamieszkałych przez ludność węgierską.

Fatalny sojusz

W tych okolicznościach prezydent Mihály Károlyi powierzył misję utworzenia rządu Socjaldemokratycznej Partii Węgier (powstałej w 1890 r.), mając nadzieję na uzyskanie przychylnego nastawienia partii socjaldemokratycznych i socjalistycznych na Zachodzie. Poważnym balastem dla węgierskiej historii i myśli politycznej jest to, że socjaldemokraci nie podjęli się wspólnego reprezentowania demokracji i interesu narodowego, lecz zaczęli pertraktować z przebywającymi w więzieniu komunistami i wkrótce też się z nimi ułożyli. Najpierw te partie zjednoczyły się pod nazwą Socjalistycznej Partii Węgier, następnie proklamowano „dyktaturę proletariatu" i (sowiecką) Republikę Rad. Jednocześnie doszło do przejęcia władzy również w radach robotniczych oraz żołnierskich, zgodnie z zasadą dyktatury proletariatu. Prezydenta Károlyiego odsunięto na boczny tor i w najbardziej krytycznym momencie, wobec zagrażających egzystencji kraju frontów zewnętrznych, otwarto w imię walki klas także front wewnętrzny z tysiącem pól działań wojennych.

Położone w sercu Europy Węgry – jako sojusznika Rosji Sowieckiej – uczyniono najbardziej na zachód wysuniętym krajem frontowym rewolucji światowej. W miejsce parlamentu zadanie sprawowania „władzy ludowej" miało pozornie wykonywać Krajowe Zgromadzenie Rad, którego honorowym przewodniczącym został Lenin. W rzeczywistości jednak cała władza trafiła w ręce Rewolucyjnej Rady Rządzącej, a jej dekrety miały moc ustawową. Sándor Garbai, przewodniczący tej Rady, wyraził się tak: „Nowy kurs polega na tym, że oczekujemy od Wschodu tego, czego odmówił nam Zachód". W istocie było to całkowite „gładkie przejście" do komunizmu, a to wzbudziło wielką panikę i odrazę w Paryżu, Londynie, Rzymie i dało ówczesnym wrogom Węgier świeżą amunicję oraz nowe atuty.

Nieład wojenny

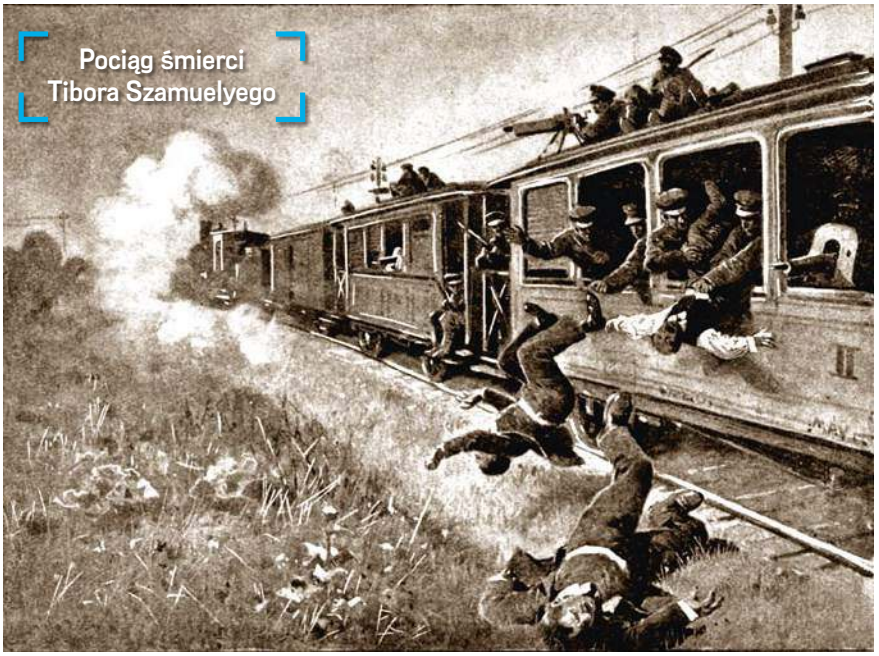
Wraz z zakończeniem Wielkiej Wojny bowiem nastroje w naszym regionie – od Finlandii po Turcję – uległy pogorszeniu wskutek irytacji powodowanej 21 wojnami lokalnymi. Wśród nich były także konflikty o niespotykanym w historii świata znaczeniu, jak rosyjska wojna domowa, wojna polsko-bolszewicka czy też wojna prowadzona przez Turcję, która odrzuciła ofertę pokojową. „Ustalenia ładu" po Wielkiej Wojnie zwycięzcy dokonali w Paryżu wiosną i latem 1919 r., kiedy na Węgrzech szalała bolszewicko-komunistyczna dyktatura, a nawet w Bawarii ten wirus dawał się już we znaki. Nie mówiąc o tym, że jasno postawionym celem przez Lenina i Trockiego było zbrojne zdobycie Warszawy i Berlina, a następnie poprzez Niemcy „doprowadzenie do stanu rewolucji" całej Europy. »

Sándor Garbai i Béla Kun proklamują powstanie Węgierskiej Republiki Rad, 21 marca 1919 r.



FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl bb51fa83aa


Pociąg śmierci Tibora Szamuelyego

FOT. „LA DICTATURE DU PROLÉTARIAT" ARMAND LEBRUM

» W tej właśnie sytuacji w Budapeszcie Rewolucyjna Rada Rządząca wprowadziła „dyktaturę klasową". Węgierskie społeczeństwo poznało upiory „nienawiści klasowej", „wroga klasowego". Przeprowadzono nacjonalizację („uspołecznienie") własności prywatnej, w tym fabryk, zakładów pracy, sklepów, warsztatów, mieszkań, ziemi, banków, zawartości sejfów, instytucji kultury, prasy itd. Rozpoczęła się „likwidacja" kościołów – czyli religii – i upaństwowienie „produkcji intelektualnej". Dla wszystkich tych działań powołano odpowiednie urzędy, np. Krajową Radę Produktów Intelektualnych czy Krajowy Komitet Likwidacyjny ds. Wyznań.

Utworzono „trybunały rewolucyjne", w których ani prokuratorscy komisarze, ani członkowie tych sądów nie musieli dysponować wykształceniem prawniczym. Nie było ani formalnej procedury dochodzeniowej, ani nawet aktu oskarżenia. Trybunały rewolucyjne mogły działać w terenie, choćby pod gołym niebem. Wyroki (śmierci) wykonywano bezzwłocznie, nie można było się odwołać. A wszystko to działo się w społeczeństwie Węgier o tak wysubtelnionym w poprzednich wiekach zmyśle prawnym.

Spisano konstytucję, która prawo wyborcze zapewniała jedynie „tym, którzy żyją z pracy użytecznej społecznie". A kto miałby się do nich zaliczać, o tym decydowała władza. Ale to i tak było nieistotne, ponieważ w wyborach mogli startować jedynie „oficjalni" kandydaci. Jednakowoż w trakcie tych kilku miesięcy nie zdołało się wyklarować, kto właściwie był u władzy. Węgierska Republika Rad utrzymała się wszak zaledwie od 21 marca do 1 sierpnia 1919 r. Istniała przy tym lekka niepewność co do tego, jak kształtuje się relacja sił pomiędzy komunistami i byłymi socjaldemokratami, na dodatek stale zmieniał się zasięg terytorialny dyktatury, a jej stabilność była problematyczna.

Rządzenie terrorem

Na dni albo nawet tygodnie dochodzili do władzy ludzie z rodzaju takich, o których wcześniej czytać można było w gazetach jedynie w rubrykach kryminalnych. Władza centralna a to ich wykorzystywała, a to starała się ograniczać. Do takich grup właśnie należeli osławieni „chłopcy Lenina", gotowi do każdej masakry, jakakolwiek by ona była. W każdym razie władzę można było utrzymać jedynie za pomocą czerwonego terroru. Ten terror stał się istotą systemu. Tym więc różnił się terror czerwony od każdej innej fali terroru, nawet i od terroru białego, który pojawił się w reakcji na terror czerwony. Charakter czerwonego terroru, czyli służenie utrzymaniu komunistycznej władzy w państwie, komisarz ludowy Béla Vágó sformułował następująco: „Nie bójcie się krwi, bez krwi nie sposób pracować, bez krwi nie ma terroru, bez terroru nie ma dyktatury". Lenin też nie bawił się w subtelności w swoich wskazówkach: „Bezlitośnie zduście tych, którzy się wahają. Rozstrzelanie – oto zasłużony los tchórza na wojnie". I rzeczywiście – rozstrzeliwano, wieszano, mordowano. Rozpoczął się terror o niespotykanych wcześniej rozmiarach. To wtedy zaczęło się rozstrzeliwanie skazanych wprost do Dunaju, „spławianie", „posłanie do wyniszczenia", to wtedy rozpętało się pandemonium dzikich instynktów. Béla Kun tak przemawiał 21 czerwca 1919 r.: „Przy stosowaniu terroru, towarzysze, nikogo nie wolno oszczędzać, tylko trzeba wieszać". (Grymasem historii jest to, że w końcu i jego samego towarzysze zabili w Moskwie.) Pędziły „pociągi śmierci", szalały specjalne oddziały w skórzanych płaszczach, potaniała „burżujska krew".

Smutny bilans

Trudno już dzisiaj stwierdzić, ile faktycznie było ofiar, kto kogo zabił, jak i kiedy. Do kraju powróciły wszak z frontów miliony chorych ludzi, szalała epidemia hiszpanki. Mordowali i rabowali wkraczający okupanci, mordowali i za złoty zegarek, i nawet za kawałek chleba. Zabijał głód, zabijało także upokorzenie i bycie wydanym na pastwę losu. Dająca się udokumentować liczba śmiertelnych ofiar czerwonego terroru w trakcie tych 133 dni oscyluje wokół 600 osób. Ale to wtedy po raz pierwszy rozpętały się ukrywane pod szatami ideologii najmroczniejsze ludzkie instynkty, to wtedy w sposób świadomy zwrócono przeciwko sobie różne warstwy społeczne. To wtedy po raz pierwszy istotą władzy stał się terror, swobodne rabowanie i niczym dżin z butelki wyzwoliły się duchy nienawiści i strachu, to wtedy po raz pierwszy węgierskie społeczeństwo rozpadło się na kawałki i uległo atomizacji. To wtedy został urzeczywistniony system polityczny, który fatalnie poszarpał tkankę społeczną, system, który rozsiewał nienawiść klasową i poszczególne warstwy podburzał do tego stopnia, by postrzegały siebie nawzajem jako wrogów.

Pierwsza węgierska dyktatura proletariatu upadła z powodów zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Aż 90 proc. terytorium Węgier – również Budapeszt – zajęły obce wojska. Zgodnie z decyzją zwycięzców dwie trzecie naszego kraju dostało się we władanie obcych państw. Béla Kun i jego towarzysze uciekli za granicę. Niektórzy z nich, w tym komisarz ludowy Mátyás Rákosi, w 1945 r. powrócili z Armią Czerwoną. A wraz z nimi powrócił – na 40 lat – system, na którym ciąży tak wielka odpowiedzialność także za ciężkie próby, na jakie wystawiono całe generacje, w tym obecne pokolenie.

Tłum. Irena Makarewicz

eprasa.pl bb51fa83aa

PÁL TELEKI – PREMIER, KTÓRY NIE UWAŻAŁ SIĘ ZA POLITYKA



BALÁZS ABLONCZY

W PRZEŁOMOWYCH DLA WĘGIER MOMENTACH XX w. NA CZELE RZĄDU STAWAŁ CZŁOWIEK O WIELKIM POCZUCIU PATRIOTYCZNEGO OBOWIĄZKU WOBEC OJCZYZNY. ODPOWIEDZIALNY AŻ DO POŚWIĘCENIA WŁASNEGO ŻYCIA

Hrabia Pál Teleki z Szék przyszedł na świat w Budapeszcie 1 listopada 1879 r. Jego ojcem był Géza Teleki, niepozbawiony ambicji literackich polityk wywodzący się z węgierskiej arystokracji siedmiogrodzkiej. Matką zaś Irén Muráti z peszteńskiej rodziny kupców pochodzenia greckiego. Dobra ziemskie Telekich leżały w północnej części Siedmiogrodu, w okolicy miasta Nagybánya (obecnie Baia Mare w Rumunii). Naprawdę jednak rodzina zawdzięczała dobrobyt nieruchomościom w Budapeszcie, odziedziczonym po dziadku ze strony matki przyszłego premiera. Pál był jedynakiem i z powodu słabego zdrowia szkoły kończył eksternistycznie. Egzamin maturalny zdał w gimnazjum pijarów w Budapeszcie, po czym rozpoczął w stolicy studia prawnicze. »

FOT. NAC



Pál Teleki w otoczeniu polskiej starszyzny harcerskiej, w momencie wykonywania hymnu narodowego, Spała, lipiec 1935 r.

eprasa.pl bb511a83a

>> W rzeczywistości jednak prawo nigdy go nie interesowało. Już na pierwszym roku poświęcił się studiom geograficznym, a w ich ramach przede wszystkim historii kartografii, które prowadził pod kierunkiem profesora uniwersytetu w Budapeszcie Lajosa Lóczyego, wybitnego geografa tamtych czasów. I chociaż Teleki oprócz działalności politycznej przez całe swoje życie związany był właśnie z geografią, to nigdy nie zdobył regularnego wykształcenia w tym zakresie.

Młody arystokrata imał się najróżniejszych zajęć. Ukończył roczny kurs w akademii gospodarczej w Magyaróvárze, gdzie uczył się administrowania dobrami ziemskimi. Uczęszczał też na zajęcia na poprzedniczce dzisiejszej Akademii Sztuk Pięknych w Budapeszcie, a jego zachowane do dziś rysunki świadczą o tym, że rzeczywiście miał uzdolnienia plastyczne. Po ukończeniu studiów został urzędnikiem lokalnej administracji w okręgu Kőváru – części Siedmiogrodu, w której znajdowały się jego rodzinne włości. Nie na długo.

Pierwsze szlify

W 1904 r. na Węgrzech doszło do kryzysu politycznego, w wyniku którego rozpisano nowe wybory parlamentarne. Zaledwie 25-letni podówczas Teleki wystartował i zdobył mandat właśnie w okręgu Kőváru. Powtórzył ten sukces też w wyborach dwa lata później. W późniejszym okresie jego życia również można dostrzec tę prawidłowość – podejmował się sprawowania funkcji publicznych w sytuacjach kryzysu politycznego, gdy był przekonany, że jest potrzebny krajowi. Tak było w roku 1916 i 1938, kiedy zdecydował się objąć stanowiska polityczne (mandat poselski, stanowisko ministra, a potem premiera). Pomiędzy okresami pracy państwowej raczej wycofywał się z życia publicznego. W 1908 r. ożenił się z Johanną Bissingen-Nippenburg z węgierskiej rodziny hrabiowskiej pochodzenia niemieckiego. Mieli dwoje dzieci: córkę Márię i syna Gézę.

Bezpośrednio przed I wojną światową Teleki angażował się przeważnie w działalność różnych stowarzyszeń. Był sekretarzem generalnym Węgierskiego Towarzystwa Geograficznego, a także jednym z prezesów utworzonego w 1910 r. Towarzystwa Turańskiego. Organizacja ta szerzyła ideologię turanizmu, która opierała się po części na orientalnym pochodzeniu Węgrów, a po części na idei ekspansji gospodarczej Węgier na Wschodzie. Teleki był też aktywny w węgierskim ruchu eugenicznym. Eugenice poświęcił swe pierwsze publikacje w czasopismach, utrzymywał kontakty z czołowymi niemieckimi politykami zajmującymi się zdrowiem publicznym. Wraz z wybuchem wojny zgłosił się do służby wojskowej. Przez półtora roku służył na Bałkanach i na froncie włoskim nad Isonzo, po czym został zdemobilizowany. Ponownie został posłem do parlamentu, a później prezesem Państwowego Urzędu Opieki Wojskowej – zajmował się wojskowymi inwalidami i żołnierzami zubożałymi w wyniku wojny. Stanowisko to zachował aż do początku 1919 r., pełniąc je nawet po upadku Austro-Węgier. Z całą pewnością było to możliwe dzięki przyjaźni, jaka od czasów młodości łączyła go z Mihályem Károlyim, premierem, a następnie prezydentem nowej republiki ludowej. Prawdopodobnie za jego pozwoleniem na początku marca 1919 r. Teleki wyjechał do Szwajcarii, gdzie próbował nawiązać kontakty z dyplomatami zachodnimi, aby w ten sposób uzyskać złagodzenie spodziewanych surowych warunków traktatu pokojowego z Węgrami.

Dyplomata i premier

21 marca 1919 r. na Węgrzech po rezygnacji Károlyiego rozpoczęto krótkotrwałą próbę utworzenia państwa komunistycznego, w którego władzach oprócz komunistów znaleźli się socjaldemokraci. Teleki przyłączył się do przeciwników rewolucji gromadzących się w Wiedniu, a następnie pojechał do Segedynu, dużego miasta na południowo-wschodnich Węgrzech zajętego podówczas przez Francuzów, gdzie powołano rząd kontrrewolucyjny. Objął w nim resort dyplomacji. Po upadku Węgierskiej Republiki Rad wyruszył do Budapesztu i odegrał kluczową rolę w węgierskich przygotowaniach do rokowań pokojowych. Był jednym z głównych delegatów Węgier, którzy wyjechali do Paryża w styczniu 1920 r., a także jednym z koordynatorów prac zespołu ekspertów. W kwietniu 1920 r. został ministrem spraw zagranicznych, a od lipca 1920 do wiosny 1921 r. po raz pierwszy piastował urząd premiera Węgier. Na okres jego rządów przypadła ratyfikacja przez parlament traktatu z Trianon z 4 czerwca 1920 r., który pozbawił Węgry dwóch trzecich terytorium i trzeciej części ludności narodowości węgierskiej. W czasie gdy stał na czele gabinetu, rząd Węgier wysłał pomoc w postaci broni i wyposażenia wojskowego walczącej z Armią Czerwoną Polsce.

Trudno stwierdzić, co było źródłem przychylności, jaką Teleki żywo okazywał Polakom w ciągu ostatnich 20 lat życia. Polityk nie tylko wielokrotnie wypoczywał w Polsce, lecz wziął też udział w zlocie harcerstwa polskiego w Spale w 1935 r. i z dumą pozował do zdjęcia, na którym pokazano, jak wwozi ziemię na kopiec marszałka Piłsudskiego. W czasie swych ponownych rządów jako premier (1939–1941) był jednym z głównych zwolenników przyjęcia na Węgrzech polskich uchodźców wojennych.

Na Węgrzech okres pierwszego rządu Telekiego (1920–1921) to w polityce wewnętrznej początek porewolucyjnej konsolidacji państwa. W tym czasie parlament przyjął ustawę o reformie rolnej, która – choć miała ograniczony zakres – zapewniła ziemię na własność 400 tys. osób. Rozpoczęto rozbrajać oddziały skrajnie prawicowych, na poły zmilitaryzowanych bojówek, postępowała też pewna stabilizacja sytuacji gospodarczej. Cieniem na ówczesnych rządach Telekiego kładzie się niewątpliwie przyjęcie tzw. ustawy o numerus clausus, która ograniczyła młodzieży żydowskiej dostęp na uczelnie. Był to pierwszy etap ustawodawstwa antysemickiego na Węgrzech. Teleki utracił władzę w kwietniu 1921 r. w wyniku politycznego zawirowania, jakie wywołał w kraju tzw. pucz wielkanocny. Król Karol IV Habsburg powrócił wtedy na Węgry i podjął próbę odzyskania tronu. Akcja zakończyła się fiaskiem, ale niezmiernie zaogniła konflikt między obozem zwolenników wolnej elekcji władcy (antyhabsburskim) a obozem legitymistycznym (prohabsburskim).

Premier po raz drugi

Teleki co prawda do 1926 r. pozostawał posłem do zgromadzenia narodowego, ale po ustąpieniu ze stanowiska premiera na dobre półtorej dekady wycofał się z życia politycznego. Pełnił wprawdzie ważne funkcje w kuluarach polityki, a w 1927 r. nawet wszedł w skład przywróconej wtedy izby wyższej parlamentu. Zasadniczo jednak do 1938 r. zajmował się szkolnictwem wyższym i działalnością w organizacjach społecznych. Został profesorem na wydziale nauk ekonomicznych uniwersytetu

eprasa.pl bb51fa83aa

w Budapeszcie, był też kuratorem (kierownikiem) Kolegium Eötvösa – placówki powołanej do akademickiego kształcenia nauczycieli, a wzorowanej na francuskiej École Normale Supérieure. Od 1922 r. był zwierzchnikiem harcerstwa na Węgrzech, a następnie pełnił funkcję honorowego komendanta tego ruchu. Z tej racji zasiadał w najwyższych gremiach światowego skautingu i był organizatorem IV światowego jamboree w Gödöllő pod Budapesztem w 1933 r. O międzynarodowym uznaniu, jakim się cieszył, świadczył jego udział w 1925 r. w pracach trzyosobowej komisji ekspertów Ligi Narodów, która miała za zadanie zaproponować przebieg granicy między Irakiem a Turcją.

W przededniu II wojny światowej ponownie włączył się w życie polityczne. Został najpierw ministrem wyznań i oświaty, a w lutym 1939 r. po raz drugi objął stanowisko premiera Węgier. Odegrał kluczową rolę w przyłączeniu w latach 1938–1941 do kraju części ziem, jakie utracił po I wojnie światowej. Zasadniczym celem Telekiego było zachowanie przez Węgry pola manewru w polityce zagranicznej.

Nie był to wszakże jedyny powód, którym się kierował, gdy jesienią 1939 r. przyjął chroniących się na Węgry uchodźców cywilnych i wojskowych z Polski, łącznie 90–100 tys. osób. Sympatia Telekiego do Polski opierała się na jego głębokim katolicyzmie, a także na związkach historycznych między obydwoma krajami. Akcentowanie przyjaźni polsko-węgierskiej stanowiło nieodzowny wątek jego przemówień. Dla polskich uchodźców na Węgrzech utworzono obozy, w kraju działało polskie gimnazjum (podczas gdy w okupowanej Polsce Niemcy zamknęli wszystkie szkoły średnie), a w Budapeszcie funkcjonowały legalne lub półlegalne polskie placówki – niektóre z nich aż do niemieckiej okupacji Węgier w marcu 1944 r.

Na pomoc Finom, walczącym w wojnie zimowej przeciw ZSRS (1939–1940), premier wysłał z Węgier ochotniczy legion. Jak można przypuszczać, motywem było zdecydowane nastawienie antysowieckie Telekiego oraz jego przekonanie o powinnościach Węgrów w stosunku do pobratymczego narodu.

Dramatyczny koniec

Każde swoje posunięcie w polityce zagranicznej usiłował wytłumaczyć Wielkiej Brytanii i uzyskać poparcie – lub co najmniej neutralność – Anglików i Francuzów dla węgierskiego planu rewizji terytorialnej z pomocą Niemiec i Włoch, zrealizowanego w trzech etapach. W rezultacie Węgry łącznie odzyskały prawie 5,5 mln mieszkańców i ponad 80 tys. km kw. utraconych ziem. W polityce wewnętrznej Teleki jako premier starał się co prawda zwalczać skrajnie prawicowych strzałokrzyżowców, jednak nie był w stanie trwale



Adolf Hitler i Pál Teleki w pałacu Belvedere w Wiedniu, w towarzystwie przedstawicieli państw, które przystąpiły do Paktu Trzech, 21 listopada 1940 r.

powstrzymać przesuwania się partii rządowej (Partia Życia Węgierskiego) coraz bardziej na prawo. W tym okresie Teleki sam przyczynił się do uchwalenia antysemickiego prawa. Za jego rządów wprowadzono drugą ustawę antyżydowską, a przygotowano – trzecią, która ograniczyła liczbę Żydów w niektórych grupach zawodowych oraz zakazała małżeństw, a nawet stosunków płciowych, między Żydami a obywatelami innych narodowości.

Równolegle gabinet Telekiego wprowadzał ustawy socjalne. Rozszerzył uprawnienia emerytalne, rozpoczął szeroko zakrojony projekt budowy domów i wyszedł z inicjatywą nowej reformy rolnej. Tymczasem nasilała się presja III Rzeszy na węgierską elitę polityczną, której znaczna część i tak opowiadała się za Niemcami. Premier Teleki uparcie obstawał przy tym, aby Węgry nie przystępowały do działań wojennych. Jednak na przełomie marca i kwietnia 1941 r., gdy Niemcy szykowały się do ataku na Jugosławię, wydawało się, że Węgrzy nie będą już w stanie opierać się niemieckim żądaniom udostępnienia ich armii swego terytorium. Sytuację komplikowało to, że kilka miesięcy wcześniej rząd Węgier zawarł ze swym południowym sąsiadem tzw. traktat o wiecznej przyjaźni.

Odium wiarołomstwa, roszczenia Niemiec, entuzjazm głowy państwa regenta Węgier Miklósa Horthyego wobec kolejnej szansy na rewizję granic oraz oczekiwania opinii publicznej całkowicie załamały psychicznie Telekiego. Zawsze był człowiekiem pełnym rozterek, wątpiącym we własne możliwości. Od 1922 r., gdy usunięto mu jedną nerkę, żył z dojmującą świadomością choroby. Wiadomo o co najmniej jednej jego próbie samobójczej, jeszcze z 1921 r. Tym razem jednak zamach na własne życie się powiódł – w nocy z 2 na 3 kwietnia 1941 r. strzelił sobie w głowę w rezydencji premiera w pałacu Sándorów na Wzgórzu Zamkowym w Budapeszcie. Jakkolwiek w XIX i XX w. było wielu premierów i polityków węgierskich, których spotkał tragiczny los – zostali straceni, a niektórzy popełnili samobójstwo – to Teleki był jedynym, który zadał sobie śmierć w jednym ze zwrotnych momentów historii Węgier i w czasie sprawowania urzędu.

Pogrzebowi, który odbył się 7 kwietnia, towarzyszyła ogólnonarodowa żałoba. Raz uroczystość przerwał alarm lotniczy, ponieważ poprzedniego dnia rozpoczęły się działania wojenne. Węgry w końcu wzięły udział w ataku na Jugosławię, a wojsko zajęło obszary należące wcześniej do państwa węgierskiego. Wielka Brytania ze względu na ofiarę poniesioną przez Telekiego nie wypowiedziała Węgrom wojny, ale zerwała z nimi stosunki dyplomatyczne. Postać Pála Telekiego jest do dziś obecna w pamięci Węgrów, a jego działalność i idee są przedmiotem ożywionych sporów.

Tłum. Szymon Brzeziński

Autor tekstu opublikował ostatnio biografię Pála Telekiego nakładem Instytutu Pamięci Narodowej – patrz str. 86

eprasa.pl bb51fa83aa



Żołnierze uzbrojeni w karabiny Mannlicher M95, 1915 r.

WĘGRZY POLAKOM 1918–1921

WĘGIERSKA POMOC WOJSKOWA W OKRESIE WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ

STO LAT TEMU ARMIE POLSKA I SOWIECKA STOCZYŁY POD WARSZAWĄ DECYDUJĄCĄ BITWĘ W WOJNIE, KTÓRA OFICJALNIE NIE ZOSTAŁA WYPOWIEDZIANA. STAWKĄ STARCIA BYŁO TO, CZY POLACY ZDOŁAJĄ OBRONIĆ NIEPODLEGŁOŚĆ ODZYSKANĄ W 1918 r. STAWKĄ BYŁ TEŻ PRZYSZŁY LOS CYWILIZACJI EUROPEJSKIEJ

FOT. FORTEPAN / TERNYIK ANDRÁS

eprasa.pl bb51fa83aa



ENDRE LÁSZLÓ VARGA

Dla Węgier zwycięstwo bolszewików oznaczałoby powrót komunistycznej Republiki Rad z 1919 r., nową falę terroru i cierpień. Od wiosny 1920 r. zdawał sobie z tego sprawę rząd Sándora Simonyiego-Semadama, a następnie – gabinet Pála Telekiego. Dlatego przywódcy Węgier podjęli działania na miarę ówczesnych możliwości kraju. Pomoc ta trwała aż do zawarcia pokoju ryskiego.

Niepodległa Polska od początku była zmuszona zbrojnie określić i obronić swoje granice. Dysponowała zaprawionymi w walkach żołnierzami i oficerami z trzech zaborczych armii, a także zróżnicowanym uzbrojeniem. Jednak przemysł wojskowy, jaki odziedziczyła po zaborcach, nie nadążał z zaspokojeniem potrzeb. Nie udawało się to nawet w przypadku amunicji produkcji krajowej.

Broń za węgiel

Z tego powodu już w grudniu 1918 r. Albert Nyáry, prezes Klubu Węgiersko-Polskiego w Budapeszcie, oraz sekretarz tej organizacji Ferdinánd Leó Miklóssi zaproponowali, żeby wspomóc Polaków dostawami amunicji węgierskiej. Zwrócili się do premiera – pełniącego wtedy zarazem obowiązki prezydenta – Mihálya Károlyiego, który poparł tę inicjatywę. W tym celu nawiązali kontakty z polskimi oficerami, którzy służyli w byłej armii Austro-Węgier. Pod koniec roku udało się dostarczyć do Polski transport amunicji z magazynów wojskowych w Koszycach. Nie znamy jednak jego dokładnej wielkości. Kilka dni później miasto zostało zajęte przez armię czechosłowacką i odłączone od Węgier.

W styczniu 1919 r. do Budapesztu przybyła polska komisja rządowa, której przewodniczył podpułkownik artylerii Ludwik Monné. Rząd upoważnił ją do zakupu 10 tys. karabinów oraz amunicji. Ponadto strona węgierska dostarczyła Polakom 20 mln naboi dla piechoty i 20 tys. szt. amunicji artyleryjskiej, a także kuchnie i piece polowe. Pierwszy transport z Budapesztu dotarł pod eskortą francuską do Krakowa trasą przez Miszkolc, Koszyce, Preszów, Muszynę i Tarnów. W drodze powrotnej, na mocy umowy dwustronnej z 4 marca, pociąg zawiózł na Węgry doskonałej jakości węgiel kamienny z Sosnowca oraz ropę naftową z dawnej Galicji Wschodniej. Później rząd Czechosłowacji nie zgodził się już na przejazdy kolejnych ładunków tym szlakiem.

Jeden wagon amunicji wymieniano na dziewięciokrotnie więcej węgla. W 1919 r. w sumie na Węgry wysłano z Polski 3 tys. wagonów, co odpowiadało przysłanym w zamian 333 wagonom wyposażenia wojskowego.

W tym okresie Budapeszt wydatnie dopomógł Polakom także w inny sposób. Niemiecka armia feldmarszałka Augusta von Mackensena (ok. 200 tys. ludzi) wyruszyła z Rumunii drogą przez Węgry z powrotem do ojczyzny. W myśl postanowień układu o zawieszeniu broni, zawartego w Belgradzie 13 listopada 1918 r., rząd Węgier był zobowiązany rozbroić te siły niemieckie, a żołnierzy internować. W ówczesnej sytuacji wypełnienie tego drugiego obowiązku miałoby dla kraju katastrofalne skutki. Dlatego węgierski minister obrony Albert Bartha potajemnie pomógł wyjechać oddziałom niemieckim, a cały plan w dużej części zakończył się powodzeniem. Z uzbrojenia odebranego armii Mackensena Polacy otrzymali ponad 25 tys. karabinów Mannlichera wraz z kilkoma milionami sztuk amunicji dla piechoty, poza tym bagnety, hełmy stalowe, telefony i kable, a także armaty polowe z amunicją.



Manfréd Weiss

FOT. ARCHIWUM

Lewicowe dywersje

Cały ów sprzęt – wraz z kolejnym transportem sprzętu wojskowego z fabryki Manfréda Weissa na dunajskiej wyspie Czepel – wyruszył w drogę do Polski w ostatniej chwili, bo 19 marca 1919 r., dwa dni przed proklamowaniem na Węgrzech komunistycznej Republiki Rad. Następne transporty zostały przez nowe władze natychmiast wstrzymane z powodów ideologicznych.

Dyktatura komunistyczna na Węgrzech upadła w sierpniu 1919 r. Wojska rumuńskie weszły do Budapesztu, a okupacji towarzyszyły rabunki i konfiskaty. Gdy Rumuni wycofali się w połowie listopada, zabrali również całe wyposażenie zakładu Manfréda Weissa, tak więc uruchomiono go ponownie dopiero w marcu 1920 r. Wkrótce znów wytwarzano tam broń dla Polski. Polacy zapewniali dostawy węgla potrzebnego do produkcji. Polskiego węgla używały też koleje austriackie, aby przewieźć przez Węgry do Warszawy wyposażenie dla wojska, np. 42 mln szt. amunicji dla piechoty.

Na początku maja 1920 r., gdy wojsko polskie zajęło Kijów, rząd w Budapeszcie przygotował plan tajnego polsko-węgierskiego sojuszu politycznego i militarnego. Zgodnie z nim armie obu krajów miały współdziałać w walce z bolszewikami, a w razie potrzeby Węgrzy udzieliliby Polakom pomocy wojskowej. Projekt dotarł do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, ministra spraw zagranicznych Eustachego Sapiehy, wiceministra (a wkrótce potem ministra) spraw wojskowych Kazimierza Sosnkowskiego i szefa Sztabu Generalnego Tadeusza Rozwadowskiego, który w końcu XIX w. wziął ślub w stolicy Węgier. Do zawarcia porozumienia ostatecznie nie doszło, lecz nie zmniejszyło to gotowości Budapesztu do udzielenia pomocy Polsce. Władze Węgier żywiły w tym czasie nadzieję, że zdecydowane przeciwstawienie się Sowietom może się przyczynić do korzystnej rewizji granic dopiero co wyznaczonych traktatem z Trianon. Okazało się to jednak złudzeniem.

Wojsko Polskie, wycofując się spod Kijowa, poniosło znaczne straty zarówno w uzbrojeniu, jak i w amunicji. Niemal w tym samym czasie w wyniku propagandy bolszewickiej i nacisku lewicowych partii w Europie Austria, Włochy, Niemcy i Czechosłowacja »

eprasa.pl bb51fa83aa

» zamknęły granice przed tranzytem sprzętu wojskowego. Międzynarodówka Socjalistyczna ogłosiła całkowity bojkot transportów do Polski. W stosunku do Węgier tak samo postąpiła Międzynarodowa Federacja Związków Zawodowych z siedzibą w Amsterdamie.

Oddali własne zapasy

Mimo to w ciągu następnych dwóch i pół miesiąca – od 10 czerwca do 25 sierpnia – polskie władze mogły liczyć przede wszystkim na Węgrów. Budapeszt bezzwłocznie skierował do Polski przez Rumunię transport wyposażenia wojskowego, wysłany z Francji jeszcze 28 czerwca. Co więcej, umożliwił Polakom wojskowy nadzór nad ładunkami również na terytorium Węgier. Odprawy celnej dokonano z dużym wyprzedzeniem, aby na granicy węgiersko-rumuńskiej wystarczyło jedynie zmienić lokomotywę – tym sposobem skład mógł jechać dalej bez straty czasu. Jednocześnie Polacy wysyłali na Węgry węgiel do produkcji amunicji na Czepelu oraz dla węgierskich lokomotyw, które prowadziły pociągi do granicy. Amunicję wywożono w polskich wagonach towarowych, których 300 szt. niewiele wcześniej wyprodukowały pospiesznie dla Warszawy zakłady Ganz Danubius w Budapeszcie zarówno w ofercie otwartej, jak i zamkniętej.

Na prośbę Polaków minister obrony Károly Soós udostępnił im cały ówczesny zapas amunicji armii węgierskiej – 890 tys. nabojów. Równocześnie nakazał, aby fabryka Weissa w ciągu następnych dwóch tygodni produkowała amunicję wyłącznie na potrzeby Polski. Równało się to 3 mln sztuk. Gdy uwzględnić również tę liczbę, to – jak wynika z zachowanych wykazów dotyczących produkcji – po ponownym uruchomieniu fabryki pierwszą partię amunicji dla Polski wytworzono od 31 maja do 27 lipca. W ciągu 48 dni oznaczało to 250 tys. nabojów dziennie, a łącznie – 12 mln.

Węgierska amunicja i krew

Latem 1920 r. Wojsko Polskie nie zdołało zatrzymać sowieckiej kontrofensywy, stale się wycofywało. 10 lipca polskie władze zwróciły się do rządu Węgier z prośbą o wysłanie armii konnej w sile 20–30 tys. żołnierzy. Rygory traktatu pokojowego sprawiały, że Budapeszt mógł


Emánuel Korompay

FOT. ARCHIWUM

przysłać o wiele mniej wojska, a i to jedynie za zgodą państw Ententy. Rząd węgierski poprosił polską dyplomację o mediację w tej sprawie, co przyniosło skutek. Po uzyskaniu pozwolenia Węgry potajemnie zorganizowały i wyposażyły armię piechoty w liczbie 80 tys. ludzi. Wojsko to miało przejść przez Czechosłowację. 1 sierpnia zarządzono nawet gotowość do wymarszu. Do akcji jednak nie doszło z powodu odmowy ze strony władz w Pradze, jakiej udzieliły ponad tydzień później.

Dostępne źródła archiwalne zaświadczają, że dwa składy złożone łącznie z 80 wagonów, które wyruszyły z Czepelu 27 lipca 1920 r., wiozły 21–22 mln nabojów karabinowych. Transport ten przejechał przez Rumunię i 12 sierpnia dotarł do Skierniewic. Zawartość po rozładowaniu natychmiast skierowano na front. Tym sposobem Węgry przyczyniły się do polskiego zwycięstwa.

O znaczeniu tej pomocy dobitnie świadczą fakty, jak duże braki w amunicji miało w tym czasie Wojsko Polskie. Na przełomie lipca i sierpnia na jeden karabin przypadało średnio siedem nabojów, a żołnierzy, którzy niepotrzebnie je zużywali, karano. Według protokołów posiedzeń Rady Obrony Państwa bez dodatkowego zaopatrzenia polskie zapasy amunicji skończyłyby się najpóźniej 14 sierpnia.

Pod polskimi sztandarami walczyło przeciw bolszewikom wielu żołnierzy węgierskich. Był między nimi Emánuel Korompay – później jedna z dwóch węgierskich ofiar mordu katyńskiego, dokonanego przez Sowietów na tysiącach polskich oficerów wiosną 1940 r. Po zwycięstwie pod Warszawą marszałek Piłsudski listownie podziękował regentowi Węgier Miklósowi Horthyemu za okazaną pomoc, a w Sejmie przypomniał o niej również premier Wincenty Witos. Szef Sztabu Generalnego Tadeusz Rozwadowski stwierdził, że wszyscy zostawili Polskę samą sobie – poza jedynymi Węgrami, czego Polacy nigdy im nie zapomną i co odwzajemnią przy nadarzającej się okazji.

100 mln nabojów

Po Bitwie Warszawskiej rząd Węgier kontynuował produkcję i dostawy amunicji, przesyłając 200 wagonów ładunku. Zobowiązał się też przekazać dalej do Polski francuski transport 400 wagonów wyposażenia wojskowego. Prymas Węgier, arcybiskup Ostrzyhomia János Csernoch, wspierał organizowanie dostaw pszenicy, którą podjął się dostarczyć Węgierski Czerwony Krzyż. Wojsko Polskie zaopatrywano również w żarówki, maszyny i kotły do wytwarzania amunicji. Rozpoczęto także rozmowy o produkcji lekarstw i motorówek wojskowych.

Transporty z Węgier trwały aż do końca wojny polsko-bolszewickiej, a nawet do czerwca 1921 r. W sumie w latach 1918–1921 Węgry przysłały do Polski ok. 100 mln gotowych nabojów, pochodzących z własnych rezerw lub produkowanych na bieżąco, wiele milionów nabojów w częściach, a także znaczną ilość amunicji artyleryjskiej różnego kalibru, 20 tys. karabinów Mausera i Mannlichera własnej produkcji, a ponadto kuchnie polowe (440 szt.), piekarnie obozowe (80 szt.), 40 mln zapalników do broni piechoty, 600 tys. magazynków, miliony części uzbrojenia oraz wiele innego sprzętu i wyposażenia wojskowego.

W 2011 r. odsłonięto w Warszawie dwujęzyczną tablicę pamiątkową „W hołdzie narodowi węgierskiemu, który okazał Rzeczypospolitej Polskiej przyjaźń i pomoc w czasie wojny polsko-bolszewickiej", upamiętniając w ten sposób jeden z najdonioślejszych rozdziałów wspólnej historii naszych narodów. Wkrótce potem podobne tablice umieszczono także na Czepelu i w Skierniewicach.

Tłum. Szymon Brzeziński

eprasa.pl bb51fa83aa

1949 Polak w gronie najwybitniejszych sowieckich komunistów



PAWEŁ SKIBIŃSKI

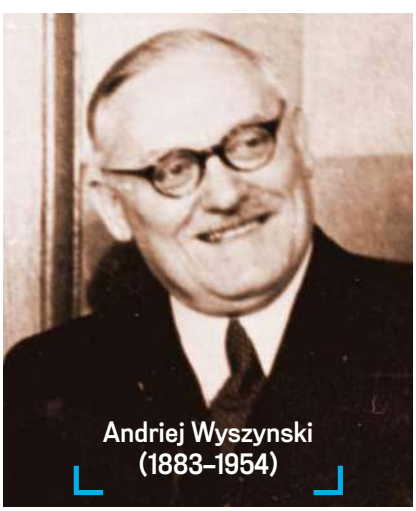
W styczniu 1949 r. nastąpiła zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych ZSRS – Wiaczesława Mołotowa zastąpił w tej roli Andriej Wyszynski.

Każdy historyk doskonale kojarzy osobę Wyszynskiego z procesów moskiewskich – pokazowych spektakli sądowych z okresu „wielkiej czystki", które stały się jednym z głównych elementów propagandy stalinowskiego terroru. Wyszynski pełnił w nich funkcję głównego oskarżyciela i twarzy sowieckiego „wymiaru sprawiedliwości". Jednak jego zasługi dla umacniania systemu sowieckiego były o wiele większe i w pełni zasłużył on na sześciokrotne odznaczenie orderem Lenina oraz pochówek na cmentarzu przy ścianie Kremla na placu Czerwonym w Moskwie, w miejscu spoczynku najwybitniejszych sowieckich komunistów.

Urodzony w 1883 r. Wyszyński był z pochodzenia Polakiem. Jego ojciec – January Wyszyński – był aptekarzem w Baku. Wyszynski już w młodości związał się z rosyjskimi socjaldemokratami i za działalność rewolucyjną był wielokrotnie aresztowany przez ochranę, ale w więzieniu przebywał tylko raz. Odsiedział roczny wyrok w Baku w 1908 r., gdzie znalazł się m.in. w jednej więziennej celi z Józefem Stalinem. Prawdopodobnie ten epizod okazał się najbardziej istotny dla jego dalszego życia.

Z bolszewickiego punktu widzenia życiorys Wyszynskiego był daleki od ideału. Po pierwsze, od 1903 do 1920 r. był członkiem mieńszewickiej części partii socjaldemokratycznej i dopiero późno wstąpił do WKP(b), z powodów czysto koniunkturalnych. Po drugie – jak sugerują niektórzy jego biografowie – prawdopodobnie był on w młodości agentem ochrany, który odpowiadał w okresie rewolucji 1905 r. za aresztowania i wyroki wśród bolszewików na Ukrainie. Po trzecie wreszcie, w 1917 r. – już jako wykształcony prawnik i urzędnik prokuratury po rewolucji lutowej – podpisał on rozkaz aresztowania przez władze republikańskie Włodzimierza Lenina jako niemieckiego szpiega, co zakończyło się dla wodza światowej rewolucji kilkumiesięcznym więzieniem.

Te poważne skazy na życiorysie nie przeszkodziły jednak Wyszynskiemu zrobić błyskawicznej kariery w systemie sowieckim. Prawdopodobnie nie bez znaczenia pozostawała jego więzienna znajomość ze Stalinem. W 1925 r. Wyszynski został rektorem Uniwersytetu Moskiewskiego, pracując jednocześnie w sowieckiej prokuraturze. W 1928 r. debiutował



Andriej Wyszynski (1883–1954)

jako oskarżyciel w wielkim procesie pokazowym – oskarżono wówczas i skazano ponad 50 inżynierów górniczych za rzekome sabotaże w kopalniach Donbasu.

Wyszyński wytrwale piął się na sam szczyt sowieckiej prokuratury – w 1931 r. objął stanowisko naczelnego prokuratora rosyjskiej republiki sowieckiej, a cztery lata później został naczelnym prokuratorem ZSRS. W tym charakterze wystąpił jako główny oskarżyciel w trzech wielkich procesach moskiewskich. Osądzono w nich m.in. Zinowiewa i Kamieniewa, zwolenników Trockiego z Karolem Radkiem na czele, wreszcie Rykowa i byłego szefa GPU – Jagodę.

Poza tym Wyszynski wchodził w skład komisji przygotowujących pozasądowe procedury kierowania ofiar do więzień i łagrów oraz na karę śmierci. M.in. przygotował akt oskarżenia dla marszałka Michaiła Tuchaczewskiego.

Wiosną 1939 r. Andriej Wyszynski decyzją Stalina został odsunięty z prokuratury i przesunięty do sowieckiej dyplomacji, gdzie zrobił porównywalną karierę, która jednak jest mniej znana. Trudno powiedzieć, że został zdegradowany – otrzymał bowiem funkcję wicepremiera – wiceprzewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, a jednocześnie od 1940 r. zastępcy komisarza spraw zagranicznych ZSRS. W tym charakterze Wyszynski w 1940 r. wcielał Łotwę do Związku Sowieckiego. Następnie brał udział we wszystkich głównych przedsięwzięciach sowieckiej dyplomacji okresu II wojny światowej, m.in. konferencjach jałtańskiej i poczdamskiej. W międzyczasie organizował władze komunistyczne zależne od Moskwy w Rumunii i Bułgarii. Został też przewodniczącym sowieckiej delegacji w ramach międzynarodowego trybunału sądzącego zbrodniarzy hitlerowskich w Norymberdze. W ten sposób jeden zbrodniarz wydawał wyroki na innych totalitarnych zbrodniarzy.

Wreszcie w 1949 r. Wyszynski został szefem sowieckiej dyplomacji. W czasie sprawowania przezeń tej funkcji m.in. odbyła się wojna koreańska, która postawiła cały świat na granicy konfliktu nuklearnego.

Funkcję ministra spraw zagranicznych ZSRS Wyszynski sprawował aż do śmierci swojego więziennego kolegi – Stalina. W 1953 r. otrzymał dymisję i został wysłany do Nowego Jorku jako przedstawiciel ZSRS przy ONZ. Tam zmarł na atak serca w 1954 r.

Andriej Wyszynski, podobnie jak dwaj pierwsi szefowie sowieckiej policji politycznej – Feliks Dzierżyński oraz Wacław Mienżyński – należą do tych Polaków, którzy szczególnie się zasłużyli, jeśli chodzi o budowę komunistycznego imperium. Trudno być dumnym z ich dokonań. Jednak zaznaczyć należy, że nigdy nie identyfikowali się z polskością, raczej uczestnicząc w patologicznym świecie rosyjskiej rewolucji.

FOT. NAC

eprasa.pl bb51fa83aa

MIESZCZANIN SZLACHCICEM

W REALIACH RZECZYPOSPOLITEJ



HENRYK LITWIN

WYDAWNICZY, PRAWNICZY, PUBLICYSTYCZNY DOROBEK JANA JANUSZOWSKIEGO DAJE DOŚĆ ARGUMENTÓW, BY WRACAĆ PAMIĘCIĄ DO TEJ POSTACI Z PRZEŁOMU XVI I XVII w.



optasa.pl bb51fa83aa

Niezawodny przewodnik po staropolskim panteonie nosicieli wszelakich cnót i umiejętności – Szymon Starowolski – tak pisał w swoim „Setniku pisarzów polskich" o bohaterze niniejszego szkicu Janie Januszowskim: „Własnym kosztem, powodowany jedynie umiłowaniem dobra społecznego, wydał niezliczone niemal książki pożyteczne dla Kościoła i Ojczyzny". W istocie szczególne zasługi Januszowskiego związane były z jego działalnością właściciela oficyny wydawniczej, największej i najważniejszej drukarni Rzeczypospolitej przełomu XVI i XVII w. Jednak jego dorobek obejmował więcej dziedzin i trudno się dziś zdecydować, w której z nich można przypisać mu najdonioślejsze dokonania.

Młodego mieszczanina magnackie drogi kariery

Fundamentem życiowej kariery Januszowskiego, syna pochodzącego ze Strykowa (znanego dziś ze skrzyżowania krajowych autostrad pod Łodzią) mieszczanina krakowskiego, była drukarnia założona w 1517 r. przez Hieronima Wietora, czyli Hieronymusa Büttnera, śląskiego Niemca, wiedeńczyka z wychowania i krakowianina z wyboru. Dom wydawniczy Wietora był swoistym centrum polskiego renesansu, a Januszowski odziedziczył go jako jedyny syn jedynej córki Wietora. Kiedy przejmował schedę w 1577 r., używał jeszcze nazwiska Jan Łazarzowic (Lazarovius), a i słynny dom wydawniczy znany był pod nazwą nawiązującą do imienia jego ojca – Drukarnia Łazarzowa. Choć mogłoby się wydawać, że jego strojem powinna być w tym czasie jeszcze mieszczańska kapota, a nie szlachecki kontusz, to jednak koleje życia młodego dziedzica drukarskiego rodu przypominają raczej biogramy magnackiej młodzieży epoki późnego polskiego renesansu niż życiorysy plebejuszy. Jako nastolatek studiował w Akademii Krakowskiej, skąd trafił na dwór Maksymiliana II Habsburga w Wiedniu. Edukację dworską kontynuował w otoczeniu Mikołaja Firleja i Zygmunta Augusta, służąc jako „pisarz pokojowy" monarchy. W latach 70. XVI w. trafił z kolei do Padwy, by doskonalić swe wykształcenie na tamtejszym uniwersytecie. Jego pozycja w licznym środowisku polskich studentów tej uczelni, skupiającym w znacznej mierze przedstawicieli „wielkich rodów" Rzeczypospolitej, musiała być znacząca, skoro w 1575 r. został „konsyliarzem nacji polskiej". Do kraju wrócił w pierwszych dniach panowania Stefana Batorego i zapewne dzięki poparciu innego „Padewczyka" – Jana Zamoyskiego – trafił do kancelarii monarchy jako sekretarz królewski. Od 1577 r., wciąż służąc królowi, zaczął jednocześnie zarządzać odziedziczoną po ojcu Drukarnią Łazarzową. W 1578 r. uzyskał królewski przywilej na druk książek, w którym został wymieniony jako „nobilis Johannes Lasaridis Januszowski", choć formalną nobilitacją obdarzył go dopiero Zygmunt III w 1588 r. Tenże monarcha nadał w 1590 r. domowi wydawniczemu Lazarowiusa „arcyprzywilej" nadający mu miano „architypografii królewskiej i kościelnej".

W 1594 r. UJRZAŁA ŚWIATŁO DZIENNE PIERWSZA KSIĄŻKA STWORZONA ZA POMOCĄ NOWYCH, OPRACOWANYCH PRZEZ NIEGO CZCIONEK POLSKICH

Drukarz intelektualista, reformator, patriota

Działalność wydawnicza Drukarni Łazarzowej była iście imponująca. W ciągu dwóch dziesięcioleci spinających XVI i XVII w. Januszowski był drukarzem najważniejszych osiągnięć literackich i naukowych tej epoki. Wydał pierwsze dzieła zebrane Jana Kochanowskiego, oficjalną edycję Biblii w polskim tłumaczeniu Jakuba Wujka, utwory poetyckie Szymona Szymonowica, dzieła historyczne Reinholda Heidensteina, prace medyczne Wojciecha Oczki, pisma teologiczne i publicystyczne Piotra Skargi, prace prawnicze Stanisława Sarnickiego, publicystykę Stanisława Orzechowskiego itd., itd. Łazarzowa Drukarnia stała się w czasie zarządzania przez Januszowskiego soczewką skupiającą olbrzymią część intelektualnego życia Rzeczypospolitej. Jednak – jak każdy wydawca – wdawał się też Lazarovius w przedsięwzięcia czysto komercyjne – choć przy tym nowatorskie – to on zaczął drukować pierwsze komedie sowizdrzalskie na popularny rynek, był też autorem i edytorem pierwszego „przewodnika turystycznego" po Krakowie.

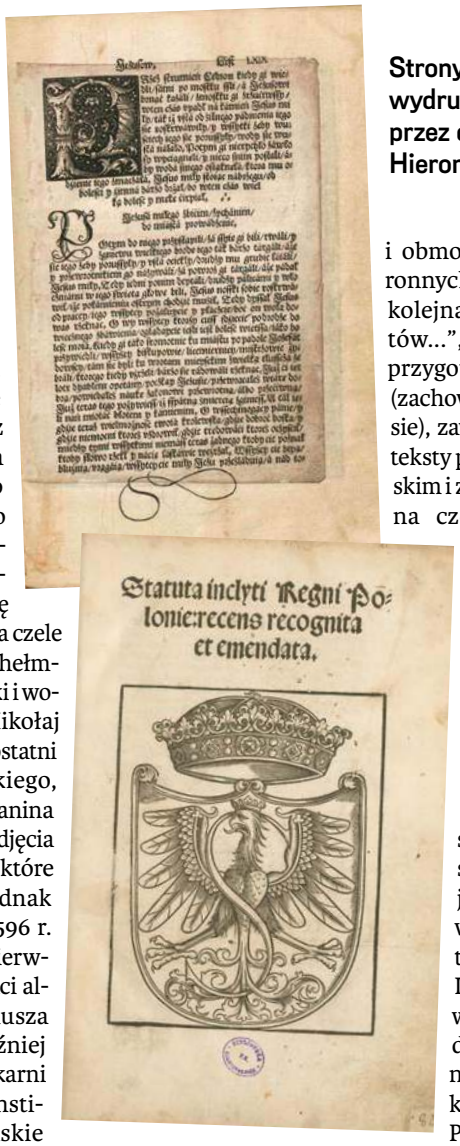
Januszowski zajmował się nie tylko drukiem, lecz i owego druku reformowaniem. W 1594 r. ujrzała światło dzienne pierwsza książka stworzona za pomocą nowych, opracowanych przez niego czcionek polskich. Jak sam napisał w jej wstępie, zamierzał przez to „ojczyźnie swej darować rzecz potrzebną i ozdobną; krój polski, własny, nie niemiecki". Trzeba bowiem pamiętać, że do tego momentu polskie drukarnie posługiwały się czcionkami niemieckimi. Ten patriotyczny gest – niewątpliwie kosztowny, bo wymagał wymiany fontów w posiadanych prasach drukarskich – był przy tym związany z edycją książki poświęconej polskiej ortografii. „Nowy karakter polski" zawierał trzy poświęcone temu tematowi traktaty autorstwa Jana Kochanowskiego, Łukasza Górnickiego i samego Januszowskiego. Proponowana w nich kodyfikacja ortografii polskiej regulowała użycie wszystkich znanych dziś liter ze znakami diakrytycznymi, a także dwuznaków (sz, cz, dz itd.). Wprowadzała jednak także sporą liczbę przypadków dublowania liter w postaci akcentowanej (akcenty nad samogłoskami i niektórymi spółgłoskami), co – jak wiadomo – nie przyjęło się i prawdopodobnie było przyczyną odrzucenia przez praktykę językową systemu Januszowskiego. Czcionka polska Drukarni Łazarzowej była natomiast szeroko używana, a jej znakiem charakterystycznym, na który często natrafiają czytelnicy starodruków polskich z XVII w., była litera „ſ" (czyli „s").

Starania o kodyfikację praw publicznych

Książka o polskiej ortografii stanowi dobry przykład wielowymiarowej działalności Łazarzowica. Występuje on tu jako wydawca, jeden z autorów i jednocześnie moderator całego tekstu, dziś powiedzielibyśmy redaktor naukowy. Jeśli do tych rodzajów aktywności dodamy przekłady, prace kodyfikatorskie, rozprawy teologiczne i publicystykę polityczną (czy – jak lubią to określać specjaliści – teksty >>

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl bb51fa83aa



Strony z książek wydrukowanych przez drukarnię Hieronima Wietora

» parenetyczne), to będziemy mieli przybliżony zakres aktywności intelektualnych Januszowskiego. Szczególnie ważne wydają się dokonania architypografa królewskiego w dziedzinie kodyfikacji polskiego prawa publicznego. Były one związane z zainicjowaniem przez sejm 1589 r. prac „dla spisania doskonałego i gruntownego, jednego statutu językiem polskim". Powołano wówczas specjalną deputację senatorsko-poselską, na czele której stanęli biskup chełmski Wawrzyniec Goślicki i wojewoda krakowski Mikołaj Firlej. To zapewne ten ostatni zachęcił Januszowskiego, swego dawnego dworzanina i podopiecznego, do podjęcia prac nad kodyfikacją, które Lazarovius podjął jednak na własny koszt. W 1596 r. przedstawił sejmowi pierwsze ich wyniki w postaci alfabetycznego sumariusza praw. Cztery lata później wydał we własnej drukarni „Statuta prawa i constitucie koronne łacińskie y polskie", obszerne dzieło zbierające całe prawodawstwo koronne w zakresie prawa politycznego i sądowego. Starsze akty ustawodawcze, które powstały w języku łacińskim, zostały zamieszczone wraz z tłumaczeniem na język polski. Januszowski liczył, że sejm z 1601 r. przyjmie jego korekturę jako dokument obowiązujący lub przynajmniej odniesie się formalnie do jej powstania. Jednak w marcu 1600 r. zmarł Mikołaj Firlej, główny promotor prac kodyfikacyjnych, i autorowi „Statutów..." zabrakło na sejmie politycznego poparcia. Sprawa była omawiana, podjęto fachową krytykę dzieła, ale zabrakło konkluzji. Sejm powołał kolejną deputację do spraw korektury prawa, która jednak najprawdopodobniej w ogóle nie podjęła konkretnych działań. Łazarzowic nie porzucił jednak prac nad korekturą. Przeanalizował głosy krytyczne, część z nich przyjął, z częścią polemizował w wydanej w 1602 r. broszurze „Wywód i obmowa Statutów koronnych". Pracował nad kolejną wersją „Statutów...", która została przygotowana w 1610 r. (zachowała się w rękopisie), zawierała wyłącznie teksty praw w języku polskim i została podzielona na części zawierające prawa wieczyste, czasowe i nieobowiązujące. Sejm z 1611 r., który powrócił w swych pracach do sprawy korektury prawa, nie podjął jednak dyskusji nad tekstem Januszowskiego, a po rychłej śmierci autora nikt już do niej nie powrócił. Nie znaczy to jednak, że dzieło Lazaroviusa poszło w zapomnienie. Podobnie jak wcześniejsze nieoficjalne korektury Jakuba Przyłuskiego (1553), Jana Herburta (1570), Stanisława Sarnickiego (1594) trafiło do ziemiańskich bibliotek i zajęło w nich poczesne miejsce. Szlachecki szacunek dla „praw i przywilejów naszych" był bowiem zjawiskiem realnym i w Rzeczypospolitej istniał spory popyt na kompilacje legislacyjne. Dzieło Januszowskiego przez dziesięciolecia służyło pokoleniom szlachty jako prawnicze vademecum pomocne w przygotowaniach do aktywności publicznej i sądowej.

Ku rzeczom ostatecznym

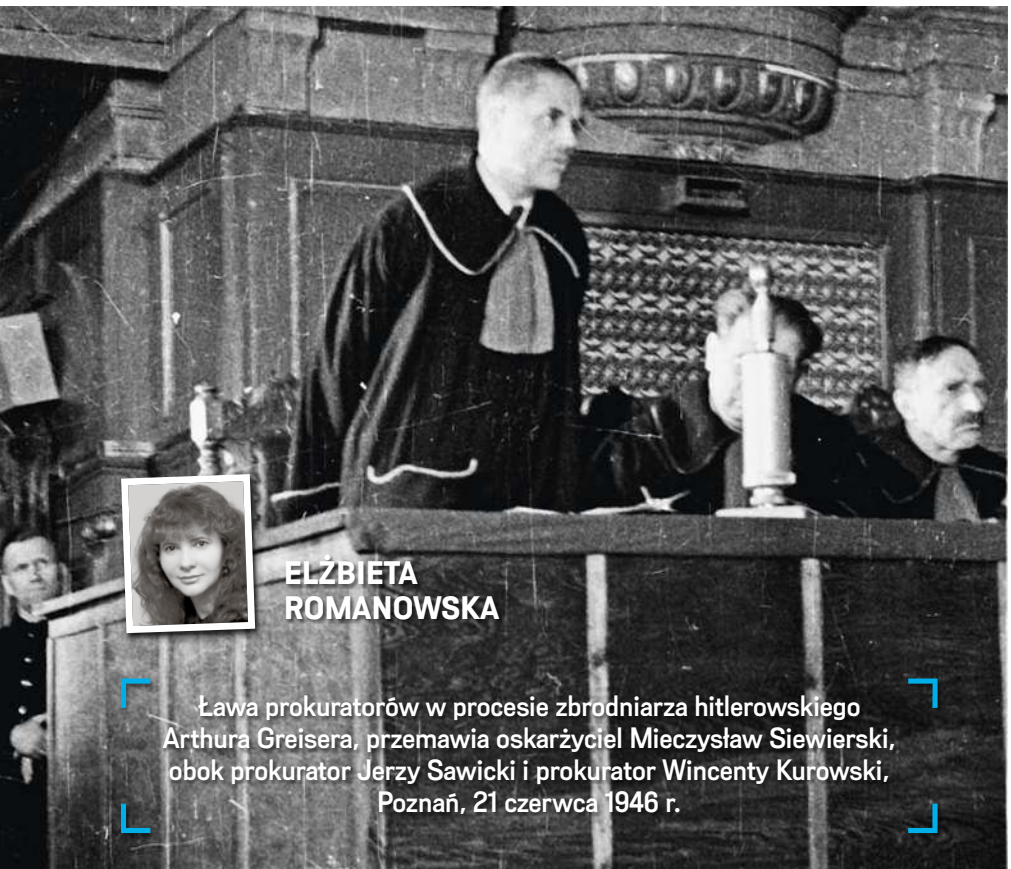
Najbardziej interesującą zagadką była osobowość tego przedstawiciela mieszczańskiej elity, który stał się szlachcicem i entuzjastą szlacheckich przywilejów. Jego prace publicystyczne nie pozwalają bowiem wątpić, iż wierzył w takie zasady jak: „Wolności koronnych król, broniąc wszystko, u stanów zjednać sobie może", a „bez rady nic czynić nie ma" i „stanu swego królewskiego przestrzegać ma". Trzeba przy tym wspomnieć, że obowiązki stanu rycerskiego wypełniał także z szablą w dłoni, kiedy w czasie trzeciego bezkrólewia walczył w oddziałach Zamoyskiego z inwazją na Kraków Maksymiliana Habsburga i jego zwolenników.

Dodajemy jeszcze, że choć kształtował się w wolnomyślicielskiej atmosferze późnorenesansowego Krakowa, to pozostał wierny katolicyzmowi i współtworzył w Rzeczypospolitej jego potrydencki wizerunek. Jego oficyna drukowała teksty teologiczne i dewocyjne, a i sam Januszowski, łącząc – jak to często robił – wysiłek tłumacza, redaktora i współautora, wydał pod swoim nazwiskiem kilka tytułów z tej dziedziny, z których największą popularność zyskała „Nauka umierania chrześcijańskiego" wydana w 1604 r. i mająca w XVII w. sześć reedycji. Ów strumień refleksji o „rzeczach ostatecznych" związany był zapewne z wielką tragedią, jaką przeżył Łazarzowic w 1601 r. W trakcie panującej w Krakowie zarazy zmarła wówczas jego żona, wszystkie cztery córki i jeden z czterech synów. Po tych wypadkach Januszowski przygotował poważną zmianę w swoim życiu. W 1603 r. oddał drukarnię w dzierżawę, a sam przyjął święcenia kapłańskie i oddał się obowiązkom duchownego. W starszej historiografii możemy się spotkać z opinią o wycofaniu się królewskiego architypografa z czynnego życia, ale nie należałoby raczej mówić o oddaniu się jeszcze większej, choć inaczej ustrukturyzowanej, aktywności. Januszowski w ostatnim dziesięcioleciu swego życia pełnił obowiązki proboszcza parafii w Solcu i archidiakona sądeckiego. Jednocześnie poświęcał się pisarstwu, i to właśnie w tym okresie powstała większość jego prac z zakresu publicystyki politycznej. Jak pamiętamy, kontynuował też w owym czasie prace nad kodyfikacją polskiego prawa publicznego.

Jan Januszowski zmarł 30 listopada 1613 r. Przez większość historyków był oceniany jako „typowy przedstawiciel schyłkowego renesansu" (Alodia Kawecka-Gryczowa), ale każda próba naszkicowania jego portretu ujawnia raczej wyraziste cechy „człowieka kontrreformacji", oczywiście pojmowanej jako ruch odnowy Kościoła. Jak sam pisał, służyć trzeba „Panu Bogu naprzód i Kościołowi jego, Ojczyźnie potym", co jednak nie oznaczało, jak widzieliśmy, że obowiązki wobec Rzeczypospolitej był skłonny traktować jako drugorzędne.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl bb51fa83aa



ELŻBIETA ROMANOWSKA

Ława prokuratorów w procesie zbrodniarza hitlerowskiego Arthura Greisera, przemawia oskarżyciel Mieczysław Siewierski, obok prokurator Jerzy Sawicki i prokurator Wincenty Kurowski, Poznań, 21 czerwca 1946 r.

PROKURATOR Z PASJĄ

MIECZYSŁAW SIEWIERSKI W 1950 r. ZOSTAŁ OSKARŻONY O PRZESTĘPSTWO, KTÓREGO NIE POPEŁNIŁ. DLACZEGO ZNALAZŁ SIĘ NA ŁAWIE OSKARŻONYCH?

Wysoki rangą urzędnik II Rzeczypospolitej, wybitny znawca prawa karnego, pierwszy prokurator Najwyższego Trybunału Narodowego, oskarżyciel publiczny w procesie Arthura Greisera, Alberta Forstera i w innych procesach niemieckich zbrodniarzy wojennych. W lutym 1953 r. został skazany w „tajnym" zbrodniczym procesie i pod fałszywymi zarzutami na karę sześciu lat więzienia.

Praca nad tworzeniem prawa była jego pasją

Mieczysław Siewierski urodził się 22 października 1900 r. Był synem urzędnika kolejowego. Zachowało się niewiele informacji z okresu jego dzieciństwa i wczesnej młodości. Wiadomo, że miał czworo rodzeństwa. Rodzicom Siewierskiego nie było lekko, pobory ledwo wystarczały na zaspokojenie podstawowych potrzeb rodziny. Mimo tych trudności zadbali o edukację syna. W czerwcu 1950 r., podczas toczącego się przeciwko niemu śledztwa, tak zeznawał: „W domu było biednie. Rodzice żadnego majątku nie posiadali. Z rodzeństwa jedynie ja uzyskałem maturę i wyższe wykształcenie – drogą wyrzeczeń rodziny". W 1909 r. rozpoczął naukę w znanym gimnazjum Mikołaja Reja w Warszawie. Po wybuchu I wojny światowej przerwał edukację i wraz z rodzicami wyjechał do Moskwy. Tam też wstąpił do polskiej szkoły filologicznej, gdzie 5 maja 1918 r. uzyskał maturę ze szczególnym wyróżnieniem. Do kraju rodzina Siewierskich wróciła w październiku 1918 r. Mieczysław podjął studia na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. 11 listopada jako ochotnik zgłosił się do Wojska Polskiego. Brał udział w rozbrajaniu Niemców w Warszawie oraz w działaniach wojennych z bolszewicką Rosją. Po zwolnieniu z wojska 17 grudnia 1920 r. kontynuował studia prawnicze. W 1923 r. uzyskał dyplom magistra prawa i tego samego roku rozpoczął aplikację sędziowską, którą ukończył dwa lata później i podjął pracę w sądownictwie. To w tym okresie ujawniły się najlepsze cechy jego charakteru: „Wyróżnia się wybitnymi zdolnościami, nadzwyczajną pracowitością, sumiennością i obowiązkowością, wysokim poziomem ogólnego wykształcenia i wysoką etyką sędziowską" – pisano w jego opiniach służbowych. Nie dziwi zatem, że otrzymywał coraz wyższe stanowiska w sądownictwie. Był m.in. wiceprokuratorem Sądu Apelacyjnego w Warszawie, kierownikiem Nadzoru Prokuratorskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości, dyrektorem Biura Personalnego, prokuratorem Sądu Najwyższego.

W dalszych latach Siewierski dał się poznać nie tylko jako zdolny urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości, lecz również jako wybitny uczony. Pierwsze jego prace naukowe powstały na seminarium doktoranckim prawa karnego pod »

FOT. PAP/J. ŻYSZKOWSKI

eprasa.pl bb51fa83aa

» kierunkiem prof. Wacława Makowskiego. Należy także pamiętać, że po I wojnie światowej na terytorium Polski obowiązywało pięć różnych systemów prawnych. Gdy Polska odzyskała niepodległość, podjęte zostały prace nad nowym, jednolitym systemem. Uchwalenie w 1932 r. Kodeksu karnego i prawa o wykroczeniach oraz głęboka nowelizacja Kodeksu postępowania karnego dały podstawę do opracowania komentarza do ww. ustaw. Wykonania tego zadania podjął się Siewierski wspólnie z prokuratorem Sądu Najwyższego Jerzym Nisensonem. Przed wojną ukazało się pięć wydań komentarzy. Prace te dały Siewierskiemu „pozycję nad miarę innych w sądownictwie oraz spotkały się z uznaniem w sferach naukowych". Znaczenie młodego prawnika rosło. Tytuł doktora praw uzyskał jednak dopiero w Polsce Ludowej, 8 maja 1948 r. na podstawie rozprawy „Struktura i drogi przebudowy procesu karnego" na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego.

Praca konspiracyjna

Wybuch II wojny światowej zastał Siewierskiego na stanowisku kierownika nadzoru Prokuratorskiego Ministerstwa Sprawiedliwości. Z zachowanych relacji rodziny oraz protokołów przesłuchań Siewierskiego wynika, że włączył się on w nurt pracy konspiracyjnej. Działalność rozpoczął od zaopiekowania się urzędnikami Ministerstwa Sprawiedliwości, „którzy po klęsce wrześniowej byli pozostawieni sami sobie". Zorganizował dla nich pomoc finansową. Ponadto uczestniczył w pracach ustawodawczych w Delegaturze Rządu, w projektowaniu aktów ustawodawczych, które miały się ukazać po wyzwoleniu, a mianowicie opracowaniu dekretu o likwidacji mienia poniemieckiego i opuszczonego, dekretu o odpowiedzialności niemieckich zbrodniarzy wojennych oraz opracowaniu nowelizacji Kodeksu postępowania karnego i Kodeksu karnego. Powierzono mu również przygotowanie obsady personalnej na wypadek wznowienia działalności sądów po wojnie oraz opinii o żyjących sędziach i prokuratorach znanych mu osobiście lub ze sprawozdań przedwojennych „pod kątem ewentualnej przydatności na stanowiska kierownicze do sądów przeciw hitlerowcom". Za pracę w Delegaturze Rządu nie pobierał wynagrodzenia. Należy również odnotować, że w czasie okupacji mieszkanie Siewierskich było kwaterą cichociemnych. Ze wspomnień córki Siewierskiego wynika, że: „Mieszkali tam z nami kolejno przeprowadzani przez »ciotkę Antosię« następujący polscy żołnierze z armii działającej w Anglii, zrzuceni na spadochronach na teren Polski. Byli to: Ludwik Witkowski (ps. Kosa), Franciszek Pukacki (Gzyms), Jan Rostek (Dan) zamordowany przez Niemców, Antoni Chmielowski (Wołk) w 1944 r. wywieziony na Kołymę. A któregoś dnia przyszedł do nas Leopold Okulicki, komendant Sił Zbrojnych AK".

Oskarżony Siewierski

W 1945 r. Siewierski zgłosił się do Grupy Operacyjnej Ministerstwa Sprawiedliwości w Krakowie. Otrzymał skierowanie do pracy na stanowisko pierwszego prokuratora Sądu Najwyższego RP w Łodzi. Następnie postanowieniem z 22 maja 1946 r. Prezydium Krajowej Rady Narodowej powołało go na stanowisko prokuratora Najwyższego Trybunału Narodowego. Stanowiska te zajmował aż do aresztowania, tj. do 20 czerwca 1950 r.

Siewierski był oskarżycielem publicznym w procesie Arthura Greisera, Alberta Forstera i w innych procesach niemieckich zbrodniarzy wojennych. Był jednym z tych prokuratorów, którym dziś zawdzięczamy, że polskie procesy sprawców zbrodni nazistowskich spełniały warunki uczciwych postępowań, zgodnych z zasadami demokratycznego państwa prawnego. W czasie rozprawy przeciwko Forsterowi, odrzucając ideologię o zbiorowej odpowiedzialności Niemców za zbrodnie, mówił: „Moralność nie pozwala mi oskarżać kogoś za to, że urodził się Niemcem. [...] ja oskarżam go za to, że dopuścił się zbrodni". Również niemieccy prawnicy są zdania, że procesy zbrodniarzy wojennych w Polsce były uczciwe. Dieter Schenk, autor książki „Albert Forster – gdański namiestnik Hitlera. Zbrodnie hitlerowskie w Gdańsku i Prusach Zachodnich" (Gdańsk 2002), ocenił ten proces jako rzetelny.


Arthur Greiser

FOT. NAC

W 1950 r. prokurator Siewierski został aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP). Postawiono mu dwa zarzuty o „faszyzację życia państwowego" (z art. 1 dekretu z 22 stycznia 1946 r.) na stanowisku kierownika Nadzoru Prokuratorskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości w latach 1934–1936 oraz „współpracę w okresie okupacji z gestapo".

Należy pamiętać, że – na wzór prawa sowieckiego – szybkie i surowe osądzenie zbrodniarzy wojennych oraz zdrajców narodu polskiego nowa władza zapowiadała już w manifeście PKWN z 22 lipca 1944 r. Zgodnie z tą zapowiedzią i chęcią dokonania rozliczeń z „obozem londyńskim" głoszono tezę o faszyzacji życia publicznego w II Rzeczypospolitej (po roku 1926), oskarżając rząd RP o współpracę z faszystami. W dniach 18–21 czerwca 1945 r. pociągnięto do odpowiedzialności karnej w ZSRS 16 działaczy Polskiego Państwa Podziemnego z gen. Leopoldem Okulickim na czele, którego oskarżono m.in. o „przygotowanie razem z Niemcami działań wojennych przeciwko ZSRR" oraz o „mordowanie oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej". Przejawem wytyczonej przez Stalina linii postępowania było niezwykle surowe ustawodawstwo karne.

Aktem prawnym, który miał wyraźnie rozliczeniowy charakter z „obozem londyńskim", był wydany 22 stycznia 1946 r. dekret o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego. Dekret styczniowy, podobnie jak dekret sierpniowy (z 31 sierpnia 1944 r.), eliminował fundamentalną zasadę prawa karnego: lex retro non agit, kryminalizując czyny, które w okresie międzywojennym przestępstwami nie były. W celu rozciągnięcia odpowiedzialności karnej na dwudziestolecie międzywojenne wprowadzał, na zasadzie lex specialis, w stosunku do obowiązują-

eprasa.pl bb51fa83aa

cego wówczas Kodeksu karnego odrębne przepisy dotyczące przedawnienia (art. 7 ust. 2). Już samo użycie terminu „faszyzm" w stosunku do systemu politycznego panującego w II Rzeczypospolitej stawiało funkcjonariuszy przedwojennego państwa na równi z hitlerowcami. Potwierdza to, że oskarżenia z dekretu styczniowego często towarzyszyły zarzutom o kolaborację z nazistami. Chodziło o odwet na funkcjonariuszach przedwojennego państwa, zarówno na płaszczyźnie prawnej, jak i moralnej. Dowodzi tego wytoczone w powojennej Polsce postępowanie w stosunku do prokuratora Mieczysława Siewierskiego.

Siewierski osadzony został w więzieniu mokotowskim. W tym samym, w którym – w sąsiedniej celi – przebywał Albert Forster. Jako doskonały znawca prawa karnego wiedział, że wysunięte w stosunku do niego zarzuty w przypadku udowodnienia winy mogły skutkować skazaniem nawet na karę śmierci. W dniu zatrzymania złożył obszerne zeznania własne, w których opisał swoją pracę zawodową, działalność w okresie okupacji, negował zarzuty wysunięte przez organy bezpieczeństwa i apelował o pobłażliwość za popełnione błędy (tak bowiem kwalifikował stawiane mu zarzuty). Podkreślał lojalność wobec Polski Ludowej: „Od pierwszej chwili ustosunkowałem się najpozytywniej do nowej rzeczywistości politycznej narodu, a Polska Ludowa znalazła we mnie pracownika, który w miarę swych sił i możliwości dla Niej pracuje. Całkowicie doceniam dobro, jakie przyniósł społeczeństwu nowy ustrój państwowy, oraz świetne perspektywy przyszłości państwa na drodze do socjalizmu, potem w socjalizmie już zrealizowanym w oparciu o doświadczenia radzieckie".

Śledztwo w sprawie Siewierskiego prowadził Departament Śledczy MBP. W odniesieniu do zarzutu z dekretu sierpniowego (współpraca z gestapo) funkcjonariusze z MBP nie zgromadzili dostatecznych dowodów winy Siewierskiego. Przez cały okres aresztowania, ponad dwa i pół roku, prokurator pozostawał natomiast pod zarzutem popełnienia przestępstwa „faszyzacji kraju".

30 stycznia 1953 r. odbyła się rozprawa główna w Sądzie Wojewódzkim dla m.st. Warszawy. Obrońcą z urzędu był Mieczysław Maślanko, oskarżycielem stalinowski prokurator Beniamin Wajsblech. Przewodniczącym składu został Kazimierz Czajkowski, sędzia Sądu Najwyższego.

W śledztwie i na rozprawie Siewierski nie przyznał się do czynów zarzucanych mu aktem oskarżenia. Wyjaśnił, że w latach 1926–1939 zajmował wiele ważnych i odpowiedzialnych stanowisk w aparacie państwowym – aż do dyrektora Biura Personalnego w Ministerstwie Sprawiedliwości włącznie. Przyznał, że działał w zakresie rozstrzygania ważnych spraw publicznych. Jak podkreślał w zeznaniach, to wyłącznie jego zdolności przesądzały o tym, że wysuwano go na coraz wyższe stanowiska. Zaznaczył, że jako szef Nadzoru Prokuratorskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości w przedmiocie orzekania „stał na stanowisku zgodnym z orzecznictwem Sądu Najwyższego", a odnośnie do członków Komunistycznej Partii Polski nie stosował kryteriów politycznych. Wyjaśnił również, że pełniąc obowiązki dyrektora Biura Personalnego w Ministerstwie Sprawiedliwości od 20 czerwca 1936 do 15 lutego 1939 r., nie prowadził polityki osobistej, lecz politykę „zleconą przez ministra Grabowskiego". Potwierdził to świadek Zygmunt Kałapski, który 27 czerwca 1950 r. tak zeznawał: „Co do polityki personalnej ww., to nie zauważyłem, aby prowadził jakieś rasistowskie podejście do narodowości żydowskiej. Jeżeli chodzi o prokuratorów, to kierował się on zawsze na pierwszym miejscu kwalifikacjami fachowymi poborowych, nie kierował się natomiast innymi poglądami".

Co prawda Siewierski potępił przed sądem swoją pracę w prokuraturze przed wojną, potępienia tego jednak nie należy uważać za przyznanie się do winy w sensie odpowiedzialności karnej. Mimo to sąd w jego działalności dopatrzył się znamion zbrodni z art. 3 dekretu z 22 stycznia 1946 r. Prokurator wnioskował o wymierzenie oskarżonemu kary pięciu lat więzienia, obrońca natomiast o wymierzenie takiej kary, która umożliwi mu szybki powrót do pracy. Sam oskarżony w ostatnim słowie prosił o łagodny wymiar kary.

Po rozpoznaniu sprawy Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy wyrokiem z 2 lutego 1953 r. skazał Siewierskiego na karę sześciu lat więzienia. Na podstawie ustawy z 22 lutego 1947 r. o amnestii orzeczoną karę złagodził do kary trzech lat więzienia, a na poczet wymierzonej kary zaliczył areszt tymczasowy od 22 czerwca 1950 do 2 lutego 1953 r.

Zgodnie z wyrokiem sądu Siewierski miał opuścić więzienie 22 czerwca 1953 r. Jednak już 27 maja 1953 r. wszczęto wobec niego drugie śledztwo. Oskarżono go o to, że „w drugiej połowie 1949 r. na terenie Łodzi, w celu działania na szkodę Państwa Polskiego wchodził w porozumienie z Siewierską Stefanią, wysłanniczką emisariusza wywiadu imperialistycznego Czaykowskiego Andrzeja, i omawiał z nią sprawy mieszkania dla w[yżej] wymienionego, tj. o zbrodnię przewidzianą w art. 5 dekr[etu] z dn. 13 czerwca 1946 r. (tzw. mały kodeks karny)".

Warto przypomnieć, że Andrzej Czaykowski, ps. Garda, żołnierz Armii Krajowej, cichociemny, został bezpodstawnie oskarżony o szpiegostwo, a następnie skazany 30 kwietnia 1953 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę śmierci.

Jednak w 1953 r. zmarł Józef Stalin, a wkrótce też aresztowano, osądzono i skazano na śmierć szefa NKWD Ławrentija Berię. System zaczął łagodnie ewoluować. Zaczęto zwalniać i rehabilitować więźniów politycznych. W Polsce, podobnie jak w ZSRS zaczęto piętnować naruszenie „praworządności rewolucyjnej".

5 sierpnia 1953 r. Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie wnioskował o umorzenie postępowania karnego w stosunku do Siewierskiego na zasadzie ustawy z 22 listopada 1952 r. o amnestii. W uzasadnieniu napisano, iż „od popełnienia tego czynu upłynął znaczny upływ czasu, wobec czego uznać należy, że należałoby w danym wypadku orzec karę w rozmiarze nie powyżej pięciu lat pozbawienia wolności, co uzasadnia powyższy wniosek".

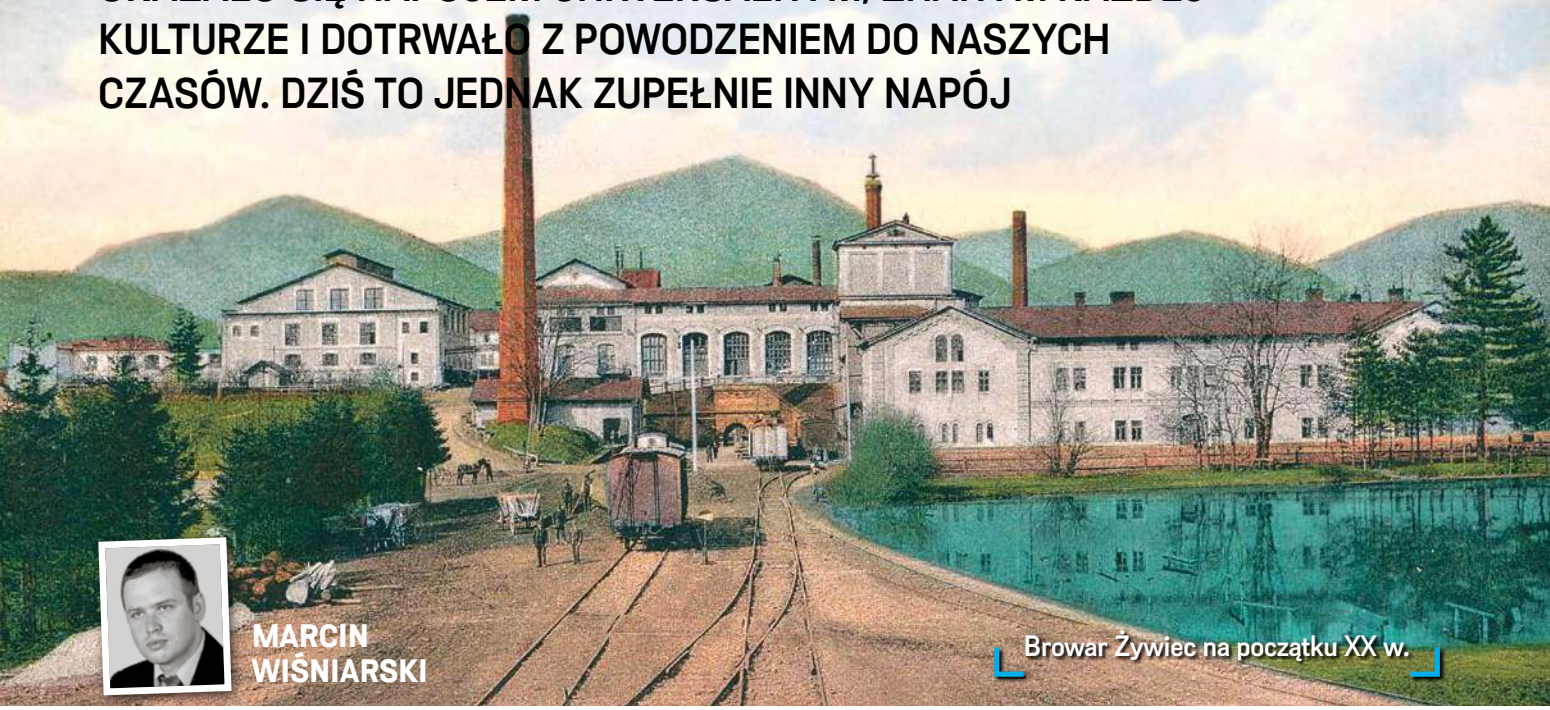
Jednak dopiero rok później, 26 listopada 1954 r., Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie w składzie: przewodniczący ppłk Józef Dziowgo i sędziowie – ppłk Zbigniew Furtak i mjr Władysław Sieracki, rozpoznał na posiedzeniu niejawnym wniosek naczelnego prokuratora wojskowego, działającego z upoważnienia Generalnego Prokuratora PRL, o umorzenie postępowania karnego z mocy ustawy z 22 listopada 1952 r. o amnestii w sprawie Siewierskiego. Postępowanie karne zostało umorzone.

W 1956 r. na fali „odwilży" Mieczysław Siewierski został uniewinniony od zarzucanych mu czynów, a więc w pełni zrehabilitowany, i mógł się domagać przywrócenia stanu prawnego w zakresie stosunków służbowych sprzed aresztowania. Mógł również realizować się zawodowo, społecznie i rodzinnie.

eprasa.pl bb51fa83aa

OPOWIEŚĆ O POLSKIM PIWIE

PIWO TOWARZYSZY LUDZKOŚCI PRZYNAJMNIEJ OD CZASÓW STAROŻYTNYCH SUMERÓW, CZYLI OK. 6 TYS. LAT P.CHR. OKAZAŁO SIĘ NAPOJEM UNIWERSALNYM, ZNANYM KAŻDEJ KULTURZE I DOTRWAŁO Z POWODZENIEM DO NASZYCH CZASÓW. DZIŚ TO JEDNAK ZUPEŁNIE INNY Nnapój



MARCIN WIŚNIARSKI

Browar Żywiec na początku XX w.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

W sumeryjskim eposie o Gilgameszu znajdujemy opis, jak to piwo i chleb spełniły funkcję kulturotwórczą, a właściwie uczłowieczyły. Oto dziki człowiek Enkidu „na położony sobie chleb w pomieszaniu zerka, łypie Enkidu. Nie umiał Enkidu spożywać chleba, picia chmielu nie był uczony. Umiał ssać tylko mleko zwierzęce. Guzdrał się niezdarnie, oczy wytrzeszczał, jak zabrać się do tego, nie wiedział, jak jeść, jak pić napitek chmielony". Gdy został jednak tego nauczony, „spożył więc Enkidu chleba do syta, chmielu wychylił siedem dzbanów". I zaraz „mężem stał się z wyglądu, ...starł z siebie sierść kudłatą, olejkiem ciało namaścił, do ludzi stał się podobnym".

Piwo składano też bóstwom w ofierze. Szczególnie wiązano z tym napojem córkę boga An, boginię Baba, o której pisano, iż jest „wielką lekarką czarnogłowych, która utrzymuje ludzi przy życiu, która stworzyła ludzi... która wino i piwo przygotowuje". Inną wielbicielką piwa w sumeryjskim panteonie była bogini miłości Inana.

Było też piwo oczywiście przedmiotem handlu. Na jednej z glinianych tabliczek odczytano pierwszą bodaj w dziejach jego reklamę: „Pij piwo Ebla, piwo o lwim sercu". Towarzyszył mu obrazek półnagiej niewiasty dźwigającej kufle pełne trunku.

I już wtedy zwalczano, trzeba przyznać dość radykalnie, próby oszukiwania na piwie. Oto w kodeksie Hammurabiego zapisano: „Jeśli oberżystka jako zapłatę za piwo zboża nie przyjęła, (lecz) według odważnika (zbyt) dużego srebro przyjęła, bądź równowartość piwa względem zboża obniżyła (i) oberżystce udowodni się to, do wody wrzuci się ją". Oczywiście po to, by się utopiła.

Ale to w Egipcie odnaleziono – w Hierakonpolis (Kom El-Ahmar) – pozostałości uważane za najstarszy browar na świecie. Jego szczątki datowane są na 3,5–3,4 tys. lat p.Chr. W kraju nad Nilem

eprasa.pl bb51fa83aa

browarnictwo było popierane, bo przynosiło istotne dochody podatkowe. I choć według tamtejszych wierzeń pierwszy miał piwo uwarzyć Ozyrys, to najbardziej utożsamiane było z boginią niebios, miłości, muzyki i wszelkich uciech Hathor. W przekazach artystycznych zwano ją „panią upojenia", jej świątynie zaś „domami pijaństwa". Istniały tam mocniejsze odmiany piwa przeznaczone dla mężczyzn i odpowiednio słabsze dla kobiet. I to właśnie Egipcjanie z czasem nauczyli się hodować drożdże.

Piwo starożytne było mętne, zawiesiste, słodko-kwaśne i niskoalkoholowe, nie było wysycane dwutlenkiem węgla. Miało przede wszystkim dostarczać wartości odżywczych. Znały je również inne starożytne cywilizacje – grecka czy rzymska. Warto tu może wspomnieć barbarzyńskich Germanów, którzy mieszali wino z piwem celem jak najszybszego upicia się do nieprzytomności, o czym rzymski historyk Tacyt pisał z wyraźną wyższością.

Złoty trunek w Polsce

W Polsce piwo było od zawsze podstawowym napojem codziennym. Oddajmy w tym miejscu głos kanonikowi Janowi Długoszowi: „Wino rzadko tu używane, a uprawa winnic nieznana. Ma jednak kraj polski napój warzony z pszenicy, chmielu i wody, po polsku piwem zwany". Picie piwa było powszechne, wobec trudnej do utrzymania w czystości wody. Pito, jak się sądzi, nawet do dwóch litrów piwa dziennie, ale trzeba pamiętać, że napój miał najwyżej do około dwóch procent alkoholu.

Już na postrzyżynach u Piasta gospodarz ugaszczał: „Mam ci ja beczułkę [dobrze] sfermentowanego piwa, które przygotowałem na postrzyżyny jedynego syna, jakiego mam, lecz cóż znaczy taka odrobina? Wypijcie je, jeśli wola!". Wielkim miłośnikiem piwa był nasz pierwszy król Bolesław Chrobry. Inny książę, Leszek Biały, tłumaczył odmowę udziału w krucjacie do Ziemi Świętej z powodu braku tam piwa. I choć prawdziwym powodem był brak funduszy, to piwo sprawdziło się jako dyplomatyczny zabieg.

Średniowiecze dla rozwoju piwowarstwa miało ogromne znaczenie. To wówczas powstają karczmy i gospody. To wtedy powstają browary zakonne, prekursorzy późniejszych wytwórni piwa na skalę przemysłową. Za wyborne uchodziły piwa marcowe i majowe warzone na Morawach, w Czechach i Niemczech. Na ziemiach polskich bardzo dobrą renomę miały piwa ze Świdnicy. Sprzedawano je np. w podziemiach krakowskiego ratusza. Do dziś istnieje tam karczma pod nazwą Ratuszowa. We Wrocławiu z kolei do dziś działa piwnica świdnicka. Bez piwa nie mogły – wedle zwyczaju – odbywać się posiedzenia rady miejskiej.

Piwo miało swoich patronów. I tak w Monachium było pod opieką św. Floriana. Za to w Wielkopolsce bardziej popularny był brat Bernard. On to w cudowny sposób przywrócił wodę w miejskiej studni w Grodzisku, dzięki temu można było dalej warzyć tam piwo. Warto tutaj podkreślić, że jest to jedyny istniejący do dnia dzisiejszego typowo polski styl piwa.

Piwo „przemysłowe"

Dla historii piwa w naszym kraju szczególnie ważny jest wiek XIX. Popularność zdobyły takie piwa jak Unterzeug (jasne pełne), Winterlager (zimowe), Marzenlager (marcowe). W kolejnych latach pojawił się porter i inne gatunki. W Galicji ważną cezurą było wprowadzenie podatku konsumpcyjnego w 1829 r. Przez to produkcja piwa na wsi przestała być opłacalna. A do tego po szeregu regulacji, które spowodowały upadek zakonów, od lat 40. XIX w. zaczęły się rozwijać browary miejskie. A że konkurencja na rynku była duża, to ok. 1850 r. z 365 browarów pozostało zaledwie 85.

Najsłynniejszymi browarami były te w Okocimiu i w Żywcu. Browar okocimski w 1845 r. założyli Jan Goetz z Józefem Neumanem. Pierwszy z nich, syn browarnika, pracował w zakładzie ojca, dał się poznać jako świetny fabrykant. Mimo niemieckiego pochodzenia kazał pochować się w kontuszu.

Zakład w Żywcu został założony w latach 1852–1857 przez arcyksięcia Albrechta Fryderyka Habsburga. Na etykiecie tegoż widnieje data 1856 – to rok rejestracji przedsiębiorstwa. Za czasów następcy Fryderyka, jego syna Karola Stefana, od 1895 r. całkowicie spolonizowano zakład. Produkował on przede wszystkim piwa na wzór pilzneńskiego, a więc dolnej fermentacji. W piątce największych browarów II Rzeczypospolitej aż trzy pochodziły z Galicji.

W Królestwie Polskim podobnie jak w pozostałych zaborach piwowarstwo organizowali Niemcy. Już od 1865 r. aż jedna trzecia produkcji to było piwo bawarskie. Był to trunek dolnej fermentacji o zawartości alkoholu 2,7–4 proc. Najsłynniejszym piwem w tamtym okresie było piwo drozdowskie. Wystawiono je w Niżnym Nowogrodzie w 1894 r. Trunki z Drozdowa otrzymały wiele medali także w Paryżu, Filadelfii, Wiedniu i Londynie.

W Wielkopolsce zostało wystawione na poważną konkurencję ze świetnie prosperującym pruskim przemysłem browarniczym. Miastem szczególnie dlań ważnym był Poznań. Tam też działał od 1860 r. duży browar Juliusa Reimana. W Wielkopolsce rozwijała się kultura piwna na wzór zachodni. Piwo spożywano przy akompaniamencie muzyki i niemal w świątecznej atmosferze.

Generalnie we wszystkich zaborach nastąpiła tzw. rewolucja piwna. Pod koniec XIX w. pojawiły się hermetyczne zamknięcia do butelek. Najpierw w 1875 r. zamknięcia kabłąkowe z porcelanowym korkiem, a następnie od 1892 r. kapsle. Konkurencja pomiędzy browarami stawała się ze względu na uprzemysłowienie coraz bardziej intensywna.

Na koniec warto wspomnieć krótko o piwnej współczesności. Otóż na początku lat 90. XX w. królowały wielkie koncerny. U początków bieżącego stulecia rozpoczęła się piwna rewolucja. Nie sposób przy niej pominąć Marka



Jakubiaka. On przywrócił do życia stare browary i stworzył Browary Regionalne Jakubiak. Hitem w swoim czasie było piwo pod nazwą Miodowe Ciechanowskie. Dziś praktycznie wszędzie możemy kupić tzw. piwa rzemieślnicze. Kiedy byłem w Republice Czeskiej, zauważyłem, iż pod tym względem ich wyprzedzamy, mimo że ich gospody, generalnie rzecz ujmując, stoją na wyższym poziomie od naszych piwiarni.

eprasa.pl bb51fa83aa

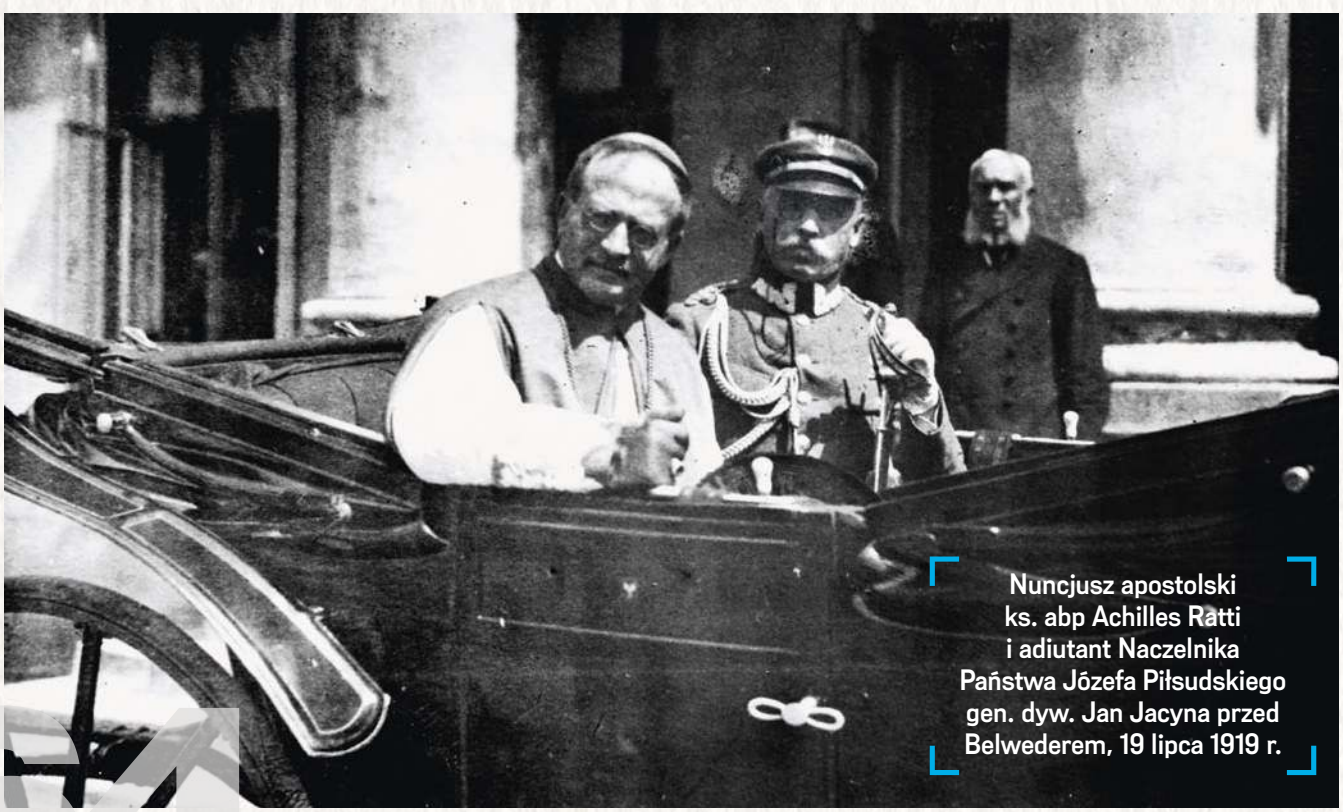
W DWUDZIESTOLECIU MIĘDZYWOJENNYM MÓWIONO O NIM „PAPIEŻ POLAKÓW”. PIUS XI ZAWDZIĘCZAŁ TEN PRZYDOMEK SWOJEMU OSOBISTEMU, WRĘCZ EMOCJONALNEMU, STOSUNKOWI DO POLSKI. TA RELACJA NIE ZAWSZE JEDNAK NALEŻAŁA DO NAJŁATWIEJSZYCH



Z WATYKANU NAD WISŁĘ I Z POWROTEM

ACHILLES RATTI, PAPIEŻ PIUS XI, W ODRODZONEJ POLSCE

FOT. NAC



Nuncjusz apostolski ks. abp Achilles Ratti i adiutant Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego gen. dyw. Jan Jacyna przed Belwederem, 19 lipca 1919 r.

eprasa.pl bb51fa83aa



RAFAŁ KOWALCZYK

IDMN

Ksiądz kanonik Achilles Ratti, syn kowala z Desio pod Mediolanem, w 1918 r. był prefektem Biblioteki Watykańskiej. Stanowisko, choć niewątpliwie bardzo prestiżowe, nie zapowiadało wielkiej kariery, tym bardziej że sam Ratti zdawał się ambicjonalnie usatysfakcjonowany. Bibliotekoznawstwo było jego właściwym, choć niejedynym, wykształceniem. Znał się na tym jak mało kto, a przede wszystkim bardzo dobrze czuł się w towarzystwie ksiąg. Wcześniej kierował Biblioteką Ambrozjańską w Mediolanie i tylko nieznaczny epizod, jakim był udział w uroczystości koronacyjnej Mikołaja II jako attaché, mógł zdradzać, że Stolica Apostolska ma wobec niego większe plany: ustanowienia go wysłannikiem papieskim dla Polski i Litwy.

Zaskoczony wizytator apostolski

Na uwagę zasługują w tej sytuacji dwie rzeczy. Po pierwsze, świadczyło to o dalekowzroczności polityki watykańskiej. Nominacja bowiem nastąpiła jeszcze w kwietniu 1918 r., a więc w momencie, w którym na ziemiach polskich jeszcze trwała okupacja. Po drugie, ukazuje jednak całkowity brak zrozumienia dla stosunków narodowych na tym obszarze, a to dlatego, że wizytator apostolski został mianowany jednocześnie dla Polski i Litwy. Stolica Apostolska użyła więc w tym wypadku niezbyt trafnej kalki historycznej, spodziewając się, że odrodzona Rzeczpospolita będzie na wzór przedrozbiorowej „obojga narodów".

Być może właśnie dlatego Benedykt XV powołał na to stanowisko Achillesa Rattiego. Mimo braku zacięcia dyplomatycznego to właśnie on jako człowiek nauki, rzeczowy i przenikliwy, mógł dostarczyć papieżowi rzetelnych informacji na temat sytuacji w Polsce. A ta była wówczas wyjątkowo zawiła. W Warszawie władzę sprawowała Rada Regencyjna, która nie miała ani autorytetu, ani przyszłości. W kontaktach międzynarodowych spodziewano się, że potrzeba będzie mediacji pomiędzy stroną polską a niemiecką, nie wspominając już o złożoności konfliktu na Wschodzie.

Homo novus bez uprawnień dyplomatycznych

Ratti przybył na ziemie polskie już w maju 1918 r. i początkowo funkcjonował w środowisku wyłącznie jako wysłannik papieski. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego Polska jeszcze nie zaistniała, oficjalnie więc delegat przybywał do przedstawicieli episkopatu. Szybko rozpoczął wizytacje w kolejnych diecezjach Królestwa Polskiego, zaczynając od Częstochowy, i ogarniało go niezwykłe zdumienie, gdy za każdym razem był przyjmowany przez ludzi nad wyraz entuzjastycznie. Dla Polaków bowiem obecność wizytatora apostolskiego stanowiła wyraźne poparcie ze strony Watykanu dla dążeń niepodległościowych Polski.

Mimo braku doświadczenia w dziedzinie dyplomacji Ratti wykazywał się wyjątkową intuicją. W stosunku do wszystkich opcji politycznych starał się zachować neutralność, zabiegając równocześnie o dobre relacje z liderami życia politycznego. Wyjątkowo dobrze układały się stosunki z Naczelnikiem Państwa, marszałkiem Piłsudskim. Nic więc dziwnego, że gdy tylko państwa ententy uznały powstanie Państwa Polskiego, rząd wystąpił o utworzenie w Warszawie siedziby nuncjatury apostolskiej, a na stanowisko nuncjusza zaproponował właśnie Achillesa Rattiego.

Nuncjusz, konkordat i wojna

Prośba została w Watykanie rozpatrzona pozytywnie i w lipcu 1919 r. Ratti złożył na ręce Naczelnika listy uwierzytelniające. Dwa miesiące później w katedrze warszawskiej otrzymał również święcenia biskupie, które przyjął z rąk arcybiskupa metropolity warszawskiego Aleksandra Kakowskiego.

Tymczasem w odrodzonej Rzeczypospolitej sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Ze wszystkich stron dążono do uporządkowania chaosu prawnego zarówno wewnątrz państwa, jak i w stosunkach międzynarodowych. Ze swojego stanowiska nowo mianowany nuncjusz sugerował, aby możliwie najszybciej unormować stosunki ze Stolicą Apostolską poprzez podpisanie umowy konkordatowej. Gorąco popierał i inspirował wręcz do działania powołaną w tym celu specjalną komisję kościelno-rządową. Później, jako papież Pius XI, doprowadził do podpisania konkordatu, z którego prywatnie był bardzo zadowolony, uważając go wręcz za wzorcowy.

W Warszawie zasłynął Ratti w warunkach przygotowań do Bitwy Warszawskiej w 1920 r. Gdy pod Radzyminem zbierały się wojska obu stron, stolica wpadła w popłoch. Błyskawicznie zaczęli wyjeżdżać z niej wszyscy niezwiązani bezpośrednio z sytuacją notable w obawie przed zdobyciem miasta przez bolszewików. Gdy na przedpolach Warszawy polska armia odpierała ofensywę sowiecką, z przedstawicieli dyplomatycznych obcych państw zostali tylko ambasador Turcji i Nuncjusz Apostolski właśnie.

„Kościół polski nie rozstrzyga o swoich sprawach w obecności obcych"

Największym problemem w misji dyplomatycznej Rattiego okazał się urząd wysokiego komisarza kościelnego dla terenów plebiscytowych na Górnym Śląsku. Od samego początku nie chciał podjąć się tego zadania, sugerując, by na to stanowisko powołać kogoś innego, najlepiej z państwa neutralnego. Ostatecznie musiał jednak podporządkować się woli Stolicy Apostolskiej i przyjął urząd.

Sprawa była delikatna, chodziło bowiem o plebiscyt, który miał decydować o przynależności Śląska do Polski. W dodatku Ratti nie cieszył się wielką popularnością wśród polskiego episkopatu. Biskupi polscy, choć znani z posłuszeństwa wobec kolejnych następców św. Piotra, o wysłannikach papieskich, legatach i nuncjuszach mieli często złe zdanie. Już na pierwszym posiedzeniu Konferencji Episkopatu w Gnieźnie w 1919 r. bp Adam Stefan Sapieha miał ponoć wyprosić Nuncjusza słowami: „Kościół polski nie przywykł do rozstrzygania o swoich sprawach w obecności obcych".

Konflikt pomiędzy Sapiehą a Rattim nabrał rozmiarów przy okazji dyskusji w sprawie konstytucji Rzeczypospolitej. Nuncjusz nie miał zamiaru domagać się od państwa polskiego prawa do miejsc w Senacie dla biskupów. W opozycji do niego stanął arcybiskup lwowski Józef Teodorowicz, popierany właśnie przez biskupa Sapiehę. Stosunki między tymi dwoma pozostały chłodne do samego końca. Złośliwi twierdzili, że to właśnie dlatego książę metropolita, jak nazywano Sapiehę, został powołany do Świętego Kolegium Kardynalskiego dopiero przez następcę Piusa XI. »

eprasa.pl bb51fa83aa

Żegnany uroczyście... ale chłodno

W okresie plebiscytu na Śląsku w Watykanie coraz częściej kierowano się zasadą la Chiesa farà da sé – „Kościół sam da sobie radę". W konsekwencji podejmowano decyzje bez oglądania się na poparcie państw i partii politycznych. Stąd właśnie wynikała niechęć Rattiego wobec wprowadzania osób duchownych do szeroko pojętego świata polityki. Stąd też decyzja, by w konflikcie polsko-niemieckim poprzeć de facto antypolskie zarządzenie metropolity wrocławskiego Adolfa Bertrama, by księża nie angażowali się w akcje plebiscytowe. Ogromna większość księży na terytorium spornym była narodowości polskiej. W efekcie w głosowaniu plebiscytowym strona polska poniosła klęskę, którą w Warszawie przypisano w znacznej mierze Nuncjuszowi. Obwiniany przez parlament, episkopat i organy prasowe wszystkich partii Ratti został odwołany ze stanowiska. Żegnany uroczyście, ale chłodno, opuścił Warszawę w czerwcu 1921 r., by objąć metropolię w Mediolanie.

Order Orła Białego wręczony na schodach

Wydawać by się mogło, że Achilles Ratti, kardynał metropolita mediolański, po takim zakończeniu swojej misji jako nuncjusz, będzie w Polsce co najwyżej gorzko wspominany. Szybko jednak sprawy przybrały nieoczekiwany obrót, w styczniu 1922 r. zmarł bowiem papież Benedykt XV. Zgodnie z ówcześnie panującymi zasadami od chwili śmierci papieża do otwarcia konklawe mogło minąć maksymalnie dziesięć dni. Kardynałowie pospiesznie zaczęli więc zjeżdżać do Rzymu, wśród nich Achilles Ratti.

Niezwykłą przenikliwością wykazał się wówczas poseł RP przy Watykanie, Władysław Skrzyński. Zaproponował bowiem w Warszawie, by nadać byłemu nuncjuszowi najwyższe odznaczenie państwowe – Order Orła Białego, przypuszczając, że metropolita mediolański może zostać obrany na nowego następcę tronu św. Piotra.

Uzyskawszy zgodę, spotkał się z Rattim cztery dni przed otwarciem konklawe i oznajmił mu, że Prezydent RP przyznał mu to zaszczytne odznaczenie, a specjalny kurier przywiezie do Rzymu insygnia już jutro. Wobec tej wizyty kardynał podjął Skrzyńskiego kolacją, a poseł zapowiedział, że następnego dnia wieczorem dokona dekoracji. Kurier niestety nie dojechał, więc kolejnego dnia Skrzyński pojawił się u Rattiego bez insygniów, zapewniając go, że ceremonia odbędzie się nazajutrz.

Jak się okazało kurier, podczas swojej podróży nieoczekiwanie uległ swojej słabości wobec napojów wyskokowych i „zagubił się w Wiedniu". Skrzyński posłał więc ostre telegramy do Warszawy, a wieczorem po raz trzeci pojawił się u kardynała z pustymi rękoma. Dopiero nazajutrz, w dniu konklawe, kurier szczęśliwie dotarł do Rzymu, a wraz z nim cenne insygnia. Tego dnia, gdy kardynał Achilles Ratti, a już niebawem papież Pius XI, schodził do samochodu, by wyruszyć na konklawe, na schodach w Kolegium Lombardzkim Władysław Skrzyński, poseł RP przy Watykanie, w ostatniej chwili wręczył mu Gwiazdę z Orłem i niebieską wstęgę.

Papież Pius XI

Konklawe w 1922 r. zakończyło się po kilku dniach. Na kolejnego następcę św. Piotra wybrano Achillesa Rattiego, który przybrał imię Piusa XI. Podczas obrad wśród kleru światowego panowało przekonanie, że były nuncjusz Rzeczypospolitej jest kandydatem przez Polaków niepożądanym, a jego pontyfikat będzie dla Polski trudny. Nic bardziej mylnego.

Dzięki swoim doświadczeniom papież wykazywał się pogłębionym zrozumieniem dla spraw polskich, którym niewątpliwie poświęcał dużo uwagi. Błyskawiczny wręcz przebieg pertraktacji związanych z zawarciem konkordatu przyjęło się tłumaczyć właśnie osobistym zainteresowaniem Piusa XI. Papież uważał treść polskiego konkordatu za wzorową, mimo że brakowało w nim rozstrzygnięć w kilku kluczowych sprawach. Pominięto w nim m.in. ustalenia dotyczące małżeństwa. Wynikało to właśnie ze znajomości przez papieża specyfiki polskich warunków. Wiedział bowiem, że w tej materii w porozbiorowej Polsce panował chaos, i zadecydował, że nie należy wprowadzać do konkordatu zapisów, których wyegzekwowanie byłoby wręcz niemożliwe.

„Posiadam obywatelstwo polskie"

Prywatnie Pius XI darzył Polaków wielką sympatią. Często spotykał się z przedstawicielami władz, miał bardzo dobry kontakt z polskim korpusem dyplomatycznym, a także z polskim episkopatem. Cenił sobie polską historię i był z nią bardzo związany. Dlatego w 1933 r. sprowadził do papieskiej rezydencji w Castel Gandolfo kopię wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej.

Kilka lat wcześniej, pod wpływem spotkania z arcybiskupem lwowskim Józefem Teodorowiczem, papież postanowił zaprosić do Watykanu wybitnego polskiego malarza Jana Henryka Rosena. Zlecił mu wówczas wykonanie dwóch fresków, które miały ozdobić kaplicę w papieskiej rezydencji. Po roku pracy dzieło zostało ukończone i po dziś dzień ściany kaplicy w Castel Gandolfo zdobią sceny z dwóch historycznych wydarzeń: obrony Częstochowy w 1655 r. oraz Bitwy Warszawskiej w 1920 r.

Znana jest również anegdota dotycząca spotkania z Polakami z okazji świąt wielkanocnych w 1925 r., podczas którego Pius XI przyznał się do poczucia silnego związku z Polską. Miał wówczas powiedzieć, że czuje się uprawniony do stwierdzenia, iż posiada polskie obywatelstwo, „gdyż tam narodziło się moje biskupstwo, tam byłem konsekrowany, tam zadzierzgnąłem węzły nie tylko miłe uczuciu, lecz spajające mnie wspólnotą duchową z Polską".



FOT. NAC

Postulator kanonizacji prosi Piusa XI o zaliczenie bł. Andrzeja Boboli w poczet świętych, maj 1938 r.

eprasa.pl bb51fa83aa

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego

O OBROŃCACH ŻYCIA POCZĘTEGO W PRL



Na trasie przejazdu Ojca Świętego z lotniska Okęcie do katedry św. Jana Chrzciciela zgromadziły się tłumy wiernych z transparentami dotyczącymi ochrony życia. Warszawa, 2 czerwca 1979 r.

FOT. PAP/ JAN MOREK

MARTA CYWIŃSKA

POWRACAJĄCA MODA NA PRL OD CZASU JEGO UPADKU NIE DOTYCZY JEDYNIE PRZEDMIOTÓW ZWIĄZANYCH Z ŻYCIEM CODZIENNYM: OD SZKLANKI Z METALOWYMI KOSZYCZKAMI, PO CEPELIOWSKIE MAKATKI ZE SZNURKA, CZY OD MEBLOŚCIANKI PO STÓŁ-ŁAWĘ. OT, FASCYNACJA PRZAŚNYMI WYTWORAMI MATERIALNYMI »

eprasa.pl bb51fa83aa

Cierpią na nią również ci, którzy PRL nie doświadczyli i nie zdają sobie sprawy z realiów walki z Kościołem, polskością, walki o ocalenie życia tych, którzy w obronie własnej zawalczyć nie mogli. Prawdziwy dramat nienarodzonych zaczął się wraz z nastaniem „nowej" władzy, ale korzenie tego zła sięgają znacznie głębiej.

Śmiercionośni „wyznawcy"

W latach 30. XX w. duet Tadeusz Boy-Żeleński i Irena Krzywicka stał na czele prywatnej kliniki „promującej" antykoncepcję i rewolucję zmierzającą do pełnej edukacji seksualnej. Autor cyklu felietonów „Piekło kobiet" postulujący legalizację mordowania dzieci nienarodzonych i autorka „Wyznań gorszycielki" otworzyli też pod koniec października 1931 r. poradnię, która w ciągu pierwszego roku działalności przyjęła 4096 pacjentek. 12 lat później władze III Rzeszy zalegalizowały zabijanie dzieci nienarodzonych na terenach okupowanej Polski, podczas gdy w Niemczech za aborcję karano śmiercią.

„Wyznawcy" Stalina zmienili prawo wprowadzone przez okupanta. Najpierw 17 października 1947 r. Ministerstwo Zdrowia wydało okólnik o przeciwdziałaniu „zbyt często powtarzającym się przypadkom sztucznego przerywania ciąży bez ścisłych wskazań lekarskich". W roku 1950 ustawa o zawodzie lekarza została „zaopatrzona" w nowy zapis: zamiast opinii dwóch niezależnych lekarzy liczyła się opinia komisji wytypowanej przez Ministerstwo Zdrowia, która decydowała o życiu lub śmierci nienarodzonego dziecka. W latach 1951–1956 na czele ministerstwa stał Jerzy Sztachelski – ten sam, który jeszcze w 1949 r. organizował w Białymstoku Akademię Medyczną im. Juliana Marchlewskiego. Jej wieloletnim pracownikiem był prof. Marian Szamatowicz, kierownik Kliniki Ginekologii, który w 1987 r. dokonał pierwszego w Polsce zapłodnienia in vitro.

Prawa i bezprawia

27 kwietnia 1956 r. władze PRL zalegalizowały dokonywanie aborcji „zagwarantowanej" pismem od prokuratora potwierdzającym „istnienie uzasadnionego podejrzenia, że ciąża powstała w wyniku przestępstwa". W ślad za tym powstało rozporządzenie Ministra Zdrowia z 11 maja 1956 r.: zamiast opinii dwóch niezależnych lekarzy liczyła się odtąd opinia komisji wytypowanej przez prezydium wydziału zdrowia rady narodowej. Rozporządzenie Ministra Zdrowia z 19 grudnia 1959 r. w sprawie przerywania ciąży „ze względu na trudne warunki życiowe" to przykład kolejnej liberalizacji prawa do zabijania – czyż nie było to ewidentne nawiązanie do przywrócenia legalnej aborcji? I to praktycznie na życzenie.

W 1956 r. na Jasnej Górze do sumienia narodu zwrócił się kard. Stefan Wyszyński tymi słowami: „Każde tzw. prawo, które daje komukolwiek możność dysponowania i przesądzania o życiu ludzkim, jest bezprawiem. Każdy czyn, który zmierza wprost do zniszczenia i przekreślenia prawa człowieka do życia, jest zwykłą zbrodnią".

Kard. Wyszyński wielokrotnie podkreślał duchowy wymiar obrony życia dziecka w łonie matki. W dniu Bożego Narodzenia w 1959 r. w Archikatedrze Warszawskiej po raz kolejny zabrzmiało Jego przesłanie do narodu: „Kościół podnosi potężny głos w obronie życia Polaków. I tego głosu nie obniży! Będzie wołał coraz głośniej, coraz potężniej, coraz nieustępliwej: Otrzeźwiejcie! Aby ziemia nasza nie stała się krainą Herodów i herodowych zbrodni! Pasterz tej Stolicy woła dziś do Was, woła do Stolicy i diecezji, woła do całego Narodu: obudźcie się! Ratujcie życie! Wszak tu chodzi o życie Narodu! Zginajcie kolana przed każdym rodzącym się życiem, przed każdym dziecięciem. Wy, rodzice, lekarze i pielęgniarki, Wy, rządzący dziś Narodem, wszyscy, od góry do dołu, którym powierzona jest straż życia w Narodzie, którzy macie prowadzić go ku życiu, nie ku śmierci i zagładzie! Uczcie się obyczajów ludzkich, betlejemskich, nie herodowych. Szanujcie życie".

Apel sumienia

W 1974 r., zwracając się do pielęgniarek, tak napominał rodaków przyszły papież Jan Paweł II: „Myślę, że największą tragedią naszego społeczeństwa, naszego narodu, jest śmierć ludzi, którzy się jeszcze nie narodzili: poczętych i nienarodzonych. I nie wiem, czym zapłacimy wobec historii za tę straszliwą zbrodnię. Ale jest rzeczą oczywistą, że to nie może minąć bez konsekwencji". Troska Prymasa Polski i pozostałych biskupów o dzieci poczęte, a tym samym o przyszłość własnego Narodu, wyrażała się nie tylko w przekazywaniu nauki na ten temat, lecz również w podejmowaniu inicjatyw duszpasterskich i społecznych. Przesłanie dotyczące obrony życia nienarodzonych, ze względu na ówczesną sytuację społeczną, nacechowane było dużą dozą emocji.

W 1980 r. z inicjatywy dr Wandy Półtawskiej oraz osób związanych z Instytutem Rodziny Papieskiej Akademii Teologicznej i Wydziału Duszpasterskiego Kurii Krakowskiej powstała Krucjata Modlitwy w Obronie Poczętych Dzieci. „Dzieciątko od chwili poczęcia jest człowiekiem, jest ludzkim życiem! Człowiek rozwija się od poczęcia do narodzin, a dalsze jego życie jest procesem ciągłym!". Od 1987 r. najbardziej znaną inicjatywą jest Duchowa Adopcja Dziecka Poczętego, polegająca na odmawianiu codziennie przez dziewięć miesięcy jednej dziesiątki różańca w intencji dzieciątka i jego rodziców. Powstała po objawieniach w Fatimie, stając się odpowiedzią na wezwanie Matki Bożej do pokuty i zadośćuczynienia za grzechy, które najbardziej ranią Jej Serce. Pierwszy ośrodek duchowej adopcji powstał w kościele oo. Paulinów w Warszawie.

Siła wielogłosu

28 maja 1977 r. grupa działaczy narodowo-katolickich skupionych wokół mec. Mariana Barańskiego powołała organizację, określając ją kolejno jako: Polski Komitet Obrony Życia i Rodziny, Polski Komitet Obrony Życia, następnie Polski Komitet Rodziny i Narodu, Komitet Samoobrony Polskiej (KSP), Polski Komitet Obrony Życia i Rodziny, który wkrótce, na życzenie ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego, zmienił nazwę na Polski Komitet Obrony Życia, Rodziny i Narodu (PKOŻRiN).

Działaczami jawnie działającego Komitetu byli m.in. Tomasz Jan Jankowski oraz Edward Froń. Ukierunkowany był na zniesienie dotychczas obowiązującej Ustawy, stanowiącej zagrożenie dla życia nienarodzonych i zastąpienie jej Ustawą o ochronie macierzyństwa. Działacze Komitetu występowali w obronie rodziny, praw rodziców – w tym do wychowywania dzieci, wiary, tradycji, suwerenności narodu, KSP deklarował także m.in. przeciwdziałanie legalizacji eutanazji.

Przypomnijmy skalę skuteczności działań Komitetu w owym czasie: działacze zebrali 12 tys. podpisów pod specjalną petycją. Ustawa trafiła kolejno do Sejmu oraz Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej i – co było do przewidzenia

eprasa.pl bb51fa83aa

– petycja Komitetu została odrzucona. Po wprowadzeniu stanu wojennego KSP zawiesił działalność. Jego członkowie nie poddali się jednak i kontynuowali pracę indywidualnie lub pod innym szyldem organizacyjnym.

Obrońcy i napastnicy

Mec. Barański opowiedział mi o aresztowaniu, gdy należał do tajnej Ligi Narodowo-Demokratycznej założonej zaraz po 1956 r., o swej działalności narodowej i konspiracyjnej, zatrzymaniu i areszcie w więzieniu na Rakowieckiej, przesłuchaniach, inwigilacji oraz innych zagrożeniach, które potem dotknęły osoby zaangażowane w ochronę życia – podkreślając, iż jest ona „być może najważniejszą [sprawą] zarówno z katolickiego, jak i narodowego punktu widzenia". Mówił o szkoleniu „młodzieży narodowej," o zbiórce na budowę Domu Samotnej Matki i poparciu prymasa Stefana Wyszyńskiego. Uzmysłowił mi, że złożony przezeń 21 grudnia 1973 r. 12-stronicowy dokument sygnowany przez 51 prawników był pierwszym projektem ustawy o ochronie życia i zdrowia dziecka nienarodzonego oraz o ochronie macierzyństwa. Wspominał także w rozmowie działalność Walentego Majdańskiego (1899–1972), prekursora akcji ochrony życia poczętego w Polsce.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI I IRENA KRZYWICKA OTWORZYLI POD KONIEC PAŹDZIERNIKA 1931 r. PORADNIĘ, KTÓRA W CIĄGU PIERWSZEGO ROKU DZIAŁALNOŚCI PRZYJĘŁA 4096 PACJENTEK

Majdański był również pisarzem i publicystą, pedagogiem i demografem, działaczem narodowym, orędownikiem abstynencji, modelu rodziny wielodzietnej, reżyserem amatorem, sekretarzem generalnym Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Wiejskiej przed wojną i nauczycielem w ramach tajnego nauczania podczas II wojny światowej. Po 1945 r. był wykładowcą w seminarium oo. Paulinów i Instytucie Katolickim w Częstochowie. Ośmieszany, marginalizowany, pomijany nie poddawał się. Sensu cierpienia i celowości działań na rzecz obrony życia nauczyła go jeszcze przed wojną współpraca ze św. Maksymilianem Kolbe.

Szkoda, że znaczna część jego spuścizny naukowej z pogranicza pedagogiki, etyki, demografii, a nawet medycyny, do dziś pozostała w maszynopisach. Przed wojną publikował regularnie, m.in. w „Rycerzu Niepokalanej" oraz w „Prosto z Mostu", a tytuły jego ówczesnych książek mają głębszy wymiar symboliczny: „Co robi młody święty"(1927), „Państwo rodziny" (1935), „Ekonomia ziemi" (1936), „Giganci" (1937), „Młodzi szaleńcy" (1937), „Co robi Młody Święty?" (1939). W 1970 r. z okazji 50. rocznicy jego pracy twórczej w Niepokalanowie kard. Stefan Wyszyński nazwał go „gigantem ducha". Jego młodszy brat, abp Kazimierz Majdański (1916–2007), był nie tylko wybitnym twórcą interdyscyplinarnego Instytutu Studiów nad Rodziną w Łomiankach, lecz i wiceprzewodniczącym Papieskiej Rady ds. Rodziny. Stworzył podwaliny dla duszpasterstwa rodzin w Polsce.

Bastion obrony życia

Wedle relacji mec. Barańskiego Majdański szczególną atencją darzył dr Emilię Paderewską-Chrościcką, którą w roku 1963 wyrzucono z pracy za odmowę przerwania ciąży i za zwalczanie ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Powtarzała: „Jako lekarz z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że nie istnieje coś takiego jak tzw. wskazania lekarskie do przerwania ciąży". „Spokojny, dźwięczny głos. Niepospolita odwaga i prawdziwa arystokracja ducha" – tak opisał ją w 2001 r. małżonek Antoni we wspomnieniach zatytułowanych „Matka tysiąca dzieci".

Nie sposób wymienić wszystkich nazwisk działaczy na rzecz obrony życia poczętego. Ks. Stanisławowi Małkowskiemu oraz o. Jackowi Salijowi jako założycielom Ruchu Obrony Dzieci Poczętych „Gaudium Vitae" należałoby poświęcić odrębny tekst.

Dr Krzysztof Kawęcki, który w rozmowie zainspirował mnie do poruszenia kolejnych wątków i zaprezentowania innych postaci, wymienił też nazwisko biskupa pomocniczego Archidiecezji Warszawskiej, wikariusza generalnego, prałata kustosza Kapituły Metropolitalnej, członka Rady Kapłańskiej i Kolegium Konsultorów Archidiecezji Warszawskiej – Zbigniewa Józefa Kraszewskiego. Wymienił też nazwisko ks. Bogusława Jerzyckiego – nie tylko wielkiego orędownika życia nienarodzonych, lecz obrońcę tych, którzy upomnieli się o prawa obywatelskie, społeczne i polityczne. Szczególnie leżał mu na sercu los pokrzywdzonych – w tym samotnych matek. Mój rozmówca był nie tylko działaczem Polskiego Komitetu Obrony Życia, Rodziny i Narodu, lecz także działał w Polskim Związku Akademickim. Redagował podziemne pisma: „Szaniec", „Wielka Polska", „Polska Narodowa" oraz pełnił funkcje wiceprezesa i rzecznika prasowego Stronnictwa Narodowego.

Jedną z najmniej znanych, a zarazem najbardziej przejmujących, polskich książek XX w. jest wydana nielegalnie – pod nazwiskiem Tworzynowski – w 1958 r. powieść „Kainka" (od imienia biblijnego bratobójcy, Kaina). Trafiła nawet na listę dzieł zakazanych w PRL! Jej autorem był ks. Stanisław Tworkowski (1901–1999), który zaczął bronić dzieci poczętych natychmiast po wprowadzeniu w 1956 r. komunistycznej ustawy o dopuszczalności przerywania ciąży. Po wojnie, ze względu na postawę obrońcy życia poczętego, był nieustannie inwigilowany przez SB i dopiero w 1971 r. mógł objąć probostwo.

Egzemplarz „Kainki" towarzyszy mi przez całe moje dorosłe życie w niesieniu przesłania o wartości ludzkiego życia od poczęcia i pomaga w utrwaleniu wychowania narodowego – otrzymałam go jeszcze jako studentka od Piotra Błaszkowskiego – przez wiele lat i dziś także niestrudzenie zaangażowanego obrońcy życia oraz publicysty narodowego. I na koniec jeszcze jedno słowo o dr. Zbigniewie Gawrońskim – znanym i wspaniałym lekarzu ginekologu, który we wczesnych latach 60. musiał odejść z pracy ze Szpitala Położniczo-Ginekologicznego przy ul. Warszawskiej w Białymstoku, ponieważ odmówił dokonywania aborcji. Dr Gawroński był moim ojcem chrzestnym.

eprasa.pl bb51fa83aa



Otwarcie wystawy zbiorów dr. Jana Popławskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie. Widok na salę wystawową, marzec 1936 r.

FOT. NAC

(NIE)UTRACONE

ARCHIWALNE FOTOGRAFIE JAKO SKUTECZNY ORĘŻ W STARANIACH O ZWROT POLSKICH DÓBR KULTURY

KATARZYNA ZIELIŃSKA

W zasobach Narodowego Archiwum Cyfrowego odnalazł się prawdziwy as w rękawie – wykonana w 1936 r. fotografia z wystawy darów Jana Popławskiego. Mimo wszelkich swych estetycznych niedoskonałości pozwoliła rozwiać wszelkie wątpliwości co do faktycznego pochodzenia obrazów, które stanowiły polskie straty wojenne.

Jan Popławski, specjalista chorób wewnętrznych i nerwowych, przez wiele lat prowadził praktykę lekarską w Sankt Petersburgu. Miasto, będące dziełem sztuki samym w sobie, stanowiło doskonały grunt do rozwoju jego kolekcjonerskiej pasji. Podczas swego pobytu nad Newą polski lekarz zgromadził imponujący zbiór malarstwa europejskiego. Po jego śmierci w 1935 r. Muzeum Narodowe w Warszawie pozyskało prawie 100 obrazów z jego kolekcji, w tym prawdziwy crème de la crème – dzieła Tintoretta i Rubensa.

Wzbogacenie zbiorów stołecznego muzeum o tak kapitalną kolekcję nie mogło przejść bez echa. W marcu 1936 r. instytucja pokazała wspaniałe nabytki na specjalnie zorganizowanej wystawie. Otwarcie ekspozycji czasowej miało oprawę stosowną do rangi prezentowanych dzieł. Symbolicznego przecięcia wstęgi dokonał Wojciech Świętosławski – ówczesny minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego w rządzie Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego. Towarzyszył mu wiceminister Jerzy Błeszyński. Uroczystość uświetnił swoją obecnością także prezydent Warszawy Stefan Starzyński.

Ceremonia odbyła się w kamienicy przy ul. Podwale 15 na warszawskiej Starówce. Trzeba bowiem wspomnieć, że zanim Muzeum Narodowe zajęło w 1938 r. monumentalny gmach w Ale-

eprasa.pl bb51fa83aa

jach Jerozolimskich, przez ponad 70 lat od momentu swego powołania wiodło zgoła tułaczy żywot. Budynek na Starym Mieście mieścił siedzibę Muzeum od 1918 r.

Podniosły moment przecinania wstęgi – a tym samym otwarcia wystawy obrazów z kolekcji Popławskiego – uwiecznił fotoreporter „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Wszyscy dżentelmeni są nienagannie ubrani, wyprostowani, poważni. Jednym słowem, zdjęcie jakich wiele, z gatunku oficjalnych, raczej niezapadające w pamięć. Można się domyślić, że gdy opadła biało-czerwona szarfa, zgodnie z nakazami dobrego obyczaju oficjele zostali oprowadzeni po ekspozycji przez widocznego na zdjęciu dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie Bronisława Gembarzewskiego. Prawdopodobnie w czasie tego kameralnego zwiedzania fotograf raz jeszcze nacisnął spust migawki. Stanął wówczas na schodach, aby objąć w kadrze salę wypełnioną obrazami europejskich mistrzów. Ale i to zdjęcie wydaje się wykonane raczej z kronikarskiego obowiązku, od niechcenia niż w efekcie artystycznego zapału. Postaci widoczne przed jednym z obrazów są nieostre, kompozycja jest mało przemyślana – nie koncentruje się na żadnym elemencie wystawy i powoduje, że oko patrzącego bezwiednie prześlizguje się po zdjęciu, pozostawiając widza obojętnym. Jednakże dość niespodziewanie 80 lat później ta niepozorna fotografia sali wystawowej zyskała rangę kluczowego dowodu...

W 2011 r. amerykańskie służby DHS/ICE-Homeland Security Investigations, na podstawie zawiadomienia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, prowadziły sprawę dwóch dzieł Juliana Fałata, zrabowanych w czasie II wojny światowej z Muzeum Narodowego w Warszawie, które kilka lat wcześniej przeszły przez jeden z nowojorskich domów aukcyjnych. Śledztwo dotyczące sprzedaży obrazów Fałata „Naganka na polowaniu w Nieświeżu" i „Przed polowaniem w Rytwianach" doprowadziło do zidentyfikowania kolejnych czterech obrazów, które pochodziły z Muzeum Narodowego w Warszawie i stanowiły polskie straty wojenne. Wśród nich znalazł „Portret damy" Melchiora Geldorpa ze wspomnianej kolekcji Popławskiego.

Wizerunek nieznanej z imienia i nazwiska kobiety, o wymiarach 88 x 65 cm, namalowany został techniką olejną na dębowej desce i opatrzony sygnaturą: ANNO 1628/ÆTATIS. 44 oraz monogramem: M(?).G. F. Autorem dzieła jest Melchior Geldorp (1607–1637) – malarz niemiecki, prawdopodobnie syn i uczeń Gortziusa Geldorpa, członek cechu malarzy w Kolonii. Malował on przede wszystkim portrety i sceny religijne. „Portret damy" to jedyne obecnie znane, sygnowane i datowane dzieło artysty.

Wojenne losy obiektu pozostają nieznane. Po upadku powstania warszawskiego wiele ze znajdujących się jeszcze w obrębie miasta zbiorów padło ofiarą grabieży lub uległo zniszczeniu, inne Niemcy wywieźli do składnic na Dolnym Śląsku, w Austrii i Niemczech. Wśród nich najprawdopodobniej znajdował się obraz Geldorpa.

Pierwszym krokiem po odnalezieniu dzieła sztuki każdorazowo jest potwierdzenie jego tożsamości. Oznacza to konieczność zebrania wszelkiej dokumentacji potwierdzającej polskie pochodzenie danego obiektu: archiwaliów, katalogów wystaw, publikacji. Nic jednak tak nie przemawia do wyobraźni adresata roszczeń jak fotografia. Posiadanie ikonografii poszukiwanego dzieła sztuki pozwala w dużej mierze zakończyć polemikę dotyczącą tożsamości zabytku. Trzeba jednak przyznać, że to niezwykle rzadka sytuacja – zaważają na tym burzliwe losy wojenne odbitek czy negatywów, a także kruchość samych nośników.

Tak było i w tym przypadku. Początkowo resort kultury dysponował przedwojenną fotografią obrazu ze zbiorów archiwum muzealnego. Jednakże to w zasobach Narodowego Archiwum Cyfrowego odnalazł się prawdziwy as w rękawie, pozwalający rozwiać wszelkie wątpliwości co do faktycznego pochodzenia zabytku. Wykonana w 1936 r. fotografia z wystawy darów Jana Popławskiego, mimo wszelkich swych estetycznych niedoskonałości, okazała się być nie do przecenienia. Czujne oko ministerialnych ekspertów dojrzało na zdjęciu XVII-wieczny portret patrycjuszki, widoczny po prawej stronie na ścianie sali muzealnej. Z perspektywy starań restytucyjnych jest to sytuacja ekskluzywna, która umożliwia dynamiczne posunięcie negocjacji do przodu. Tak też stało się i tym razem – kluczowy dowód rozwiał wątpliwości. Resztę przeprowadziły amerykańskie służby. We wrześniu 2018 r. „Portret damy" Geldorpa powrócił do Muzeum Narodowego w Warszawie.



FOT. NAC

Przecinanie wstęgi przez ministra Wojciecha Świętosławskiego. Widoczni m.in.: prezydent Warszawy Stefan Starzyński, wiceminister Jerzy Błeszyński, dyrektor muzeum Bolesław Gembarzewski, profesor Wojciech Jastrzębowski. Muzeum Narodowe w Warszawie, marzec 1936 r.

KS. IGNACY DZIERMEJKO,

DUSZPASTERZ LITWINÓW W POLSCE, NA CELOWNIKU SB

LITWINI SĄ JEDNĄ Z NAJMNIEJ LICZNYCH MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH W POLSCE. ICH LICZBA SIĘGA ZALEDWIE 7–8 TYS. OSÓB. ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ MIESZKA NA SUWALSZCZYŹNIE. „STOLICĄ" POLSKICH LITWINÓW JEST PUŃSK, GDZIE STANOWIĄ ONI AŻ 75 PROC. LUDNOŚCI. W SĄSIEDNIEJ GMINIE SEJNY JEST ICH OK. 20 PROC.





KRZYSZTOF TARKA

Przez ponad ćwierć wieku proboszczem w Puńsku był pochodzący z mieszanej rodziny litewsko-polskiej ks. Ignacy Dziermejko. Urodził się 30 sierpnia 1927 r. w Krejwianach na Suwalszczyźnie. W 1953 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Następnie pracował jako wikariusz w kilku parafiach w diecezji łomżyńskiej. Młody ksiądz szybko znalazł się pod lupą bezpieki. Inwigilacja prowadzona w 1958 r. przez łomżyńską Służbę Bezpieczeństwa potwierdziła jego „wrogą postawę wobec PRL i działalność skierowaną przeciw polityce laicyzacyjnej państwa oraz aktom prawnym powodującym zeświecczenie życia społecznego".

Konflikt o język

W 1967 r. ks. Dziermejko objął parafię w Puńsku. Nowy proboszcz okazał się nie tylko duszpasterzem, lecz także przewodnikiem miejscowej społeczności i animatorem życia kulturalnego w parafii. W ocenie SB: „Po objęciu tej placówki przeorganizował pracę duszpasterską, narzucając wiernym rygor konieczności uczestniczenia w praktykach religijnych i nauce religii poprzez publiczne piętnowanie uchylających się. Jednocześnie wiele jego wypowiedzi z ambony oraz sposób wystroju kościoła świadczyły o postawie antyradzieckiej i opozycyjnej wobec socjalistycznego modelu wychowania młodzieży".

W Puńsku, w niedziele odprawiane są dwie msze św. w języku litewskim i jedna po polsku. Inaczej sytuacja wyglądała w powiatowych Sejnach, gdzie przez blisko 40 lat Litwini zabiegali o przywrócenie nabożeństw w ich języku ojczystym. Ta sprawa zantagonizowała Litwinów z władzami kościelnymi oraz parafianami narodowości polskiej. Napięcia między dwoma narodami w Kościele suwalskim sięgają początków XX w. Polacy i Litwini uparcie obstawali przy swoich stanowiskach, nie chcąc zrozumieć i dostrzec racji drugiej strony. Polacy walczyli z litwinizacją Kościoła, Litwini bronili się przed polonizacją, obawiając wynarodowienia.

FOT. PODLASKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl bb51fa83aa

Na początku lat 70. XX w. ks. Stanisław Rogowski, proboszcz w Sejnach, i ks. Dziermejko z Puńska wystąpili do kurii biskupiej w Łomży z pomysłem zbudowania kaplicy w pobliskich Widugierach. Ich zdaniem kościół usytuowany na pograniczu parafii puńskiej i sejneńskiej, w odległości 10 i 14 km od obu miejscowości, miałby służyć Litwinom z obu parafii. We wrześniu 1971 r. kuria łomżyńska zwróciła się do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku z wnioskiem o zezwolenie na budowę. Władze wojewódzkie zignorowały petycję, nie udzielając na nią odpowiedzi. Mimo to prośbę corocznie ponawiano. Sprawą zainteresowała się natomiast suwalska SB. Litwini uważali, że za pomysłem budowy tej kaplicy w rzeczywistości kryje się chęć odciągnięcia ich od Sejn. To tylko umocniło ich w żądaniu przywrócenia litewskich nabożeństw w bazylice sejneńskiej. Mimo niechęci Litwinów i oporu lokalnych władz ks. Dziermejko nie rezygnował z projektu budowania przybytku w Widugierach.

Aktywacja bezpieki

Zaniepokojenie bezpieki wywołały też doniesienia o „szerokich kontaktach", jakie proboszcz z Puńska miał utrzymywać z Litwinami zamieszkałymi na Zachodzie. Sprawa trafiła nawet do centrali MSW. Major Ryszard Leszczyński, naczelnik Wydziału IV KW MO w Suwałkach, w piśmie do Departamentu IV MSW z 4 lutego 1976 r. wymieniał nazwiska i adresy blisko 20 „kontaktów" proboszcza. Dwa tygodnie później szef wydziału „kościelnego" suwalskiej KW MO wraz z por. Lechem Wawiernią zjawili się na plebanii w Puńsku. Funkcjonariusze SB w rozmowie z ks. Dziermejką zamierzali rozpoznać jego osobowość, charakter i poglądy. Wypytywali go również o konflikt w Sejnach i sprawę kaplicy w Widugierach. Jeszcze tego samego dnia por. Wawiernia przygotował wniosek o wszczęcie sprawy operacyjnego sprawdzenia kapłana. W jego ocenie ks. Dziermejkę cechowała postawa „wybitnie nacjonalistyczna". Podejrzewano go o „wrogą działalność nacjonalistyczną, utrzymywanie podejrzanych kontaktów z Litwinami z k[rajów] k[apitalistycznych] oraz o działalność inspiratorsko-organizatorską w konflikcie narodowościowym na tle religijnym".

Kilka lat później proboszczowi w Puńsku zarzucano, że „pośredniczy w kontaktach pomiędzy nacjonalistycznymi działaczami litewskimi zam. w ZSRR i tzw. trójkącie suwalskim a emigracją litewską na Zachodzie" oraz „przekazuje działaczom nacjonalistycznym zam. w USA tendencyjne informacje o sytuacji Litwinów w Polsce". Na tej podstawie kpt. Mieczysław Piktel 10 marca i 17 maja 1983 r. przeprowadził z „figurantem" rozmowy sondażowe (w drugiej rozmowie wziął udział również naczelnik Wydziału IV KW MO w Suwałkach ppłk Jan Zawadzki). W notatkach służbowych funkcjonariusz SB zaznaczył, iż podczas obu spotkań ks. Dziermejko zachowywał się uprzejmie. Niespodziewanych „gości" poczęstował kawą i koniakiem. Proboszcz podkreślał swój emocjonalny związek z regionem suwalskim i Litwinami. Za nierozwiązanie ciągnącego się od lat konfliktu w Sejnach obwiniał przede wszystkim miejscowego proboszcza. Ksiądz Dziermejko ciągle myślał też o budowie kościoła w Widugierach. Proboszcz nie dał się jednak wciągnąć w rozmowę na temat sytuacji w kraju. Jak zanotował funkcjonariusz SB, ks. Dziermejko „odmówił komentarzy, twierdząc, że polityką powinni zajmować się politycy".

Kolejny raz na plebanii w Puńsku oficer SB pojawił się 29 lipca 1983 r. Ksiądz Dziermejko z radością poinformował go, że nowy ordynariusz, bp Juliusz Paetz, zapowiedział rychłe wprowadzenie nabożeństw w języku litewskim do bazyliki sejneńskiej. Litwini musieli jednak na to czekać blisko 40 lat.

Zarejestrowany TW

Oficer SB nie tracił nadziei na zwerbowanie proboszcza do współpracy. Podczas spotkania 9 sierpnia 1983 r. ks. Dziermejko opowiadał ogólnie o ostatnich wydarzeniach w parafii: zbliżającej się pielgrzymce wiernych z Puńska na Jasną Górę, planach budowy kościoła w Widugierach czy rozwiązaniu konfliktu w Sejnach na tle języka nabożeństw. Zgodził się też na kolejne rozmowy z funkcjonariuszem SB. Na tej podstawie kpt. Piktel uznał, że pozyskał nowego tajnego współpracownika. Nie chcąc jednak odstraszać proboszcza od kontaktów z SB, funkcjonariusz zrezygnował z pobrania pisemnego zobowiązania do współpracy (ten fakt odnotował w „Kwestionariuszu TW"). Z tego samego względu kapitan nie nakłaniał księdza do składania pisemnych donosów („informacje będą przekazywane ustnie"). Bez wiedzy proboszcza nadał mu również pseudonim Pośrednik. W ocenie esbeka nowo pozyskany informator był „mało rozmowny, nieufny, reprezentuje postawę nacjonalisty litewskiego".

W ciągu mającej trwać sześć lat współpracy funkcjonariusze SB odbyli 66 rozmów z ks. Dziermejką. Za każdym razem do spotkań dochodziło na plebanii w Puńsku. Uzyskane informacje SB wykorzystała do prowadzenia dwóch rozpracowań oraz w bieżącej pracy operacyjnej. Przekazywane przez proboszcza wiadomości uznawano za wiarygodne oraz potwierdzone przez inne osobowe źródła informacji. Początkowo z ks. Dziermejką spotykał się kpt. Piktel. W drugiej połowie listopada 1983 r. przejął go ppor. Wiesław Liszczyna, a na początku września 1988 r. por. Jerzy Jaroszewski. Wszyscy byli pracownikami Wydziału IV Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Suwałkach.

W teczce TW „Pośrednik" zachowało się zaledwie kilka krótkich raportów czy notatek służbowych sporządzonych przez funkcjonariuszy SB z tych rozmów. Nie zawierają one informacji, które mogłyby zaszkodzić osobom trzecim bądź mieć operacyjne znaczenie dla SB. Na ich podstawie trudno byłoby nawet dowodzić zaistnienia tajnej i świadomej współpracy księdza z SB. Proboszcz nie podpisał przecież zobowiązania do współpracy, nie składał pisemnych raportów, nie miał nawet świadomości, że został zarejestrowany jako TW i otrzymał pseudonim. Informacje opracowywał oficer SB na podstawie jego słów. Ksiądz Dziermejko nie otrzymywał też żadnego wynagrodzenia. Kilka razy przyjął natomiast od swojego „opiekuna" prezenty rzeczowe (pretekstem były np. imieniny). W 1985 r. były to medalion z wizerunkiem Jana Pawła II i kwiaty, rok później książka „Teologia Starego Testamentu", w 1987 r. album fotograficzny w skórzanej oprawie oraz dwie książki (o koniach i malarstwie Armenii), a w 1988 r. kryształowa owocarka. To fakt, że ksiądz Dziermejko wielokrotnie zgadzał się na spotkania z funkcjonariuszami SB. Miały one jednak charakter rutynowych rozmów z przedstawicielem lokalnych władz, a nie donosów.

Koniec spotkań

Podczas jednego ze spotkań, 7 kwietnia 1987 r., proboszcz zwrócił się do funkcjonariusza SB o pomoc w zorganizowaniu pielgrzymki do Wilna i Kowna w ramach obchodów 600-lecia chrztu Litwy. »

eprasa.pl bb51fa83aa

» Chodziło o to, aby władze PRL nie stawiały przeszkód w wyjeździe na sowiecką Litwę ok. 40 parafian z Puńska. Ksiądz zamierzał też zaprosić na rocznicowe uroczystości do Puńska biskupów z Wilna i Kowna. Przekonywał, że takie spotkania byłyby świadectwem normalizacji sytuacji w kraju.

1 września 1988 r. niezapowiedzianą wizytę na plebanii w Puńsku złożył por. Jerzy Jaroszewski. Wyjaśnił proboszczowi, że por. Liszczyna został przeniesiony do pracy na innym stanowisku. Ksiądz Dziermejko po wylegitymowaniu funkcjonariusza SB i spisaniu jego personaliów zgodził się na spotkania z nim, ale „tylko w konkretnej sprawie". Odpowiadał na pytania, choć jego wypowiedzi „były jednak natury ogólnej", „nie podawał także nazwisk". Proboszcz opowiadał o swoich wrażeniach z niedawnego wyjazdu do Związku Sowieckiego (na Litwę). Był mile zaskoczony sytuacją, jaka tam panuje (swoboda religijna, obfitość artykułów spożywczo-przemysłowych w sklepach, wysoki poziom życia). Z uznaniem podkreślił, że pierestrojka jest tam odczuwana na każdym kroku.

Ostatni raz ks. Dziermejko spotkał się z funkcjonariuszem SB 17 czerwca 1989 r. Tym razem przybyłego do Puńska por. Jaroszewskiego proboszcz powitał „bardzo chłodno" i niechętnie poprosił go do swojej kancelarii. Już na początku rozmowy poinformował oficera SB, że chciałby, aby ten więcej do niego nie przyjeżdżał, gdyż ich spotkania „nic nie dają i nic nie wnoszą nowego". Esbek był wyraźnie zaskoczony zmianą w postawie proboszcza. Czyżby nie rozumiał, że po wyborczej klęsce komunistów sytuacja zasadniczo się zmieniła? Proboszcz nie odpowiedział też na żadne pytania, twierdząc, że nie wie albo że sprawa jest mało ważna, żeby o niej mówić. Porucznik Jaroszewski nie liczył już na jakiekolwiek rozmowy w przyszłości. W tej sytuacji mjr Stanisław Andrzejczyk, naczelnik byłego Wydziału IV (przemianowanego na Wydział Studiów i Analiz) WUSW w Suwałkach, 22 listopada 1989 r. formalnie zatwierdził rozwiązanie współpracy z TW Pośrednik.

Litewskie przesilenie

Kilka lat później, w końcu maja 1992 r., ks. prałat Ignacy Dziermejko został mianowany przez nowego ordynariusza ełckiego Wojciecha Ziembę wikariuszem biskupim dla wiernych języka litewskiego. Niebawem jednak stosunki między kurią i proboszczem w Puńsku a Litwinami zdecydowanie się pogorszyły. Chcąc przybliżyć Kościół do wiernych oraz nobilitować lokalną wspólnotę, bp Ziemba postanowił utworzyć nową parafię w Widugierach. Miała się ona składać z litewskich wiosek parafii sejneńskiej i części parafii Puńsk. Gdy w czerwcu 1992 r. ukończona została budowa kościoła w Widugierach, proboszczowie z Puńska i Sejn ogłosili z ambon zamiar utworzenia nowej parafii. Zaskoczeni tym Litwini gwałtownie zaprotestowali przeciwko takiemu rozwiązaniu. Rada Parafialna z Puńska mówiła wprost o spisku przeciwko wiernym narodowości litewskiej. Decyzja ordynariusza ełckiego nie wynikała ze złej woli. Wydaje się, iż nowy biskup nie miał jeszcze po prostu dostatecznego rozeznania w zawiłej sytuacji narodowościowej. Litwini doszukiwali się polonizacyjnego charakteru w działaniach kurii. Uważali, że odłączenie litewskich wiosek od parafii Sejny ma na celu zmniejszenie liczby Litwinów w parafii, co w efekcie miało doprowadzić do zlikwidowania jedynej mszy św. w języku litewskim w bazylice. Mszy, którą wywalczyli z takim trudem, po blisko 40 latach starań.

Za powstałe zamieszanie Litwini obwiniali też ks. Dziermejkę, który wraz z dziekanem Rogowskim z Sejn był autorem projektu nowego podziału terytorialnego parafii. W połowie grudnia puńska rada parafialna postanowiła nie przyjmować swojego proboszcza po kolędzie. Ten w odpowiedzi odmawiał udzielania chrztów, pogrzebów. Było to brnięcie w ślepą uliczkę. Do sprawy Widugier doszedł teraz kolejny postulat. Litwini domagali się zmiany proboszcza w Puńsku. Po dziewięciu miesiącach zakończono „dziwną wojnę" o Widugiery. Tak jak chcieli Litwini, kościół w Widugierach pozostał kościołem filialnym parafii puńskiej. Spór o parafię przyczynił się do porażki ks. Dziermejki i jego przejścia na emeryturę. Proboszcz utracił zaufanie swych parafian i po 26 latach posługi duszpasterskiej w Puńsku, w czerwcu 1993 r., zmuszony był odejść z parafii. Został też zwolniony z obowiązków wikariusza biskupiego diecezji ełckiej do spraw wiernych języka litewskiego.

Ksiądz prałat Ignacy Dziermejko zmarł 27 listopada 2000 r. w Suwałkach.



FOT. NAC

Klasztor podominikański i kościół Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Sejnach



GRZEGORZ GÓRNY

Kresowy katolicyzm

Największym beneficjentem rozbiorów Rzeczypospolitej okazali się Rosjanie. To oni zagarnęli najwięcej ziem wspólnego państwa Polaków i Litwinów, bo aż 82 proc. terytorium sprzed 1772 r. Z części tych terenów stworzono później marionetkowy twór zwany Królestwem Polskim, resztę (nazywaną niekiedy „kresami") wcielono zaś bezpośrednio do imperium Romanowów.



Władze w Petersburgu prowadziły odmienną politykę wobec tych dwóch obszarów. Inny przede wszystkim był stopień odgórnej rusyfikacji. Carska administracja dążyła bowiem do całkowitego wyeliminowania wpływów polskości z dawnych kresów Rzeczypospolitej, uznając wschodniosłowiańską Ruś za wyłączną domenę prawosławnego monarchy. Polacy uważani byli za nosicieli łacińskości i europeizmu, utożsamianych z liberalizmem, a więc traktowano ich jak przeciwników samodzierżawia i potencjalnych wrogów państwa. Dlatego przez cały okres zaborów prowadzono na tych terenach aktywną politykę depolonizacji.

Przede wszystkim uderzono w elity oraz zlikwidowano wszystkie polskie instytucje kultury i nauki, na czele z Uniwersytetem Wileńskim. W tej sytuacji ostojami rugowanej polskości stały się dwory wielkich rodów oraz dworki i zaścianki drobniejszej szlachty. Znalazła ona jednak oparcie dla siebie przede wszystkim w Kościele katolickim.

Na początku XIX w. na ziemiach wcielonych do Cesarstwa Rosyjskiego działało sześć diecezji: wileńska, żmudzka, inflancka, kamieniecka, kijowska i łucka. Liczyły one łącznie 873 parafie, z których część prowadzona była przez zakonników obecnych w 436 klasztorach. Szczególną niechęć władz budzili mnisi, dlatego przeciw nim kierowały się najbardziej bezwzględne działania, które miały charakter zarazem antypolski i antykatolicki. W wyniku tych akcji w 1868 r. nie było już na owych ziemiach ani jednego klasztoru męskiego.

Ostojami rugowanej przez Rosję polskości stały się dworki i zaścianki drobniejszej szlachty. Na zdj. dworek w Grodnie

Systematycznie likwidowano też parafie katolickie. W ciągu XIX stulecia ich liczba spadła o połowę. Biskupom zakazywano dokonywania objazdów swych diecezji, a proboszczom opuszczania swych parafii. Opornych zsyłano na Sybir. Mimo to Kościół nie zatracił misyjnego ducha, ponieważ znajdował oparcie w lokalnej wspólnocie.

Bohdan Cywiński, opisując ów fenomen, zauważał: „Ta nienormalna sytuacja polityczna całej społeczności religijnej miała zaskakujące konsekwencje. Wiara prześladowana uczyła lud, że niekiedy trzeba obywać się bez księdza, a księdza, że musi dać sobie radę bez biskupa. W oczywisty sposób poczucie odpowiedzialności za kondycję wiary przejmowali szeregowi księża i następnie sami świeccy. Znany klerykalizm większości świeckich w takich warunkach się zmienia. Kiedy spotkania z księdzem przestają być łatwą codziennością, ale stają się swoistym luksusem, klerykalizm wyraża się raczej tęsknotą za kontaktem potwierdzającym przynależność do Kościoła. Zmienia się także atmosfera parafii, środowiska nie anonimowego, z którego tchórze uciekają i w którym panuje atmosfera wzajemnego zaufania, przekraczającego nawet barierę różnic socjalnych".

To powodowało, że tworzyły się nowe formy życia religijnego, w których kształtował się swoisty etos. Jak pisał wspomniany już Bohdan Cywiński: „Najbardziej liczyły się jednak nie deklaratywne wystąpienia publiczne, apele »za« czy przestrogi »przeciw«, ale powszechna w parafialnej codzienności atmosfera pogranicza między legalnością i konspiracją – tak religijną, jak i narodową. Kościół uczył oporu, biernego i najczęściej milczącego, ale solidarnego i ciągłego. Takie zachowanie miało sens polityczny". Można dodać, że miało także sens religijny. Dzięki temu, w warunkach permanentnych represji i inwigilacji, udało się nie tylko zachować własną tożsamość narodową i wyznaniową, lecz także nadać polskości oraz katolicyzmowi swoisty „kresowy" rys, charakteryzujący się niezwykłą wytrwałością, a zarazem nieszukaniem oparcia w żadnych władzach – ani świeckich, ani kościelnych. Z czasem stanie się to dziedzictwem całego polskiego Kościoła i uwidoczni zwłaszcza w okresie panowania komunizmu.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl bb51fa83aa



Dwór w Hremiaczach

KSIĘŻNICZKA SUFRAŻYSTKA I INNI

RÓD PUZYNÓW BYŁ SŁYNNY NIE TYLE MAJĘTNOŚCIAMI, ILE ZNAKOMITYMI OSOBISTOŚCIAMI ŚWIATA KOŚCIOŁA, NAUKI I KULTURY



JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Polsko-litewski ród książąt Puzynów herbu Oginiec wywodzi się od kniaziów Rurykowiczów, władców średniowiecznej Rusi Kijowskiej i Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Majątki Puzynów piszących się z Kozielska, usytuowane były głównie na dalekich północno-wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej, dotyczy to przede wszystkim linii litewskiej (upickiej). Puzynowie nie zasłynęli z imponujących pałaców ani olbrzymich ziemskich latyfundiów. Za to we dworach należących do tego rodu urodziło się wielu znanych akademickich profesorów, kościelnych hierarchów, pisarzy, intelektualistów, publicystów.

Działacz niepodległościowy

„Może byś napisał coś o siostrze mojego pradziadka Irenie Puzyniance, która była działaczką katolicką na rzecz praw kobiet. Była jedną z pierwszych kobiet posłów. Organizowała akcję pomocy dla repatriantów" – taką niedawno korespondencję otrzymałem od Józefa Andrzeja Puzyny (ur. 1972 r.), absolwenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, cenionego finansisty.

Pradziadem Józefa Andrzeja, autora listu (niestety będzie tu dla czytelników poważne utrudnienie, gdyż u Puzynów, tak jak i w wielu innych ziemiańskich rodzinach, pewne imiona przechodzą z ojca na syna), był Józef Edward Puzyna (1878–1949), a jego siostrą była właśnie katolicka działaczka Irena Puzynianka (1881–1933). Józef Edward, tak jak jego dwie młodsze siostry Irena i Janina, urodził się we dworze w Hremiaczach, położonym kilkanaście kilometrów na północny zachód od Brześcia Litewskiego (dziś Białoruś). Po szkołach w Warszawie Józef Edward Puzyna uzyskał tytuł doktora filozofii na Uniwersytecie we Fryburgu (Szwajcaria). Mieszkał tam wraz z poślubioną w 1903 r. Aleksandrą Marią Chrapowicką h. Gozdawa i przez wiele lat prowadził działalność zarówno naukową, jak i pisarską. Uczestniczył w pracach Centralnej Agencji Polskiej w Lozannie i był współwydawcą „Zbioru dokumen-

FOT. ARCH. RODZINNE JÓZEFA PUZYNY

eprasa.pl bb51fa83aa

tów odnoszących się do sprawy polskiej" opublikowanego w 1914 r. Później działał aktywnie w Komitecie Narodowym Polskim, który pod auspicjami Romana Dmowskiego czynił zabiegi dyplomatyczne mające na celu niepodległą przyszłość Polski. Publikował równocześnie rozprawy heraldyczno-genealogiczne oraz tomiki poezji.

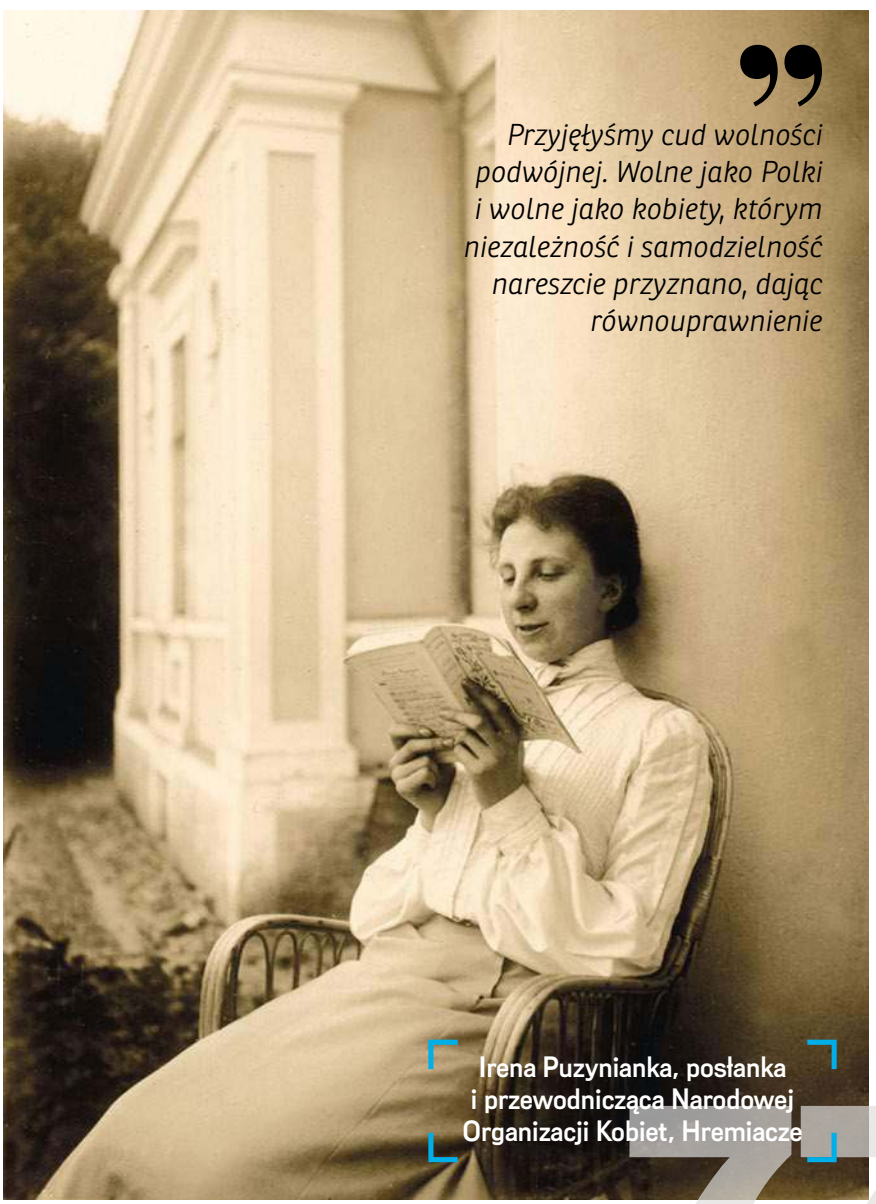
Po zakończeniu I wojny światowej Józef Edward Puzyna wrócił do kraju, pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych oraz został redaktorem naczelnym pisma „Messager Polonais" wydawanego przez MSZ. Po przejściu na emeryturę odprzedał wojskowym osadnikom dworską ziemię w Hremiaczach, jednak dwór pozostał własnością Puzynów do wybuchu II wojny światowej. On sam zamieszkał zaś w nieodległej Brzostowicy Wielkiej (dziś Białoruś), majątku swojego zięcia Stanisława hr. Kossakowskiego. Czas II wojny światowej rodzina Puzyny spędziła w Warszawie. Po powstaniu warszawskim Józef Edward przebywał w Częstochowie, gdzie opublikował swoją ostatnią książkę „Moje wspomnienia o Rodziewiczównie". Zmarł w tym mieście w 1949 r. i tam został pochowany.

Katolicka działaczka

W czasie, gdy Józef Edward Puzyna studiował i działał w sprawach Polski za granicami kraju, rodzinnym ziemskim majątkiem w Hremiaczach zarządzała jego energiczna i przedsiębiorcza siostra Irena. Po śmierci ich ojca księcia Józefa Adolfa Puzyny w 1914 r. Irena Puzynianka, która zdążyła już ukończyć Instytut Sacre Coeur w Pressbaum pod Wiedniem i nabrać pod okiem ojca rolniczej praktyki, zajęła się zarówno majątkiem, jak i działalnością oświatową wśród miejscowej ludności. Założyła szkołę dla dzieci dworskich pracowników, gdzie sama uczyła pisania i czytania, myślała też o niewielkim szpitalu. Wybuch I wojny światowej dla Puzynów rozpoczął się ewakuacją w głąb Rosji, rozgrabieniem zgromadzonych dóbr i pamiątek rodzinnych we dworze w Hremiaczach, utratą kolekcjonowanych dzieł sztuki.

W Rosji Irena Puzynianka nie zaprzestała działalności charytatywnej w organizacjach polskich. Po dwóch latach udało się jej wyjechać do Helsinek, gdzie kierowała polską szkółką, ucząc tam religii. Przed bolszewikami, już po rewolucji październikowej, uciekła do Sztokholmu, a w kwietniu 1918 r. znalazła się w Warszawie, biorąc od razu aktywny udział w Narodowej Organizacji Wyborczej Kobiet (NOWKP) walczącej m.in. o prawa wyborcze kobiet. Rozpoczęła również Puzynianka prace w kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego na rzecz Związku Ludowo-Narodowego (polska partia polityczna propagująca poglądy narodowo-chadeckie). Zapisała wtedy takie słowa: „Przyjęłyśmy cud wolności podwójnej. Wolne jako Polki i wolne jako kobiety, którym niezależność i samodzielność nareszcie przyznano, dając równouprawnienie". W latach 1921–1929 Irena Puzynianka była przewodniczącą Narodowej Organizacji Kobiet, zgrupowania, które wyłoniło się z NOWKP.

Hasłem, które przyświecało działaniom tej organizacji, a które bardzo bliskie było politycznej i etycznej postawie Ireny Puzynianki, były proste słowa: Bóg i Ojczyzna. Na gruncie chrześcijańskich zasad członkinie organizacji zachęcały polskie kobiety do aktywności politycznej, do poznania problemów gospodarczych kraju, do szerzenia oświaty o charakterze katolickim. Zastrzegały jednak, że nie są partią polityczną, a ich ważnym zadaniem jest propagowanie oszczędności i gospodarności, przede wszystkim zaś obrona wiary i moralności przed wpływami antynarodowymi i antyreligijnymi. W czasach plebiscytów na Górnym Śląsku też przecież nie mogło zabraknąć walecznej Puzynianki »



Przyjęłyśmy cud wolności podwójnej. Wolne jako Polki i wolne jako kobiety, którym niezależność i samodzielność nareszcie przyznano, dając równouprawnienie

Irena Puzynianka, posłanka i przewodnicząca Narodowej Organizacji Kobiet, Hremiacze

FOT. ARCH. RODZINNE JÓZEFA PUZYNY

eprasa.pl bb51fa83aa

» z tytułem książęcym, która zorganizowała tam Komitet Pomocy dla Repatriantów „Polki Repatriantom". Po zamieszkaniu w Poznaniu, pod patronatem prymasa Polski ks. Augusta kardynała Hlonda, zorganizowała poznańską filię stowarzyszenia „Opieka społeczna". W 1930 r. Puzynianka wystąpiła jeszcze na Pierwszym Krajowym Kongresie Eucharystycznym, by pod koniec roku wycofać się z działalności społecznej i zająć się chorą matką. Irena Puzynianka zmarła w Poznaniu w 1933 r. Pochowana została na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, gdzie w kościele pw. św. Krzyża znajduje się poświęcona jej pamiątkowa tablica.

Rodzinny dwór w Hremiaczach

Domowe dworskie wychowanie, przykład religijnych i patriotycznie nastawionych rodziców bez wątpienia wpłynęły również na życiowe postawy rodzeństwa Józefa Edwarda i Ireny Puzynów. Majątek w Hremiaczach, który był wcześniej częścią obszernej posiadłości ziemskiej hr. Pusłowskich z Wołczyna, kupiony został przez Józefa Ignacego Puzynę (1800–1874) dla syna Józefa Adolfa (1846–1914) w połowie XIX w.

Malowniczo położony nad rzeczką Pulwą dwór w Hremiaczach prawdopodobnie wzniósł właśnie Józef Ignacy Puzyna w latach 50. XIX w. We wcześniejszych inwentarzach folwarku Hremiacze nie wymienia się bowiem mieszkalnej rezydencji. Murowany dwór był budowlą parterową, dziewięcioosiową, przykrytą czterospadowym dachem z lukarnami. Jego frontową elewację zdobił centralnie usytuowany portyk z trójkątnym szczytem wspartym na czterech kolumnach. Dwa boczne jednoosiowe ryzality zwieńczone były attykowymi ściankami. Z drugiej strony dwór posiadał obszerny taras, z którego szerokie schody prowadziły do ogrodu ze starannie utrzymanym gazonem i klombem. Otoczony był rozległym, parohektarowym parkiem z alejkami i egzotycznymi drzewami. Do dzisiaj w dość mocno zniszczonym i zaniedbanym dworze zachował się oryginalny układ wnętrz oraz nieliczne XIX-wieczne elementy wyposażenia, takie jak piece kaflowe i kręcone, żeliwne schody wiodące do mansardowych pomieszczeń. W historycznych źródłach dotyczących dworu w Hremiaczach nie wymienia się architekta, który zaprojektował tę niezwykle proporcjonalną i uroczą neoklasycystyczną budowlę. W dodatku świetnie wkomponowaną w okoliczny zalesiony pejzaż. Po II wojnie światowej mieściła się tam szkoła, potem budynek stał opuszczony, obecnie prywatne przedsiębiorstwo rozpoczęło zaś pierwsze prace przywracające budynkowi dawną świetność.



Józef Edward i Aleksandra z Chrapowickich Puzynowie

FOT. ARCH. RODZINNE JÓZEFA PUZYNY

Brzostowica Wielka

W opracowaniu Sławomira Leitgebera „Nowy almanach błękitny" (Oficyna Wydawnicza „Adiutor", Warszawa 1993) na stronach poświęconych rodzinie książąt Puzynów, pod hasłem Józef Edward Puzyna (wspomniany brat Ireny Puzynianki) można przeczytać, iż był on właścicielem dóbr Wielka Brzostowica. Rzeczywiście ostatnie lata przed wybuchem II wojny światowej Józef Edward spędził w Brzostowicy Wielkiej, jednak właścicielem majątku był jego zięć Stanisław Kossakowski.

Dobra brzostowickie miały już wtedy za sobą długą historię. Nadane zostały przez króla Aleksandra Jagiellończyka Chodkiewiczom, następnie były w posiadaniu Mniszchów oraz Potockich, by jako posag córki Szczęsnego Potockiego z Tulczyna Ludwiki przejść w ręce Kossakowskich. Stąd sama rezydencja łączyła w sobie budowle dobudowywane przez kolejnych właścicieli. Najstarszą częścią był XVII-wieczny niski drewniany dwór Chodkiewiczów, później dobudowano również parterowy, ale już murowany z kolumnowym gankiem tzw. stary pałac i w latach 1900–1901 wzniesiony został nowy pałac. Ten ostatni zaprojektowany przez architekta Juliusza T. Wasiutyńskiego był budowlą piętrową, nakrytą czterospadowym dachem z dwiema stromymi wieżyczkami. Te trzy budowle właściwie niereprezentujące żadnego konkretnego stylu mieściły w sobie ponad 35 pokoi i obszernych salonów, w których znalazła swoje miejsce m.in. bardzo bogata galeria obrazów. W pałacu przechowywane były również rękopisy prac historycznych i literackich Józefa Edwarda Puzyny, które wraz z całym zabytkowym wyposażeniem uległy rozgrabieniu i zniszczeniu po napaści wojsk sowieckich na Polskę we wrześniu 1939 r. Sam pałac wysadzili w powietrze Niemcy w roku 1944.

Autorka cennych wspomnień

Nie sposób, pisząc o ważnych postaciach rodu Puzynów, nie wspomnieć autorki ciekawych pamiętników, poetki i komediopisarki Gabrieli z Guntherów Puzyniny (1815–1869). Pochodziła z ziemiańskiej rodziny, jej rodzice to Aleksandra z Tyzenhauzów i Adam Gunther. Po wyjściu za mąż w 1851 r. za księcia Tadeusza Puzynę Gabriela zamieszkała w jego rodzinnym majątku Horodziłów koło Oszmiany (obecnie Białoruś), gdzie prowadziła znany salon literacki. Do jej bliskich znajomych i bywalców salonu należeli tak znani twórcy jak Ludwik Kondratowicz (Syrokomla), Józef Korzeniowski, Stanisław Moniuszko czy Henryk Wieniawski. Pisząc swoje wspomnienia, które ukazały się w książce „W Wilnie i w dworach litewskich 1815–1843", Gabriela Puzynina opierała się na gromadzonych przez lata notatkach, dziennikach, korespondencjach, na rodzinnych pamiątkach i zachowanych sztambuchach. Dziś te drobiazgowe wręcz opisy dworskich balów, towarzyskich spotkań, rodowody i koligacje różnych spotykanych przez autorkę osób i ich charakterystyki tworzą nieocenioną wartość dla licznych badaczy ówczesnej epoki, także dla współczesnych kronikarzy dawnego życia ziemiańskiego.

eprasa.pl bb51fa83aa

KATARZYNA TELNICZANKA

CHOĆ NIE BYŁA ŻONĄ, ŻYŁA PRZEZ 10 LAT JAK KSIĘŻNA U BOKU ZYGMUNTA STAREGO



MAREK BARAŃSKI

Zygmunt, nazwany później Starym, był przedostatnim synem króla Kazimierza Jagiellończyka. Młodszy od niego był tylko Fryderyk, który został skierowany do stanu duchownego i osiągnął stanowisko arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski. Starsi bracia Zygmunta zasiadali na tronach: Władysław był królem Czech i Węgier, Jan Olbracht – królem Polski, a Aleksander został wielkim księciem litewskim. Dla Zygmunta zabrakło korony. Po śmierci ojca prosił brata Aleksandra o wydzielenie mu z Księstwa Litewskiego jakiejś domeny, ale Aleksander się na to nie zgodził. Jego matka, królowa wdowa Elżbieta, próbowała zapewnić mu tron austriacki, ale były to usiłowania zupełnie nierealne. Również wobec klęski bukowińskiej tron mołdawski stał się dla Zygmunta nieosiągalny. Wydawało się, że młody królewicz nie zostanie nigdy monarchą. Nie mając tronu, Zygmunt nie mógł się ożenić. Żaden z monarchów nie chciał wydać swej córki za takiego księcia, kandydatki na żonę z niższych warstw dla syna króla polskiego zaś nie wchodziły w grę. Czekało więc Zygmunta życie bez małżonki.

Bez żony, ale nie bez towarzyszki życia. Około roku 1498 spotkał on piękną mieszczkę morawską Katarzynę, tytułującą się de Telinicz lub też używającą nazwiska Ochstat. Katarzyna tak się księciu spodobała, że już w roku 1499 urodziła Zygmuntowi syna nazwanego Janem.



Beata Kościelecka (powyżej), córka Katarzyny Telniczanki. Zygmunt Stary (poniżej)

FOT. ARCHIWUM; BIBLIOTEKA NARODOWA

Młody królewicz związał się z nią tak, jakby była jego żoną, choć ze względu na różnicę stanów nie mógł się z nią ożenić. Mógł jednak zapewnić jej życie takie, jakie przysługiwało księżnej. W 1499 r. dostał bowiem od brata Władysława księstwo głogowskie, w 1501 r. księstwo opawskie, a w roku 1504 brat mianował go namiestnikiem Śląska i Dolnych Łużyc. Katarzyna żyła u boku Zygmunta jak księżna i rodziła mu kolejne dzieci. W 1500 r. przyszła na świat córka Regina, a ok. 1503 r. następna córka Katarzyna.

Zygmunt niewątpliwie kochał swą towarzyszkę życia, gdy jednak w 1506 r. zmarł jego brat król Aleksander, on został królem Polski i Wielkim Księciem Litewskim. Będąc monarchą, musiał sobie jednak znaleźć żonę pochodzącą z monarszej dynastii, a zatem oddalić Katarzynę. Do rozstania doszło w roku 1509, kiedy król ożenił się z Barbarą Zapolya. Nie zapomniał jednak o swej dawnej towarzyszce życia. Nadał jej wysoką coroczną pensję, poczynił inne bogate nadania. Za otrzymane od króla pieniądze mogła ona kupić sobie m.in. kamienicę w Krakowie. Postarał się także o znalezienie jej męża. Został nim nie najmłodszy wprawdzie, ale wierny królowi, podskarbi koronny Andrzej Kościelecki. Wywołało to wprawdzie oburzenie krewnych Kościeleckiego, ale wola króla nie mogła być podważona. Kościelecki zmarł już w 1515 r., kilka miesięcy po jego śmierci Katarzyna urodziła córkę Beatę. Złośliwi mówili, że jest to córka króla.

Zygmunt zadbał też o swoje potomstwo. Gdy Jan dorósł, został biskupem wileńskim. Ponieważ nie mógł się porozumieć z elitami Wielkiego Księstwa, pod koniec życia został przeniesiony na stanowisko biskupa poznańskiego. Również córki królewskie zostały bogato wyposażone i dobrze wydane za mąż. Starsza z nich, Regina, została żoną starosty chęcińskiego Hieronima Szafrańca, pana Pieskowej Skały, młodsza natomiast, Katarzyna, poślubiła hrabiego Jerzego II de Montfort.

Po śmierci męża wdowa zamieszkała w Wilnie u swego syna Jana, biskupa wileńskiego. Mówili, że lubiła zabawy i młode towarzystwo, a także że zajmowała się znachorstwem i czarami. Ale to może tylko plotki nieżyczliwych jej osób. Zmarła w 1528 r. Jej pogrzeb zorganizowała królowa Bona. Królowa zajęła się też najmłodszą córką Katarzyny Beatą, wydając ją za mąż za Ilię Ostrogskiego. Gdy ten umarł, młoda jeszcze wdowa poślubiła Olbrachta Łaskiego.

eprasa.pl bb51fa83aa

„MASOWA DEPORTACJA POLAKÓW MIĘDZY 1863 A 1880 r. BYŁA CHYBA NAJWIĘKSZĄ WYMUSZONĄ MIGRACJĄ EUROPEJCZYKÓW PRZED I WOJNĄ ŚWIATOWĄ. JEJ REZULTAT TO TYSIĄCE OSOBISTYCH TRAGEDII, Z KTÓRYCH TYLKO MAŁA CZĘŚĆ ZOSTAŁA KIEDYKOLWIEK UDOKUMENTOWANA”



Aleksander Sochaczewski, „Pożegnanie Europy”, 1894 r.

NA SYBIR



MAREK J. CHODAKIEWICZ

Jeden z najważniejszych badaczy dziejów systemu więziennictwa Rosji carskiej, w tym od Syberii jako wysypiska dla niepożądanych, australijski historyk Andrew A. Gentes jest autorem solidnej monografii „Masowa deportacja Polaków na Syberię, 1863–1880” (The Mass Deportation of Poles to Siberia, 1863–1880 (Cham: PalgraveMacmillan, 2017). Przedmiotem pracy jest polityka carska w zakresie wywózek syberyjskich oraz imperialne traktowanie mniejszości, Polaków. Mimo to ich straszliwe przeżycia pod Matką Rosją i batiuszką Carem są prawie całkowicie zaniedbane w anglojęzycznej literaturze naukowej.

Australijski historyk proponuje, aby sytuację tę zmienić. Najpierw przedstawia sytuację intelektualną, kulturową i polityczną w Polsce, zwłaszcza wpływ romantyzmu na powstanie styczniowe 1863. Następnie koncentruje się głównie na polskim doświadczeniu sybirackim. Gentes stworzył historię społeczną polskich więźniów politycznych. Większość z nich to katolicy wywodzący się z gminu. Szlachta jednak była nadreprezentowana. „Książka niniejsza to rozważania

FOT. ANDREW A. GENTES, „THE MASS DEPORTATION OF POLES TO SIBERIA, 1863–1880”, PALGRAVEMACMILLAN, 2017

eprasa.pl bb51fa83aa

nad masowymi deportacjami Polaków przez rząd rosyjski w kontekście zarówno zwiększającej się liczby ludności deportowanej oraz samego systemu wypędzania. Pokazujemy, że Aleksander II nie tylko kontynuował państwo policyjne swego ojca Mikołaja I, ale również, że je znacznie rozbudował" – pisze. Czyli Car nie-Wyzwoliciel. Nad Wisłą to może truizm, ale na Zachodzie to rewelacja.

Polskie losy

W latach 1861 i 1881 najliczniejszą kategorią więźniów politycznych byli Polacy. „Właściwie wszyscy deportowani to mężczyźni. Ale nieliczne kobiety też złapał sztorm". Oprócz tych skazanych wiele kobiet na ochotnika dołączyło do swych mężów, ojców czy braci i znalazło się z nimi na Sybirze. Większość z zesłańców to powstańcy albo podejrzani o udział w powstaniu. Do tego należy dołączyć osoby podejrzewane o wsparcie dla buntowszczyków. W tej ostatniej kategorii znaleźli się też księża. „Połowa powstańców deportowanych na Sybir pochodziła z Ziem Zabranych, gdzie etnicznie polskiej ludności było mniej niż nawet Żydów, nie mówiąc już o Litwinach, Ukraińcach i Białorusinach" – pisze autor.

Palono całe zaścianki, wsie równano z ziemią, a mieszkańców en bloc wywożono na Sybir. Tylko w 1865 r. 12 035 osób deportowano z Ziem Zabranych, a w tym 7557 ludzi z gminu (prostoliudiny) oraz 4478 szlachty. Pod koniec 1867 r. na Syberię dotarło 7109 powstańców, w większości szlachciców – 4252. W latach 1868–1869 ponad 9000 osób zesłano z całego zaboru rosyjskiego. Ostatni konwój 46 „kryminalistów" skazanych na zsyłkę za udział w powstaniu styczniowym wyruszył z ziem polskich na daleką północ imperium 16 lipca 1880 r. Nie było przebaczenia!

Większości Polaków nie skazywały na Sybir sądy cywilne. Wielu wpadło pod jurysdykcję sądów wojskowych, które były dużo bardziej bezwzględne. Ale wydaje się, że w wypadku znakomitej większości skazanych Rosja całkowicie odeszła od systemu sprawiedliwości i praworządności. Zamiast tego Polacy cierpieli pod arbitralnym reżimem administracyjnym. Nie sędziowie, tylko biurokraci decydowali o ich losie. System ten wnet został rozszerzony na całe imperium.

„Przygody" więźniów zaczynały się od razu na początku wędrówki na północ i wschód. Czasami więźniowie musieli maszerować na piechotę skuci łańcuchami całą drogę do miejsca przeznaczenia. Niekiedy zajmowało to nawet dwa lata. Często eskorta zachowywała się po ludzku, czasami z powodów chrześcijańskich, ale częściej za łapówki. Niekiedy zdarzało się jednak, że kozacy wyzwierzęcali się nad skazańcami. Najprawdopodobniej największą śmiertelność odnotowywano podczas transportu do miejsca przeznaczenia. Zaskakujące, że na Syberii poziom zgonów był raczej mały. „Najlepszym wytłumaczeniem tego niskiego poziomu śmiertelności jest to, że powstańcy mieli tendencję być młodymi ludźmi i, w porównaniu z przeciętnym rosyjskim zesłańcem, byli dużo bardziej zdrowi" – pisze autor.

Istniało kilka kategorii zesłańców. Najgorszy los czekał katorżników zesłanych na ciężkie roboty. Mogło to oznaczać harówkę w kopalni złota, będąc przykutym do taczki przez 25 lat. Niektórzy zesłańcy mieli więcej szczęścia, potrafili bowiem przełożyć swoją edukację i talenty na intratne zajęcia, które ulżyły ich losowi. Niekiedy nawet w sposób znaczny. Niejeden dostał się do domów kupców czy wyższych urzędników jako guwerner. Mogło się powodzić też inżynierom w kopalnictwie czy innych gałęziach przemysłu. Kilku udało się nawet na miejscu posiąść wiedzę, która pozwoliła im zostać geografami, geologami czy biologami. Większość jednak ledwo wiązała koniec z końcem. Było to jednym z głównych powodów, dlaczego Polacy tak bardzo walczyli o to, by uzyskać przeniesienie z głębokiej wsi syberyjskiej do ośrodków miejskich. W mieście ich los zwykle odmieniał się na lepsze.

Jak podaje Gentes, „relacje między Polakami a Syberyjczykami cechowały się zarówno konfrontacją, jak i przyjaźnią". Odzwierciedlały one zarówno osobiste predylekcje powstańców, jak i generalny stan, w jakim znaleźli się ci nieszczęśnicy. Wokół nich nie było infrastruktury ani prawie żadnych zapasów. Środki na ich utrzymanie były bardzo skromne, jeśli w ogóle istniały. Powstańcy nie mieli sposobu, aby przeżyć jako farmerzy. Ponadto Petersburg i jego lokalni biurokraci rozkazywali, żeby ludzie miejscowi (zarówno tubylcy, jak i Rosjanie) utrzymywali polskich zesłańców.

Wywołało to wiele napięć. Miejscowi oburzali się na Polaków, że ci nie mieli funduszy i spodziewali się utrzymania, a szczególnie żywności, za darmo. Niektórzy Polacy ze swojej strony uważali swych nowych sąsiadów nie za ofiary systemu, ale za donosicieli i pachołków reżimu carskiego. Faktycznie wielu miejscowych donosiło na powstańców. Pomagali nawet wyłapywać uciekinierów.

W takich warunkach, mimo że niektórzy dzielni ludzie rzeczywiście próbowali uciec, tylko niewielu się powiodło. Polacy również strajkowali i buntowali się, ale rezultaty tego były mierne. Dotyczyło to tzw. powstania bałkajskiego z 25 czerwca 1866 r. W każdym razie innym sposobem wydostania się z Syberii było oczekiwać na amnestię albo na akt łaski.

Jałowa represja

Z punktu widzenia wydajności zsyłanie ludzi na Sybir to absolutna strata czasu i środków. Oprócz prześladowania biednych ofiar car na tym zupełnie nie zyskiwał. „Natychmiastowymi konsekwencjami tego, że rząd imperatorski wrzucił tysiące powstańców do systemu karnego, który nie był w stanie ich pomieścić, było to, że system padł, zesłańcy cierpieli i umierali oraz ucieczki zdesperowanych i desperujących były częste" – pisze autor. Mimo to Syberia pod carem nie była tym samym co gułag pod komisarzem: „Wydaje się więc, że jeśli Polak przeżył marszrutę na Sybir i odbył swój wyrok katorgi bądź osiedlenia na wsi, miał on dużą szansę powrócić do domu. Jednak musiał on wracać tą samą drogą, jaką przybył, pokrywając marszrutę więzieniami, stacjami, łapówkarskimi strażnikami i zwykłymi kryminalistami. Ilu Polaków zmarło w ramach repatriacji, nigdy nie będzie wiadomo".

Generalna konkluzja, którą przedstawia Andrew Gentes, jest smutna: „Jak wiele systemów tyrańskich, takich jak brytyjskie Indie, Rosja przeżyła w dużym stopniu dzięki temu, że społeczeństwo kolaborowało na rzecz swojego własnego zniewolenia". Większość rosyjskich chłopów i innych prześladowanych przez stulecia nie zdecydowało się buntować przeciwko władzy carskiej. I tak system trwał. Ale przynajmniej Polacy nie zgadzali się na to. Walczyli. I zapłacili za to wysoką cenę. „The Mass Deportation of Poles to Siberia, 1863–1880" to rzadki prezent na rynku księgarskim o tematyce polskiej, a szczególnie jeśli chodzi o doświadczenie syberyjskie.

eprasa.pl bb51fa83aa

WNIEBOWSTĄPIENIE PAŃS

TRADYCJA KOŚCIOŁA PRZEKAZUJE, ŻE JEZUS W OTOCZENIU SWOICH NAJBLIŻSZYCH ODSZEDŁ DO NIEBA 40 DNI PO ZMARTWYCHWSTANIU



ERWIN JAN KOZŁOWSKI

Taka scena w sztuce chrześcijańskiej pojawia się bardzo wcześnie. Nad grupą Apostołów i Maryi ukazany jest Chrystus, który w mandorli unoszony jest przez aniołów do Nieba. Taki wzór ikonograficzny kontynuowany był w sztuce bizantyjskiej i do dzisiaj kanon taki jest stosowany w prawosławiu. Maryi zawsze towarzyszą aniołowie, co jest nawiązaniem do opisu św. Łukasza (Dz 1, 10-11), wspominającego dwóch mężów w białych szatach. W większości przedstawień centralnie ukazana Maryja stoi na tle góry, z której Jezus odszedł do swojego Ojca (według św. św. Mateusza i Łukasza).

Wzorce z Ewangelii

Za ewangelistą Łukaszem, który dosłownie podaje nazwę góry, przyjmujemy, że wydarzenie to miało miejsce na Górze Oliwnej (Dz 1, 12). Góra ta pojawia się więc w prawie wszystkich scenach czy to malarskich, czy rzeźbiarskich, jakie pozostawili nam artyści. Ciekawostką jest to, że w sztuce gotyckiej uformował się nowy kanon sceny Wniebowstąpienia, inny od bizantyjskiego prototypu. Co więcej, został on uzupełniony o pewien szczegół, nieobecny wcześniej (także w sztuce romańskiej) i pomijany w później powstałych dziełach. Przede wszystkim zamiast całej postaci Chrystusa widoczne są tylko znikające w chmurach Jego stopy, na szczycie góry zaś, wokół której grupują się apostołowie z Maryją, wyraźnie widać odciśnięte ślady stóp.

Sztuka gotycka spełniała przede wszystkim funkcję dydaktyczną, dlatego niekiedy można błędnie przypuszczać, że ukazywanie odcisków stóp Jezusa to tylko zabieg artystyczny, który ma podkreślać wstąpienie Jezusa do Nieba. Średniowieczny artysta musiał się posługiwać czytelnym i jednoznacznym dla odbiorcy obrazem. Dlatego góra musi być górą i nieważne jest to, że w przedstawieniach gotyckich wygląda ona zupełnie inaczej niż jej pierwowzór.

W rzeczywistości Góra Oliwna jest niewielkim pasmem górskim ciągnącym się na długości ok. 3 km i stanowi naturalne zabezpieczenie Jerozolimy przed oddziaływaniem położonej za nią Pustyni Judzkiej. Wierzchołek góry to właściwie płaskowyż o kilku trudnych dziś do zauważenia szczytach. Ponieważ góruje ona ok. 100 m nad Świętym Miastem, przybywają tutaj tłumy turystów, aby z jej poziomu podziwiać panoramę Starego Miasta.

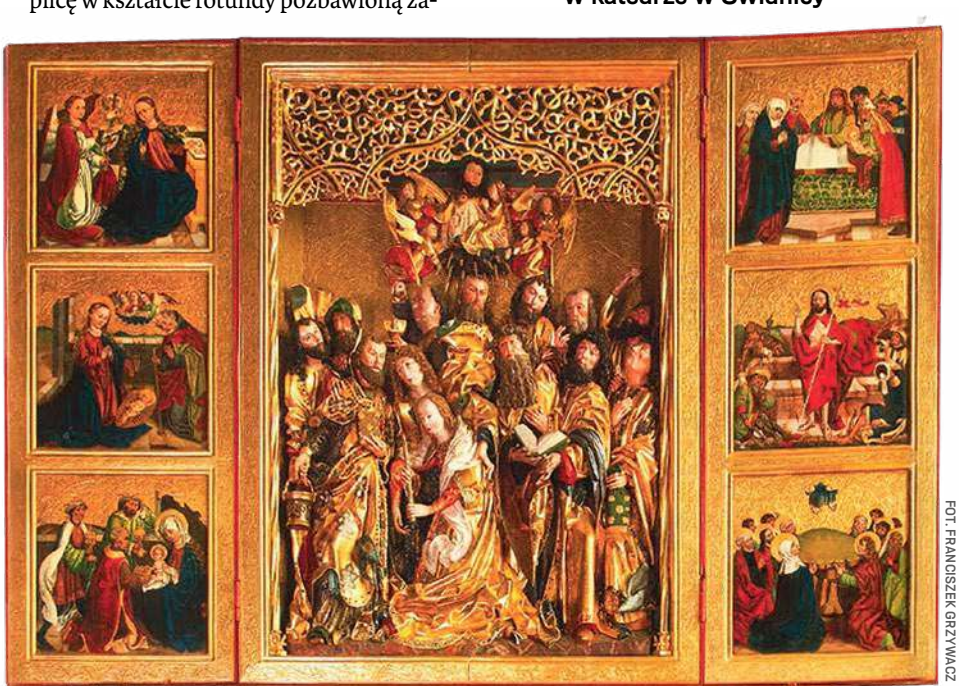
Dzieje i uczczenie miejsca

Świadomość, który ze szczytów jest miejscem Wniebowstąpienia, istniała w gminie chrześcijańskiej Jerozolimy od czasów apostolskich. Dlatego w IV w. tam właśnie (808 m n.p.m.) wzniesiono pierwszą kaplicę w kształcie rotundy pozbawioną zadaszenia. Jej nazwa po grecku brzmi Imbomon, czyli „na szczycie". W jej sąsiedztwie zbudowano majestatyczną bazylikę Elaion i rozwijało się życie monastyczne, brutalnie przerwane przez krwawy najazd Persów w 614 r.

Dzisiaj przybywający z różnych zakątków świata pątnicy, chcąc nawiedzić to miejsce, muszą wnieść odpowiednią opłatę. Kaplica nie należy bowiem do chrześcijan. Z polecenia Saladyna, muzułmańskiego władcy, który w 1187 r. zajął Jerozolimę, kaplica ta stała się własnością muzułmanów. Ci zaś przebudowali ją na meczet i sprzedają bilety wstępu.

Pielgrzymi, wchodząc do wnętrza obecnego meczetu, stają przed odsłoniętym fragmentem litej skały będącej szczytem góry. Posadzka pomieszczenia nie zakrywa go. Co więcej, widoczne w skale zagłębienie tradycja chrześcijańska uznaje za odcisk prawej stopy Chrystusa. Jeszcze za czasów krzyżowców znajdowało się tu-

Wniebowstąpienie przedstawione na prawym skrzydle ołtarza w katedrze w Świdnicy



FOT. FRANCISZEK GRZYWACZ

eprasa.pl bb51fa83aa

KIE W SZTUCE GOTYCKIEJ

taj drugie, bliźniacze wklęśnięcie pozostawione przez lewą stopę naszego Zbawiciela. W Islamie Chrystus jest czczony jako prorok, a wyznawcy Allaha wierzą w jego Wniebowstąpienie. Muzułmanie, akceptując tradycję chrześcijańską, odłupali fragment skały i przenieśli lewy odcisk stopy do meczetu Al-Aqsa. Ich postępowanie jest dowodem zarówno właściwej lokalizacji miejsca wniebowstąpienia, jak i przekonania, że widoczne do dziś zagłębienia na szczycie są rzeczywistymi odciskami, które pozostawił Chrystus.

Ukazywanie tych odcisków w dziełach sztuki gotyku jest echem tego przekonania, które dotarło do Europy i zostało upowszechnione. Okres wypraw krzyżowych przypadający na XI–XIII w. był czasem, kiedy zachodnioeuropejscy pątnicy masowo przybywali do Ziemi Świętej, aby nawiedzać poszczególne miejsca związane z Chrystusem. W końcu XII w. mimo zajęcia Jerozolimy przez Saladyna ruch pątniczy był kontynuowany. Krzyżowcy i pielgrzymi, wracając do Europy, zdawali relację z tego, co zobaczyli w Jerozolimie. Informacje takie przynosili też sprowadzani z Królestwa Jerozolimskiego zakonnicy i duchowni (bożogrobcy, karmelici). Artystom przypadło zadanie popularyzacji tych wiadomości. Dlatego sztuka gotycka zapoczątkowana jeszcze w okresie krucjat, a następnie rozwijająca się bezpośrednio po nich, jest odbiciem ówczesnej wiedzy o miejscach świętych, także o miejscu Wniebowstąpienia Pańskiego.

Przedstawienia w Polsce

Na terenie Polski tak jak w Europie Zachodniej odnajdujemy liczne świadectwa utrwalające tę wiedzę od XIV do XVI w. Najbardziej nam znaną scenę Wniebowstąpienia widzimy w odpowiedniej kwaterze Ołtarza Mariackiego w Krakowie ukończonego w 1489 r. Co prawda mistrz z Norymbergi nie umieścił w swojej kompozycji stóp Jezusa znikających w chmurze, ale zgodnie z wypracowanym kanonem odbite ślady stóp odznaczają się wyraźnie na szczycie góry i stanowią dominantę całej kompozycji.

Przykłady pełnego kanonu tej sceny (ze stopami i ich odciskami) spotykamy



FOT. KATARZYNA BUCŁAW

Wniebowstąpienie przedstawione na obrazie temperowym w kościele św. Jakuba w Toruniu

w kilku zabytkach śląskich. Są one eksponowane w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. W obu przypadkach są to także kwatery skrzydeł ołtarzowych. Jeden datowany na ok. 1420 r. i pochodzi prawdopodobnie z Legnicy. Drugi z dawnego wyposażenia kościoła pw. św. Jana Chrzciciela w Pasieczniku datowany jest na ok. 1480 r. Inny przykład znajdziemy w miejscu swego pierwotnego przeznaczenia, czyli w świdnickiej katedrze. W tamtejszej kaplicy bractwa maryjnego, nazywanej chórem mieszczan, znajduje się najstarszy ołtarz świątyni z 1492 r. Jest on poliptykiem i na jego prawym skrzydle w trzeciej dolnej kwaterze widzimy Wniebowstąpienie w całości zgodne z kanonem.

Przechodząc do innego obszaru Polski, w Toruniu w kościele św. Jakuba odnajdziemy obraz temperowy na desce o bardzo dużych rozmiarach (274 x 221 cm) datowany na czas po 1480 r. Obraz przedstawia Pasję obejmującą 22 sceny wraz z zamykającymi cykl Zmartwychwstaniem i interesującym nas Wniebowstąpieniem.

Taką samą, a zarazem starszą od wymienionych, kanonicznie ukazaną scenę znajdziemy jako zakończenie cyklu malarskiego na ścianie kościoła w Skotnikach Sandomierskich fundacji arcybiskupa gnieźnieńskiego Jarosława Bogorii Skotnickiego. Kościół został poświęcony w 1370 r. i zapewne już wtedy lub nieco później zostały wykonane malunki na jego ścianie.

Kanoniczny motyw Wniebowstąpienia pojawił się także w malarstwie miniaturowym, czego dowodem jest Graduał Jana Olbrachta z początku XVI w. Tutaj scena ta zdobi inicjał litery V rozpoczynający cytat z Dziejów Apostolskich, czyli od słów „Viri Galilei".

Malarskie podróże

Chociaż Polacy stanowili dość skromną grupę średniowiecznych pątników docierających do Palestyny, to jednak relacje o miejscach świętych w Jerozolimie odnajdywali i odczytywali z ołtarzy oraz malowideł swoich kościołów. Dzięki artystom, którzy popularyzowali te relacje, ludzie średniowiecza wiedzieli, że Chrystus pozostawił ślady swoich stóp na szczycie Góry Oliwnej.

Niestety w późniejszych renesansowych czy barokowych scenach Wniebowstąpienia motyw ten zaczyna być pomijany, aż całkowicie zanika. Procesu tego nie należy wiązać ze wzrastającym sceptycyzmem każącym powątpiewać w prawdziwość tradycji. Wynika on raczej z uwarunkowań politycznych ówczesnego Bliskiego Wschodu.

Proces napływu pielgrzymów został zahamowany po zajęciu tych terenów przez Turków Osmańskich w początku XVI w. Dlatego wcześniejsza wiedza z przyczyn obiektywnych (zmiany polityczne na Bliskim Wschodzie i nowe tendencje w sztuce) zatarła się.

Dzisiaj, dysponując lepszymi możliwościami komunikacyjnymi, sami możemy stanąć przed skałą Wniebowstąpienia na szczycie Góry Oliwnej. Nasi przodkowie z uwagi na trudności komunikacyjne i ogromne koszty podróży nie mogli tak licznie jak my docierać do Jerozolimy, aby adorować autentyczne ślady stóp Chrystusa. Jednakże dzięki gotyckim mistrzom warsztatów malarskich lub rzeźbiarskich mogli doświadczyć tego świętego miejsca w swoich parafialnych kościołach.

eprasa.pl bb51fa83aa



CZŁOWIEK O ŻELAZNYM SERCU

FILM „KRYPTONIM HHhH" TO BARDZO DOBRE STUDIUM KARIERY JEDNEGO Z CZOŁOWYCH NIEMIECKICH DYGNITARZY III RZESZY – REINHARDA HEYDRICHA. TO TAKŻE PRZYKŁAD, ŻE ZAINTERESOWANIE KINEMATOGRAFII ZAMACHEM NA JEGO ŻYCIE NIE SŁABNIE



KAROL MAZUR

Pierwszy film na ten temat powstał już niecały rok po wydarzeniu. Pod koniec marca 1943 r. do amerykańskich kin weszła produkcja „Kaci także umierają", nakręcona na potrzeby alianckiej propagandy, gdzie rolę Heydricha zagrał aktor o polsko brzmiącym nazwisku Twardowsky. Po wojnie powstawały kolejne filmy – czechosławacki „Zamach" z 1964 r. i w koprodukcji czechosłowackiej, jugosłowiańskiej i amerykańskiej – „Operacja Daybreak" z 1975 r. W XXI w. producenci ponownie dostrzegli potencjał filmowy w historii zamachu na Heydricha, czego owocami są dwa znakomite obrazy: „Operacja Anthropoid" z 2016 r. oraz „Kryptonim HHhH" z 2017 r. Pierwszy opisywałem już w niniejszym cyklu. Przypomnijmy, że film jest dość wierną rekonstrukcją wydarzeń. Ukazuje przede wszystkim losy zamachowców – Słowaka Josefa Gabčika i Czecha Jana Kubiša, od momentu zrzucenia ich na spadochronach do Czech, poprzez przygotowania i przeprowadzenie zamachu, aż po ich tragiczną śmierć w oblężonej przez Niemców praskiej cerkwi Cyryla i Metodego. „Kryptonim HHhH" wzbogaca całą historię o inną perspektywę. Ukazuje przebieg kariery samego Obergruppenführera SS Reinharda Heydricha. Reżyserem filmu jest Francuz Cédric Jimenez, ale całość powstała w koprodukcji Belgii, Francji, USA i Wielkiej Brytanii na kanwie powieści francuskiego pisarza Laurenta Bineta o tym samym tytule. Pod skrótem HHhH kryje się zaś niemieckie zdanie „Himmlers Hirn heisst Heydrich", co znaczy „Mózg Himmlera nazywa się Heydrich". Sformułowanie to podkreśla oczywiście pozycję „kata Pragi" w aparacie władzy III Rzeszy tuż obok dowódcy SS Heinricha Himmlera. Za granicą film dystrybuowany jest też z podtytułem: „człowiek o żelaznym sercu" w nawiązaniu do zwrotu, którym miał określać Heydricha sam Hitler. Przez połowę filmu możemy oglądać, w jaki sposób „mózg Himmlera" zdobywał kolejne awanse w strukturach NSDAP. Poznajemy go na początku jako ambitnego oficera niemieckiej marynarki wojennej, którego kariera niemal nie runęła przez skandal obyczajowy. Heydrich wdaje się bowiem w romans ze znajomą jednego ze swoich przełożonych, a potem próbuje się tego wyprzeć. Kończy się to sądem oficerskim i wydaleniem aroganckiego oficera z armii. W tym czasie Heydrich poznaje swoją przyszłą żonę Linę von Olsen, która wciąga go do rosnącej w siłę partii Hitlera. Tam za rekomendacją Himmlera Heydrich zostaje szefem wywiadu SS, z którego wyrasta SD, czyli Służba Bezpieczeństwa. Po rozprawie z siłami SA podczas sławetnej nocy Długich Noży w 1934 r. kariera Heydricha nabiera tempa. Zostaje kolejno szefem Gestapo, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i wreszcie od września 1941 r. protektorem Czech i Moraw. Druga połowa filmu to w zasadzie powtórzenie historii znanej już z „Operacji Anthropoid", czyli pokazanie przygotowania, realizacji i konsekwencji praskiego zamachu z 27 maja 1942 r. Przy czym w porównaniu z tymże „Kryptonim HHhH" wygląda nieco słabiej. Widać, że niektóre sceny zostały nakręcone w pośpiechu. Rażą też niektóre przeinaczenia (nierzeczywista samobójcza śmierć jednego z liderów czeskiego ruchu oporu Wacława Moravka na balkonie) i błędy w pokazaniu zasad konspiracji (przekazywanie meldunku z ręki do ręki na ławce w miejscu publicznym). Mniej przekonująco pokazany został też dylemat zamachowców: czy warto zabijać protektora, narażając rodaków na niewyobrażalną falę represji? Nie uważam jednak, że ten fragment filmu jest niepotrzebny, jak to widzi część krytyków. Gdyby twórcy zatrzymali się tylko na pokazaniu biografii Heydricha, mogłaby niechcący wyjść z tego jego apoteoza, a tak widzimy dobrze, kogo czescy cichociemni zabili i dlaczego. W produkcji jest jednak jedna scena, która musi wywołać sprzeciw historyka. Podczas walk na froncie wschodnim Heydrich szantażuje dowódcę niemieckiej armii kompromitującymi materiałami obyczajowymi, aby wymusić na nim współpracę z osławionymi Einsatzgruppen, które mają za zadanie „czyszczenie" zdobycznych ziem z niepewnych elementów, czyli zabijanie miejscowej elity i Żydów. Tym samym autorzy filmu niepotrzebnie powielają mit o szlachetności Wehrmachtu w opozycji do zbrodniczej natury SS.

FOT. MAT. PRASOWE

eprasa.pl bb51fa83aa

GÓRNA PÓŁKA

Tatarkiewicz



ANTONI DUDEK

Nie wiem, jak jest obecnie, ale przez bardzo długie lata, na przełomie minionego i obecnego stulecia, podstawowym podręcznikiem wykorzystywanym w Polsce podczas uniwersyteckiego kursu filozofii była trzytomowa praca prof. Władysława Tatarkiewicza. Teraz mamy okazję poznać autora tej fundamentalnej lektury od innej, bardziej osobistej strony. Tatarkiewicz przez większość życia prowadził bowiem skrupulatne zapiski. Wprawdzie te z pierwszych ponad 30 lat jego życia spłonęły wraz z mieszkaniem profesora podczas powstania warszawskiego, ale nie zniechęciło go to do ich wznowienia i prowadzenia przez kolejnych kilka dekad.

Pierwszy tom „Dzienników" Tatarkiewicza obejmuje lata 1944–1960, a poprzedza go bardzo obszerny, ponad 200-stronicowy zarys biografii autora, z niejasnych dla mnie powodów doprowadzony przez zespół prof. Radosława Kuliniaka (D. Leszczyna, M. Pandura, Ł. Ratajczak) jedynie do wybuchu wojny. Ten wstęp pokazuje nam postać syna warszawskiego adwokata, który zamiast pójść w ślady ojca, wybrał studia filozoficzne w Zurychu, Berlinie, a wreszcie w Marburgu, uwieńczone tam doktoratem na temat Arystotelesa. Jednak mimo wybitnych talentów analitycznych, potwierdzonych habilitacją uzyskaną w 1919 r., Tatarkiewicz jeszcze przez kilka lat musiał walczyć o uzyskanie katedry na Uniwersytecie Warszawskim. I właśnie wyłaniający się z tych zmagań obraz środowiska akademickiego w II RP, a także dzieje powstawania najbardziej znanego dzieła Tatarkiewicza – czyli wspomnianej „Historii filozofii" – którego większość napisał w drugiej połowie lat 20., należą do najciekawszych fragmentów tego wstępu.

Właściwe dzienniki rozpoczynają się od dramatycznych wspomnień ucieczki profesora z ogarniętej powstaniem Warszawy, by później przenieść nas do Krakowa, gdzie Tatarkiewicz trafił wraz z wieloma innymi stołecznymi akademikami. Nie jest to lektura sensacyjna. Trudno stwierdzić, czy to z obawy przed wpadnięciem zapisków w niepowołane ręce, czy też z racji filozoficznego dystansu do rzeczywistości, Tatarkiewicz nader rzadko notował swoje refleksje dotyczące życia społecznego, czy tym bardziej politycznego. Dość powiedzieć, że śmierci Stalina poświęcił ledwie jedno zdanie, choć to jego wyznawcy odsunęli go w 1950 r. od zajęć ze studentami i zablokowali na kilka lat wydanie trzeciego tomu „Historii filozofii". Jest za to bardzo dużo o przeczytanych książkach, obejrzanych filmach czy podróżach, które Tatarkiewicz uwielbiał.



W. Tatarkiewicz, „Dzienniki. Lata 1944–1960", Kęty 2019

POLSKIM OKIEM

22 czerwca – o dniu ów...



RYSZARD CZARNECKI

22 czerwca 1941 r. „najlepszy sojusznik Hitlera" – by użyć tytułu książki Aleksandra Bregmana – czyli Rosja sowiecka, łamiąc pakt zawarty między byłym reprezentantem Kanady w hokeju, niemieckim arystokratą Joachimem von Ribbentropem a rosyjskim arystokratą na usługach „czerwonej Rosji" (by użyć pojęcia wymyślonego przez Jana Kucharzewskiego) Wiaczesławem Skriabinem – partyjny pseudonim „Mołotow" – uderzyła na niemiecką III Rzeszę.

Była to dla Polski świetna wiadomość. Gdy nasi zachodni i wschodni sąsiedzi brali się za łby, to dla Polaków – obojętnie z własnym państwem czy bez – zawsze był z tego jakiś pożytek. Ale data 22 czerwca do historii przejdzie nie tylko z tego powodu. 451 lat wcześniej Rzeczpospolita zawarła z Moskwą pokój. Realistycznie zawarto go tylko na trzy lata...

Pozostając przy stosunkach polsko-rosyjskich, to właśnie 22 czerwca, tyle że 1768 r., przeszedł do historii w sposób szczególny: podczas starcia konfederatów barskich z Moskalami krakowski mieszczanin Marcin Oracewicz zabił z pistoletu rosyjskiego dowódcę – nie byłoby w tym może nic dziwnego, ale ów dzielny krakus zamiast kuli użył... guza (guzika) z kontusza. Dotąd, po upływie przeszło dwóch i pół wieku, czci się jego pamięć, wręczając zasłużonym braciom kurkowym w dawnej stolicy „Guz Oracewicza".

Jakoś data 22 czerwca jest szczególnie związana z nasza walką z Rosją. Tegoż dnia 1812 r. w Wyłkowyszkach cesarz Napoleon rozkazem dziennym ogłosił początek tzw. drugiej wojny polskiej, czyli wojny z Rosją.

A równo, co do dnia, dwie dekady wcześniej ostatni polski król Stanisław August Poniatowski, jaki był, taki był, ale ustanowił coś naprawdę ponadczasowego: Order Virtuti Militari.

22 czerwca 1941 r. Sowieci wykonali wyrok śmierci na „Białym Kurierze" – Szczepanie Michalskim, pierwszym w Polsce harcmistrzu robotniku. W II RP zwolniony ze służby wojskowej, był podczas okupacji niemiecko-sowieckiej szefem ZWZ w Drohobyczu. Aresztowany nikogo nie wydał. Więziony był w Drohobyczu, Stryju, Samborze, Kijowie – w którym oddał życie za Polskę – pochowany w Bykowni. Czyż nie jest to postać godna filmu?

Rozpocząłem od szczęśliwego dla Polski wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. I na tym zakończę. Tego samego dnia w więzieniu w Augustowie pogranicznicy NKWD zamordowali w areszcie 34 więźniów. Jak widać, Rosja sowiecka nawet atakowana przez Niemcy Hitlera nie zapomniała o mordowaniu Polaków...

eprasa.pl bb51fa83aa



RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Setna rocznica zwycięstwa 1920 r.

Andrzej Nowak, „Klęska imperium zła. Rok 1920", Biały Kruk, Kraków 2020
Balázs Ablonczy, „Pál Teleki (1879–1941)", Wydawnictwo IPN, Warszawa 2020

W tym roku przypada setna rocznica polskiego zwycięstwa nad bolszewicką Rosją w 1920 r., które uratowało nie tylko naszą ojczyznę, lecz również całą Europę przed katastrofą komunistyczną. Jednym z najlepszych i najbardziej wnikliwych badaczy tego zagadnienia jest prof. Andrzej Nowak, który przygotował specjalną publikację poświęconą temu wydarzeniu, zatytułowaną trafnie „Klęska imperium zła". Przybliża on w skondensowanej formie sposób, genezę, przebieg i efekty wojny polsko-sowieckiej. Lata badań pozwoliły autorowi na przedstawienie tej niełatwej tematyki na 150 stronach syntetycznego tekstu, z pewnością ku zadowoleniu czytelników, także nieobeznanych z prezentowaną w publikacji problematyką. Do najciekawszych fragmentów książki należy bez wątpienia przedstawienie w dokładny sposób planów sowieckich, zgodnie z którymi zniszczenie Polski miało być dopiero wstępem do rewolucji komunistycznej na całym kontynencie. Determinacja Polaków oraz doskonały plan kontrofensywy przygotowany przez gen. Tadeusza Rozwadowskiego spowodowały klęskę czerwonego wroga. Zaletą dzieła krakowskiego historyka jest jednak nie tylko precyzyjne odtworzenie przebiegu wojny 1919–1920, które znalazło się w pierwszym rozdziale książki, lecz również nakreślenie w trzech kolejnych częściach jej szerszego kontekstu. W rozdziale drugim Nowak opisał, jak to ujął: „głębsze źródła zwycięstwa". Zaliczył do nich: polską myśl antykomunistyczną, prometeizm oraz światopogląd Józefa Piłsudskiego, który można potraktować jako ważny element myśli antyimperialnej. Szczególnie cenne jest wskazanie, że polskie spojrzenie na komunizm jako ideologię miało w wielu aspektach prekursorski charakter. W części trzeciej autor przedstawił z kolei reakcje państw zachodnich (ze szczególnym uwzględnieniem Wielkiej Brytanii, USA i Francji) na wojnę polsko-bolszewicką. Udowodnił w niej bezmyślność Brytyjczyków, którzy byli gotowi na bardzo dalekie ustępstwa wobec sowieckiej Rosji, oczywiście naszym kosztem. Wskazał także na złudzenia, jakie panowały w ocenie systemu sowieckiego w Stanach Zjednoczonych. W ostatniej części publikacji Nowak opisał, jak wygląda obecnie walka o pamięć o wydarzeniach 1919–1920. Opisał w niej zabiegi komunistycznej oraz współczesnej rosyjskiej propagandy mającej przedstawić stronę sowiecką jako walczącą o sprawiedliwość i będącą poszkodowaną przez rzekomy polski imperializm. Cennym uzupełnieniem książki są pierwszy raz publikowane zdjęcia autorstwa kpt. Paula de Silvy, uczestnika kampanii, pokazujące jej przebieg z punktu widzenia zwykłego żołnierza.

Inną publikacją, na jaką warto zwrócić uwagę w szerokim kontekście rocznicy zwycięstwa Polski nad bolszewicką Rosją, jest biografia Pála Telekiego autorstwa Balázsa Ablonczyego, wydana nakładem wydawnictwa IPN. Węgierski historyk przybliża w niej w syntetyczny sposób całość życia i działalności węgierskiego premiera. Jest to pierwsza opublikowana w Polsce biografia tego wybitnego polityka, dzięki któremu wygranie kampanii z 1920 r. stało się w ogóle możliwe. To właśnie staraniem Telekiego w kluczowym momencie walk z bolszewikami otrzymaliśmy olbrzymi transport z amunicją i wyposażeniem



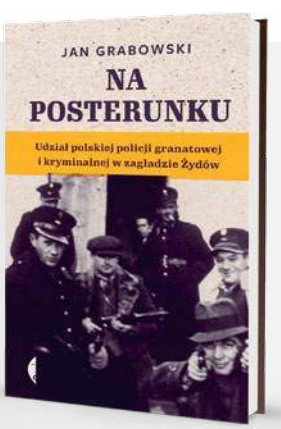
eprasa.pl bb51fa83aa

wojskowym. Autor książki nie skupia się tylko na tym ważnym dla nas momencie biografii węgierskiego premiera, lecz prezentuje w pełny sposób jego sylwetkę. Ablonczy pokazuje, jak Teleki łączył w swoim życiu rolę badacza, wychowawcy, ideologa i polityka. Szczęśliwie dla czytelników nie popada przy tym w hagiografię, pisze o bohaterze swoich rozważań w stonowany sposób, nie pomijając jego błędów, złudzeń ani trudniejszych momentów w życiorysie. Tego typu ujęć potrzeba zdecydowanie więcej na polskim rynku wydawniczym. Jeśli chodzi o węgierskich bohaterów narodowych, przydałoby się analogiczne przybliżenie życia i działalności prymasa Józefa Midszentego.

„Biuletyn IPN" 2020, nr 6: Prymas Tysiąclecia



W czerwcu br. planowana była beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego. Z tej okazji cały czerwcowy numer „Biuletynu" IPN został poświęcony prezentacji różnych elementów życia i nauczania Prymasa Tysiąclecia. Czytelnicy miesięcznika wydawanego przez IPN mogą w nim odnaleźć teksty kilkunastu autorów, którzy prezentują znane i mniej znane aspekty życiorysu tego wielkiego hierarchy. Paweł Skibiński w swojej analizie przybliżył ciągle słabo znaną służbę kard. Wyszyńskiego dla Kościoła powszechnego. Zwrócił uwagę, że znaczenie jego działalności wychodzi daleko poza polskie granice. W innych tekstach autorzy opisali m.in. związki prymasa z Armią Krajową; relacje ze współpracownikami (warto zwrócić uwagę, że Ewelina Ślązak ciekawie opisuje stosunki prymasa z bp. Michałem Klepaczem); koncepcje Jasnogórskich Ślubów Narodu; stosunek prymasa do Ziem Zachodnich; jego działalność na Soborze Watykańskim II; aktywność za wschodnią granicą; relacje z „Ósemką", czyli późniejszym Instytutem Prymasowskim, oraz z ruchem Rodzina Rodzin. Warto szczególną uwagę zwrócić na teksty Andrzeja Grajewskiego i Jana Żaryna. Pierwszy z nich przedstawił, korzystając z nieznanych wcześniej dokumentów KGB, obraz działalności kardynała w ocenie tej służby wywiadowczej. Z kolei warszawski badacz opisał, w jaki sposób prymasowi udało się przeprowadzić polski Kościół przez trudne lata komunistycznej dyktatury. Teksty zamieszczone w miesięczniku pokazują, że choć o kard. Wyszyńskim wiemy już bardzo dużo, to ciągle istnieją w jego życiorysie luki badawcze, które historycy dziejów najnowszych powinni wypełnić. Przykładowo – bez wątpienia przydałaby się monografia obrazująca w całościowy sposób jego nauczanie skierowane do różnych grup społecznych czy też analiza skomplikowanych relacji kardynała ze środowiskiem tzw. katolików postępowych.



Jan Grabowski, „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów", Czarne, Wołowiec 2020

Jan Grabowski należy do historyków, którzy pragną uchodzić za odważnych i kontrowersyjnych przez prezentowanie ciemnych kart polskich dziejów. Jego kolejne książki zamiast realizacji tego ambitnego zadania prezentują historie naszej ojczyzny w sposób wykrzywiony, nacechowany kalkami ideologicznymi oraz niechęcią do Polski. Poza tym jego prace pełne są manipulacji źródłowych (na czele z fałszowaniem cytatów), faktograficznych (prezentowania wydarzeń w zupełnie inny sposób, niż one rzeczywiście przebiegały) oraz interpretacyjnych (przypisywanie Polakom niemal wyłącznie złych cech, prezentowanie Żydów tylko w pozytywnym świetle). Publikacja dotycząca policji granatowej i kryminalnej działającej w okresie niemieckiej okupacji jest kolejnym na to dowodem. Manipulację widać już w samym tytule książki, policja granatowa nie była bowiem polską instytucją, tylko niemiecką, powołaną przez okupanta! Taki zabieg ma prowadzić do przypisania odpowiedzialności za jej działalność Polsce jako państwu. W dalszej części książki nie jest lepiej. Autor za wszelką cenę stara się udowodnić, że wymienione w tytule instytucje ponoszą odpowiedzialność za zagładę kilkuset tysięcy Żydów w Polsce. Pomijając zupełny brak precyzji, nie przytacza na to żadnych dowodów, poza własnymi przekonaniami (które zresztą zostały poddane już wcześniej negatywnej weryfikacji przez wielu badaczy). O nastawieniu ideologicznym świadczy również to, że z rozważań autora znika zupełnie niemiecki okupant, Polacy występują tylko jako zbrodniarze bądź ich pomocnicy, Żydzi wyłącznie zaś w roli ofiar. Tak uproszczony obraz obraża i wypacza pamięć wszystkich ofiar II wojny światowej na polskich ziemiach.

Dzieła dr. Grabowskiego przez stosowane przez niego manipulacje i używany „warsztat naukowy" powinny być traktowane jako pseudonaukowa publicystyka bez żadnej wartości merytorycznej. Polscy historycy reagują pisaniem krytycznych recenzji jego ustaleń, powinni jednak czynić więcej zabiegów, by były one znane również w międzynarodowym obiegu naukowym.

REKLAMA



Reklama/63/0120/F

eprasa.pl bb51fa83aa

Rafał Łatka rozmawia z...

...MARIUSZEM OLCZAKIEM o jego albumie poświęconym Ryszardowi Białousowi



Jak ważna dla naszej pamięci o konspiracji w czasie okupacji niemieckiej jest historia batalionu „Zośka”?

Mariusz Olczak: To symbol, na którym wychowały się pokolenia polskich harcerzy i uczniów. To jedna z najbardziej znanych opowieści o Armii Krajowej. Właśnie za jego pośrednictwem uczyliśmy się polskich losów w okresie wojny. Widać, że jeszcze dzisiaj ta opowieść przyciąga wielu, szczególnie młodych ludzi, którym imponuje na pewno bezkompromisowość, ideowość i jednoznaczność tych „zośkowych” postaci. Jeszcze dzisiaj odbywa się wiele uroczystości rocznicowych, w których uczestniczy już tylko kilku żyjących żołnierzy oddziału, tradycję którego dziedziczy dumnie pododdział dowodzenia i zabezpieczenia Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu. To przykład również dla żołnierzy WOT, odwołujących się do tradycji Armii Krajowej.

W niedawno wydanym albumie przybliża pan postać dowódcy batalionu Ryszarda Białousa ps. Jerzy. Ile wiemy o jego życiu?

Album to przypomnienie wspaniałej postaci, którą w PRL starano się zmarginalizować i wyrzucić z pamięci. Wystarczy wspomnieć, że nie ukazały się drukiem jego wspomnienia, że w „Pamiętnikach żołnierzy batalionu »Zośka«” nie dano mu umieścić przedmowy, a z tekstów umieszczono tylko jeden. Emigrant, który krytykował komunistyczne władze, nie miał szans na opowiedzenie swojej historii. Udało się to dopiero podczas jedynej jego wizyty w kraju po wojnie, w 1974 r., kiedy przyjechał pożegnać umierającego ojca.

Jakim był dowódcą i jak duży miał wpływ na swoich podkomendnych?

„Jerzy” pochodził z tego samego pnia, z którego wyrośli jego podkomendni – z polskiego harcerstwa. To zbliżało, zwłaszcza że niektórych znał jeszcze z grup szturmowych Szarych Szeregów. Potrafił o nich dbać i o nich walczyć. Najlepszym przykładem jest jego ostre pismo do dowódcy „Sztuki” Jana W. Kiwerskiego ps. Rudzki z 4 października 1943 r., w którym upomniał się o odznaczenia dla swoich ginących żołnierzy, krytykując jednocześnie biurokratycznych „gryzipiórków” w sztabie wstrzymujących awanse i odznaczenia.

W książce znajdują się wspomnienia i korespondencja Białousa, które pana staraniem trafiły z Argentyny do zbiorów AAN. Co jest w tych materiałach najciekawszego i jak trafiły do państwa?

Cała spuścizna trafiła do AAN dzięki wsparciu kilku osób i instytucji, ale przede wszystkim rodziny „Jerzego” – mieszkających w patagońskim Neuquen synów Jana i Jerzego Białousów. Przekazali oni do Polski archiwum ojca, które odebraliśmy w 2007 r. z rąk minister spraw zagranicznych Anny Fotygi. Kontakt z nimi mam do dzisiaj. Obecnie w drodze do Polski jest mundur „Jerzego” wraz z Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Harcerskim. Razem z wykonaną przez „Jerzego” w 1949 r. płaskorzeźbą Matki Boskiej Ostrobramskiej trafi on na wystawę stałą Muzeum Historii Polski.

W albumie jest bogata i ciekawa ikonografia.

Rzeczywiście, udało się wykorzystać bogate archiwum fotograficzne zgromadzone przez rodzinę Białousów. Wiele z fotografii miałem dzięki temu okazję pokazać po raz pierwszy. Ciekawym elementem albumu są również drzeworyty Białousa – uzdolnionego plastycznie architekta. Po raz pierwszy również prezentuję ciekawe dokumenty z akcji Kedywu i samej „Zośki”. Jak to jednak zawsze bywa po opublikowaniu ciekawych źródeł i fotografii, krótko potem odnajdują się kolejne równie interesujące. Kilka tygodni po edycji albumu dostałem z Argentyny następną dużą partię fotografii.

Proszę opowiedzieć o kolejnej przygotowywanej przez pana publikacji.

Przygotowaliśmy z prof. Hubertem Borysem bliźniaczy album poświęcony jego ojcu – cichociemnemu Adamowi Borysowi ps. Pług, Bryl, Pal, Kar, twórcy i dowódcy oddziału Agat-Pegaz-Parasol. Porównanie losów postaci dowódców dwóch harcerskich batalionów wypada bardzo ciekawie. Widać zarówno podobieństwa, jak i dzielące ich różnice. W zupełnie różnych miejscach znaleźli się po wojnie, prowadząc różne życie. Więcej ich dzieliło, niż łączyło. Niemniej mimo dalekiej emigracji w przypadku „Jerzego” i systemu komunistycznego, w którym żył „Pług” – obaj wychowali swoich synów na polskich patriotów szanujących polską tradycję narodową. To na pewno coś, co mówi o „Jerzym” i „Pługu” więcej niż niejedna historyczna relacja.

FOT. EAST NEWS/MICHAŁ WOŹNIAK

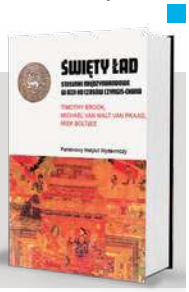
Zrozumieć Azję



ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Nawet ci, którym słowa takie jak geopolityka czy globalizacja nie przeszły nigdy przez usta, wiedzą (czy odczuwają), że to, co dzieje się tysiące kilometrów od nich, może mieć i ma poważny – pozytywny lub bardzo dotkliwy – wpływ na ich życie.

O ile jednak ogólna wiedza o zależnościach jest dość powszechna, o tyle już podstawy budowania jej pozostają często ograniczone – na ogół do kwestii gospodarczych (chleb nasz powszedni) i strategicznych (gry wojenne zapładniające wyobraźnię). Z tych świeżo wyprodukowanych klocków układa się jednak obraz bardzo niekompletny. Dlaczego? Bo przeszłość w Azji, a dokładniej Azji Środkowej i Wschodniej – a o niej traktuje właśnie książka „Święty ład" – wciąż żyje. Co więcej, ukształtowały ją cywilizacje zupełnie nieprzystające do naszych, zachodnich kategorii państwowości, suwerenności i integralności terytorialnej, opartych na porządku westfalskim. Porządku, w którym tkwimy tak mocno, że samo szukanie adekwatnych pojęć na opis bytów politycznych Azji nastręcza nie lada problemów. Cóż bardziej naturalnego niż państwo? – zdaje nam się po latach edukacji. Zapominamy jednak, że Azję Środkową i Wschodnią formowały trzy współistniejące na jednym obszarze i przenikające się kręgi cywilizacyjne – chiński, mongolski i buddyzmu tybetańskiego. Na dodatek każdy z nich zachował przez wieki swoją odrębność, co do dziś skutkuje skrajnie odmiennymi narracjami o wspólnej historii. Praca, będąca owocem pięcioletnich badań międzynarodowego zespołu wybitnych specjalistów, analizujących źródła mongolskie, tybetańskie, mandżurskie, chińskie, wietnamskie, perskie, koreańskie, japońskie, opowiada historię tej części świata, posługując się kategoriami dla niej właściwymi i pokazuje, jak rzutuje to na obecne konflikty, napięcia i aspiracje narodów oraz społeczności azjatyckich. Tych, które wpisują się dziś w model państwowości i stosunków międzynarodowych, i tych, które pozostają poza tymi kategoriami. Bez wiedzy, jaką przynosi „Święty ład", nie zrozumiemy, dlaczego ateistyczna Komunistyczna Partia Chin rości sobie prawo do wskazania kolejnej reinkarnacji XIV Dalajlamy, na czym polegają konflikty o wyspy na Morzu Południowochińskim ani co stoi za inicjatywą Nowego Jedwabnego Szlaku i dlaczego chęć odtworzenia (w nowej formie) przez władcę z Pekinu systemu trybutarnego winna budzić naszą wzmożoną czujność...



„Święty ład. Stosunki międzynarodowe w Azji od czasów Czyngis-chana", praca zbiorowa pod red. Timothy'ego Brooka, Michaela van Walta van Praaga i Miek Boltjes, przekład Józef Pawłowski, PIW, 2020

Dzieciaki ze Lwowa

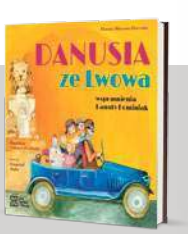


GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Dwie książki, dwie historie, dwoje dzieci – co je łączy? Lwów – miasto, w którym Danusia i Jędrek przyszli na świat w latach 30. XX w.

Poza wspólnym miejscem urodzenia nic ich nie łączyło. „Danusia ze Lwowa" to historia Danuty Kominek oparta na jej relacji złożonej w Domu Spotkań z Historią, wydawcy książki. Jest to pierwsza pozycja w serii „Historia mówiona dzieciom". W krótkich opowieściach pojawiają się historia jej rodziny, wspomnienia szkolne i wakacyjne. Szczęśliwe dzieciństwo zostało przerwane przez wojnę. Danusia trafiła do łagru i, jak sama mówi: „Już nigdy nie mogłam wrócić do medycyny ani skończyć muzyki – po czterech latach rąbania drewna w lesie...".

Nieco inną historię opowiada Andrzej Perepeczko w książce „Jędruś. Chłopak ze Lwowa" wydanej w serii „Wojny dorosłych – historie dzieci" przez wydawnictwo Literatura. Jak sam pisze: „Urodziłem się dość dawno w jednym z najpiękniejszych, a na pewno najweselszych miast przedwojennej Polski. [...] Między innymi z tego powodu moje życie zapowiadało się wesoło i szczęśliwie...". Jędrek rozpoczyna swoją opowieść od dziadka, który ukształtował jego tożsamość. Podobnie jak Danuta opisuje swoje beztroskie dzieciństwo we Lwowie, wakacje spędzane z rodzicami i siostrą, perypetie szkolne. Rodzina Jędrka trafiła do Modlina w związku ze służbą wojskową ojca. Tam zastała ich II wojna światowa. Ojcu udało się przedostać na Zachód, gdzie walczył w polskiej armii u boku gen. Maczka. Natomiast Andrzej z matką i siostrą dzielili losy wielu polskich rodzin żyjących w Generalnym Gubernatorstwie. Nie brak również wątków konspiracyjnych związanych z zaangażowaniem matki oraz szaroszeregową działalnością tytułowego bohatera. Uzupełnieniem są archiwalne fotografie autora z okresu dziecięcego i z czasów powojennych – wszak Jędrek to Andrzej Perepeczko, marynarz, ale także autor wielu książek dla dzieci i młodzieży, m.in. serii o Dzikiej Mrówce. Na uwagę zasługują ilustracje podkreślające charakter tej bardzo dobrze napisanej, pełnej ciekawostek i przygód historii.



Magdalena Czerwiec-Pichlińska, „Danusia ze Lwowa", DSH 2018, 6+



Andrzej Perepeczko, „Jędruś chłopak ze Lwowa", Literatura, 2019, 8+

eprasa.pl bb51fa83aa

„A TYMCZASEM CHŁOP, JAK BYŁ GŁUPI, TAK JEST, I NIM MY SIĘ TU WYKŁÓCIM, SPRZĄTNIE GO NAM SPRZED NOSA TAKA IDEA, CO TO W SMAK NIE PÓJDZIE NIKOMU, A I JEGO BIEDAKA ZGUBI”

PIERWSZA DAMA ŻURNALISTYKI WILEŃSKIEJ



Władysław Czachórski, „Dama w kapeluszu”. Portret Heleny Romerówny



JOANNA PUCHALSKA

Słowa te, piętnujące zaniedbania względem wsi i już w 1908 r. proroczo zapowiadające nieszczęście bolszewizmu, kazała wypowiedzieć jednej z postaci ze swojej powieści „Majaki” Helena Romer-Ochenkowska. Literatka, dziennikarka, działaczka oświatowa i społeczna. Niepokorna indywidualistka.

Pradziad jej, Michał Romer, był prezydentem Wilna w 1812 r. i marszałkiem szlachty. Dziadek, Edward Romer, uczył się malarstwa u Jana Rustema, brał udział w powstaniu listopadowym i w spisku Szymona Konarskiego, a podczas powstania styczniowego przebywał w areszcie domowym. Ojciec, Alfred Romer, z wykształcenia prawnik i też malarz, za powstanie styczniowe odsiedział wyrok w twierdzy w Dyneburgu. Tacy przodkowie do czegoś zobowiązują.

Litwinka w Krakowie

Helena urodziła się w 1875 r. w Wilnie. Jako nastoletnia panna mieszkała kilka lat z rodzicami w Krakowie, tu chodziła na pensję i widziała rozkwit Młodej Polski. Jej sztambuch z tego okresu zawiera wpisy znanych osób: Mieczysława Karłowicza (ciotecznego brata), Józefa Blizińskiego, Edwarda Pawłowicza, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Włodzimierza Perzyńskiego czy Henryka Sienkiewicza. Autor Trylogii pozował jej ojcu do portretu i w czasie tego pozowania czytał głośno „Tę trzecią”. Helena wspominała później, jak obie z matką zaśmiewały się z humoreski, a skupiony na pracy ojciec „się tylko uśmiechał poniewczasie, gorsząc tym autora niepomiernie”.

Polka na Litwie

Pensję ukończyła z wyróżnieniem, wróciła na Litwę i od razu zajęła się nie zawsze prawomyślną działalnością. Zakładała tajne szkoły i biblioteki obiegowe, organizowała przedstawienia teatralne. Małżeństwo z Henrykiem Ochenkowskim trwało krótko. Po rozstaniu dwa lata spędziła w Paryżu i w Belgii, skąd nadsyłała korespondencje do „Kuriera Warszawskiego”.

Po powrocie zaangażowana w sprawy niepodległości, jeździła z Wilna do Krakowa, woziła broń, rozkazy, listy i pieniądze. Poznała tam Józefa Piłsudskiego. Ogromne wrażenie zrobił na niej. Pisze: „Byłam wierna od chwili, gdy go poznałam w Krakowie w 1912 r. i zajrzałam mu w te nasze litewskie oczy. Przypominał mi dziadka i ojca, coś najdroższego i najgłębszego”.

W latach 1915–1916 wykładała w Wilnie na kursach dla dorosłych historię Polski, a na Uniwersytecie Ludowym im. Adama Mickiewicza – język polski. W latach 1916–1917 mieszkała w Warszawie, publikowała teksty w „Tygodniku Ilustrowanym” i w „Bluszczu”. Pierwszy utwór literacki wydała jeszcze w 1904 r. Była to historyczna sztuka wierszem „Karylla, czyli miłość patriotyczna”. Kolejne publikacje to podręcznik geografii „Co jest na niebie i na ziemi” oraz napisany na podstawie własnych doświadczeń poradnik „Rady dla nauczycieli wiejskich”. W 1919 r. wyszły kolejne książki: „Historia dwu obrazów. Częstochowa i Ostra Brama”, „Krótka historia oświaty na Litwie i Białej Rusi” oraz przewodnik „Wilno”. Była autorką innych popularnych opracowań historycznych, pisała też dramaty, komedyjki dla dzieci, powieści i opowiadania.

Nie da się żyć bez Wilna

W 1919 r. wznowił działalność Uniwersytet Stefana Batorego, z całego kraju napływała kadra profesorska i wraz z tym

FOT. DOMENA PUBLICZNA; SZTUKA.AGRAART.PL

eprasa.pl bb51fa83aa

intelektualnym boomem dynamicznie rozwijała się prasa. W Wilnie swoje gazety wydawały nie tylko poszczególne opcje polityczne, lecz i mniejszości narodowe. W latach 1920–1922 Helena Romer wraz z Kazimierzem Okuliczem współredagowała „Gazetę Krajową". Pismo zostało wykupione przez konserwatystów i w sierpniu 1922 r. zmieniło nazwę na „Słowo", a naczelnym został Stanisław Cat-Mackiewicz. Była to bardzo silna osobowość, bezkompromisowy przeciwnik wszystkiego, co choćby otarło się o lewicowość. Wokół „Słowa" gromadził ciekawych ludzi i najlepsze pióra. Z pismem współpracował m.in. Michał Kryspin Pawlikowski, autor słynnego „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego". Wstępniaki Cata były perełkami dziennikarstwa politycznego.

Nie da się wytrzymać z Catem

Helena, która prowadziła w „Słowie" dział recenzji teatralnych i zamieszczała tam inne swoje artykuły, nie była zachwycona nowym szefem, choć ceniła go jako dziennikarza. Zaczęły się konflikty. On zajadły konserwatysta, ona demokratka głosząca hasła umiarkowanie lewicowe. Zbyt silne i zbyt niezależne osobowości reprezentowali, toteż nie mogli się dogadać, choć łączyła ich idea „krajowości", zakładająca odrębność kulturową ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego z prawem do swobodnego rozwoju poszczególnych grup narodowościowych na zasadzie równouprawnienia. W 1925 r. Helena ostatecznie odeszła z redakcji i nawiązała stałą współpracę z konkurencyjnym „Kurierem Wileńskim" Kazimierza Okulicza. Pisała recenzje teatralne i literackie, artykuły polemiczne, felietony, opowiadania. Publikowała nie tylko w Wilnie, lecz także w innych miastach, chętnie w prasie kobiecej. Cat-Mackiewicz ją szanował, nazwał świetną pisarką i nestorzycą publicystyki wileńskiej, ale też wymawiał zbyt radykalne przekonania. Ona zaś uczciwie przyznawała, że „Słowo" jest gazetą lepiej redagowaną i atrakcyjniejszą dla czytelników, ale już tam nie wróciła i do wybuchu wojny pisała w „Kurierze".

Walka o hejnał

W 1927 r. ta zagorzała orędowniczka „tutejszości" rozpętała wojnę o hejnał. Od 1919 r. grano z wieży katedralnej „Rotę" Konopnickiej, a Helena uważała, że należy ją zastąpić pieśnią maryjną „Witaj Panno nieustanną czcią wszystkich ludzi" z muzyką Stanisława Moniuszki, śpiewaną od dawna przy odsłanianiu cudownego obrazu. Argumentowała, że jest to „melodia wileńska, odwieczna, którą zna każdy od najprostszej baby do najwyższych władz", „Rota" została zaś napisana dla zaboru pruskiego. „Co lud Wileńszczyzny może wiedzieć o Konopnickiej, o rzucaniu ziemi, skąd nasz ród, kiedy go nikt stąd nie wyrzucał, o szczepie Piastowym, którym nie jest itd." – pytała dramatycznie na łamach „Kuriera Wileńskiego". Mimo protestów środowisk katolickich, obawiających się zeświecczenia pieśni religijnej, i dzięki poparciu słuchaczy Polskiego Radia w Wilnie dwuletnią batalię wygrała Helena. Hejnał zmieniono.

To się czyta

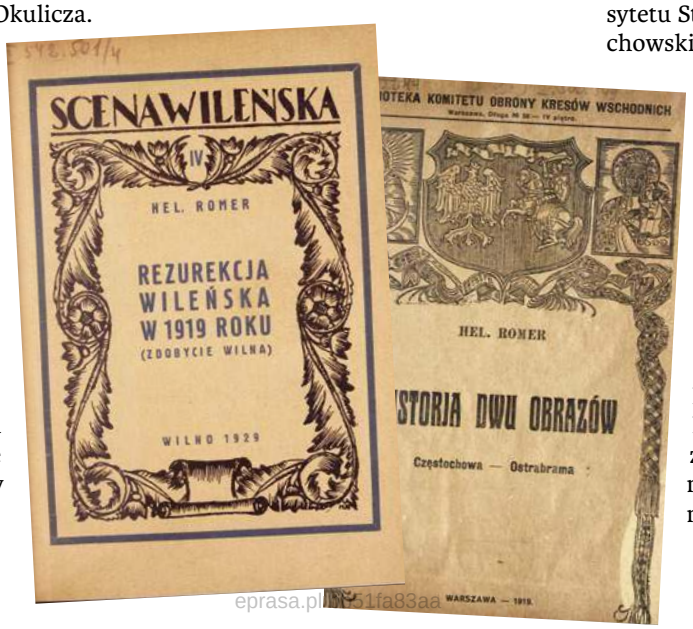
Pióro miała lekkie, bohaterów opowiadań oraz powieści traktowała z ciepłym humorem i z wyrozumiałością, wiernie oddawała realia. Niemniej trochę racji miał krytyk Leon Piwiński, kiedy napisał o jej utworach, że największą wadą jest gadatliwość autorki. Rzeczywiście trafiają się nużące nieco opisy przyrody czy przydługie wstępy do zawiązania akcji. Za to dobrze wygląda stylizacja językowa – zapis polszczyzny, jaką mówiono na tych ziemiach, z lituanizmami, białorutenizmami i rusycyzmami. Zabieg ten, podobnie jak w „Nadberezyńcach" Czarnyszewicza, przekonująco buduje „kresowy nastrój". Dobre są też dramaturgia i pomysły na fabułę. W opowiadaniu „Jahadka" ciepło i niemal z czułością snuta jest historia „przygłupiej" dobrodusznej wiejskiej dziewczyny niecnie wykorzystywanej przez mężczyzn. W „Starym człowieku" sędziwy weteran powstania styczniowego i zesłaniec spotyka wiejskie dzieci, które w tajemnicy uczą się czytać po polsku, i teraz już wie, że może spokojnie odejść na wieczną wartę. W humorystycznym opowiadaniu „Jaką to Niemiec kolacją utraktował Panią Pukścinowiczową" czytamy o tym, jak wojskowy niemiecki kucharz zaprosił ochmistrzynię dworu na wytworną wieczerzę i poczęstował ją... psiną. Z kolei wstrząsający jest w „Śmierci burżujom" obraz rabowania dworu w 1920 r., widziany oczami chłopa aktywnie uczestniczącego w dewastacji.

Przedstawicielka ważnego dla Litwy rodu Romerów nie boi się krytykować klasy ziemiańskiej, ale nie ma w tym ideologii, tylko troska. Nie idealizuje chłopów, są brudni, prymitywni i zabobonni. Niedoinwestowaną edukacyjnie wieś pokazuje ze smutkiem z takiego stanu rzeczy.

„Chmur jak w Wilnie w żadnym nie ma kraju"

Z okazji 10-lecia odrodzenia Polski, w listopadzie 1929 r. otrzymała Krzyż Oficerski Orderu „Polonia Restituta" za działalność polityczną, społeczną i oświatową. W 1931 r. w Związku Literatów obchodziła 25-lecie pracy dziennikarskiej. Uroczystości przewodniczył profesor i wcześniejszy rektor Uniwersytetu Stefana Batorego Marian Zdziechowski, który powiedział o niej, że z domu wyniosła „umiłowanie ojczystego kraju z jego naturą i ludźmi, głębokim odczuciem tzw. tutejszości".

Wojnę spędziła na Wileńszczyźnie i w samym Wilnie. W 1945 r. zmuszona została do ekspatriacji. Przyjechała do Torunia, gdzie przeżyła zaledwie dwa lata. Bolesne było rozstanie z ukochanym miastem. Napisała, że opuszczając Wilno, Polacy opuszczali 600 lat swego życia. Dodała też: „Kochałam to miasto jak człowieka. Żyło dla mnie, a ja dla niego".



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl/51fa83aa



Francisco de Zurbarán, „Święty Hugh w refektarzu kartuzów"

PROFESORSKIE WZORCE

ROZMACH NOWOŻYTNYCH PRZYJĘĆ KIERMASZOWYCH BYŁ DLA PROFESORÓW AKADEMII KRAKOWSKIEJ ODEJŚCIEM OD NORMY I ZACHWIANIEM REGUŁ ŻYCIA CODZIENNEGO



KRZYSZTOF ŻARYN

W poprzednim numerze „wSieci Historii" opisałem doroczny zwyczaj wydawania obiadów kiermaszowych. Uderzyła mnie doniosłość tego wydarzenia oraz obfitość potraw tam serwowanych. Można odnieść wrażenie, że zaproszeni tam goście byli biesiadnikami o dużej skłonności do przesadnego jedzenia i picia. Jednak, jako że nie ocenia się książki po okładce, tak samo na podstawie jednego wydarzenia nie powinno się oceniać skłonności konsumpcyjnych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. A przeczytawszy dalszą część książki dr. Antoniego Karbowiaka „Obiady profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w XVI i XVII wieku", mamy szansę na sprawiedliwy ogląd. Dowiadujemy się z niej, jakie dania były serwowane w pozostałe dni świąteczne, oraz otrzymujemy ogólnikowy opis codzienności. Czekają nas bardzo ciekawe obserwacje i wnioski.

Duchowni bez luksusów

Na początku autor zaznacza pewien bardzo ważny fakt. A mianowicie znakomitą większość profesorów Uniwersytetu z opisywanego okresu stanowili duchowni. Często byli oni członkami zakonów zgromadzonymi we wspólnych miejscach zamieszkania oraz poddanymi rytuałom dnia codziennego. Tylko nieliczni znajdowali się w stanie świeckim i ci mieli oczywiście większą swobodę, ale zależną też od stanu majątkowego.

Zakonnicy w codzienności nie mogli pozwalać sobie na taką „rozpustę" jak w czasie obiadów kiermaszowych. Pamiętać trzeba zresztą o tym, że tylko wybrani bywali na tej uroczystości. Znaczna większość była zobligowana do skromnego i pełnego ascezy życia. Już sam opis warunków mieszkaniowych pokazuje, że o luksusach nie mogło być mowy. Skromne pokoiki, które często musiały być nawet dzielone przez dwie osoby, wyposażone były w łóżko lub dwa, mały stolik z krzesłami oraz półkę na książki. I to był cały zestaw mebli, który miał wystarczyć na co dzień oraz dawać możliwość rozlokowania swego dobytku.

Zapis na śniadania i zupy

Do rozmachu, z jakim żyli, przyrównać możemy ich codzienną kuchnię. Przede wszystkim autor podkreśla małą dostępność jedzenia. Zakonni profesorowie nie

FOT. MUZEUM SZTUK PIĘKNYCH W SEWILLI; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl bb51fa83aa

mieli przecież ciągłej możliwości pogryzania przeróżnych smakołyków. Mieli stałe pory jadania, które zresztą nie pokrywały się z ogólnie dziś przyjętymi. Spożywali obiad i kolację. Posiłki zaś zamykały się w dwóch bardziej obfitych daniach, przy czym ta obfitość odnosi się raczej do uzyskania sytości konsumenta niż do wystawności i przepychu menu. Dr Antoni Karbowiak nie wyklucza oczywiście, że mogły się zdarzać również śniadania, jednak nie znalazł na ten temat żadnych danych. Raczej nie były one posiłkami nadmiernie sytymi, a już na pewno nie były warte wzmianki w źródłach zachowanych do dziś. Prawdopodobnie w przeciwieństwie do wieczornych wspólnych biesiad śniadania jadano zazwyczaj w odosobnieniu. A posiłki pośrednie, takie jak drugie śniadanie czy podwieczorek, w ogóle nie miały racji bytu.

Autor podkreśla, że taka częstotliwość przyjmowania pokarmów stosowana była również w czasach jemu współczesnych. Porównuje też zmieniającą się przez wieki jakość potraw. Najbardziej drastyczna zmiana nastąpiła w podejściu do dań zupnych czy polewek. Drastyczna, ponieważ dotyczyła ich być albo nie być. Jak na przełomie XIX i XX w. czy w czasach nam współczesnych zupy są nierozerwalną częścią prawdziwego obiadu, tak w XVI i XVII w. profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego odeszli od zwyczaju ich podawania. Pojawiać się mogły okazjonalnie w porach kolacji, ale w formach dużo bardziej gęstych niż nawet znane nam dziś kremy. Na pewno nie było regułą jedzenie zupy jako dania rozpoczynającego obiad. W miejsce zup i polewek wprowadzano potrawy z mięsa gotowanego oraz sosy.

O materialnych podstawach świętowania

W drugiej części „Obiadów profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego XVI i XVII wieku" podkreślane jest kilka razy, że posiłki oraz życie codzienne bohaterów tego wywodu były nad wyraz skromne. Jedynie kilka wydarzeń w roku objętych swego rodzaju dyspensą dawało możliwość rozkoszowania się pewnymi rarytasami i odstąpienia od codziennej kuchni.

Autor podkreśla również małe zasoby finansowe, którymi dysponowali duchowni nauczyciele. Zdecydowanie nie ułatwiało to rozszerzania codziennej diety. Jednak duchowni nauczeni doboduszności i empatii nie pozostawiali swoich towarzyszy samym sobie. Księża, którzy kończyli swój żywot, w dużej mierze przekazywali swoje pozostałości dochodowe na poczet wspomagania uczt profesorskich.

Na koniec książki dr Karbowiak przedstawia listę nazwisk duchownych, którzy przyczynili się do zwiększenia objętości kasy zakonnej, oraz cel, na jaki te finanse wykorzystywano. Dzięki tym dotacjom poszczególne wydarzenia świąteczne mogły być obchodzone w bardziej dostojnych warunkach niż codzienne.

W cyklu rocznym

W rozdziale „Obiady świąteczne i inne profesorów krakowskich z Kolegium Większego w drugiej połowie XVII w." dowiadujemy się, jakie konkretnie dania serwowano w czasie konkretnych uroczystości. Spis ten zawdzięczamy Marcinowi Gilewskiemu – profesorowi i dziekanowi kolegiaty św. Floriana, który sporządził go w pierwszej części XVII w. Przedstawionych jest tam wiele wydarzeń kościelnych, więc przytoczę tylko kilka z nich. Opis rozpoczyna się od obrządku uczczenia nowego roku pańskiego. Na to wydarzenie zapraszano do Kolegium Większego profesora astronomii, który – jak mniemam – był powiązany ze zmianami kalendarzowymi i była to swego rodzaju kurtuazja. Podkreślam, że jest to tylko moja interpretacja. Ośmielam się taką poczynić ze względu na przedstawione warunki przyjęcia. Autor zaznacza, że w tym czasie posiłki nie różniły się znacznie od tych w codzienności. Jedynie podawano kiełbasy oraz kiszki i głowę wieprzową. Gość mógł również skorzystać ze szklanicy piwa. On z kolei zobowiązywał się do przyniesienia nowego kalendarza, za który otrzymywał 60 groszy.

Zdecydowanie większy rozmach widoczny był przy ważniejszych świętach kościelnych. Np. taki opis przedstawiony jest à propos podejścia do święta Objawienia Pańskiego: „W uroczystość Trzech Króli dawano na obiad nadzwyczajne dania. Prepozyt dostawał ze szkatuły kolegialnej 6 złotych i kupował sarnę lub zajęce. Najprzód podawano w tym dniu na obiad mięso wołowe z położonemi na niem kiełbasami i kiszkami, dalej głowę wieprzową z racicami, następnie zajęce lub co innego, nareszcie jarzynę jakąś z pieczenią cielęcą. Podskarbi kupował na ten dzień pół naczynia piwa, dziekan wydziału filozoficznego ofiarowywał według zwyczaju na ten dzień trzy garnce wina, resztę dawali profesorowie każdy według swej szczodrobliwości". Widać, że w tej sytuacji raczej nie ma mowy o przesadnej skromności.

Autor przedstawia również zmiany wynikające z konieczności przestrzegania postu. Okres wielkopostny opisany jest dość dokładnie. Przez wszystkie poniedziałki tego okresu profesorowie mogli liczyć na zupę z maku, ryby z szafranem oraz kapustę. W środy z kolei podawano barszcz oraz ryby pieczone. W piątki



same dania płynne: zupa grochowa lub owsiana. W Wielkim Tygodniu restrykcje były znacznie większe. I np. w Wielki Piątek obiad w ogóle nie był przewidziany.

Z tych krótkich relacji można wywnioskować, że rozmach przyjęć kiermaszowych był zdecydowanie odejściem od normy i zachwianiem reguły. Profesorowie uczelni, w większości zakonnicy, na co dzień byli nauczeni zadecydowanie innego standardu życia. U nich więc jednorazowa uczta raczej nie pozostawiała śladów zdrowotnych. Możemy odnieść ten przykład do naszej codzienności. Bardzo często traktujemy model żywienia bardzo zero-jedynkowo. Albo przestrzegamy zasad bardzo restrykcyjnie, niemal wpędzając się w stan głodówki, albo w ogóle nie zwracamy uwagi na to, co jemy. Trzeba wziąć lekcję z profesorskich nawyków i patrzeć na swoje codzienne żywienie, ograniczając się w nadmiernym jedzeniu i piciu. Ale z drugiej strony pamiętać o tym, że odstępstwa zdarzają się i będą zdarzać każdemu. Trzeba nauczyć się jedzenia adekwatnego do zaistniałej sytuacji, z maksymalnym utrzymaniem prawidłowości żywieniowych w codzienności.

eprasa.pl bb51fa83aa



KACPER GROCHOCKI



MITSUBISHI G4M, CZYLI LATAJĄCE CYGARO

BOMBOWCE MITSUBISHI G4M BYŁY ISTOTNĄ CZĘŚCIĄ JAPOŃSKIEJ MACHINY WOJENNEJ

Atak na amerykańską bazę Pearl Harbor przeprowadzony przez Japończyków 7 grudnia 1941 r. otworzył działania wojenne na Pacyfiku. Główną rolę odgrywać tam miało, obok marynarki wojennej, lotnictwo. Jednak do czasu włączenia się Cesarstwa Japonii w wojnę jego siły powietrzne były przez przyszłych przeciwników bagatelizowane. Samoloty z Kraju Kwitnącej Wiśni uważano za przestarzałe bądź nieudolnie kopiowane ze wzorców zachodnich, budowane z ryżu i bambusa. I choć stwierdzeniom tym przeczyły raporty nadsyłane z trwającego od 1937 r. konfliktu Chin z Japonią, były one ignorowane. Dlatego nieprzyjemnym zaskoczeniem dla aliantów okazało się zetknięcie np. z konstrukcjami firmy Mitsubishi – myśliwcem Zero czy bombowcem dalekiego zasięgu G4M.

Dowództwo japońskiej marynarki wojennej przed wojną zakładało, że do głównego starcia z wrogiem dojdzie w ramach dużej bitwy. Przewidywało jednocześnie, że dysponować będzie mniejszymi siłami morskimi od przeciwnika, wobec czego należy wciągnąć nieprzyjacielskie siły bliżej swojego terytorium, a po drodze uszczuplić jego zasoby. Jednym z narzędzi, które miały wykonać to zadanie, były samoloty bombowo-torpedowe. Pierwszą nowoczesną konstrukcją tego typu był model Mitsubishi G3M sprawdzony już w czasie działań w Chinach. Bardzo szybko jednak zdecydowano o poszukiwaniu jego następcy.

Już we wrześniu 1937 r. określono wymagania techniczne dla nowego bombowca. Miał mieć zasięg przynajmniej 2,6 tys. mil morskich (ponad 4,8 tys. km) dla lotu rozpoznawczego oraz 2 tys. mil morskich dla lotu bojowego (ponad 3,7 tys. km) z 800-kilogramową torpedą lub równoważnym ładunkiem bomb. Jednocześnie oczekiwano prędkości maksymalnej przynajmniej na poziomie 398 km/h na pułapie 3000 m. Uzbrojenie miało być podobne jak w G3M – działko 20 mm oraz 4 karabiny maszynowe kal. 7,7 mm, a załoga liczyć 7–9 osób.

Szybko się okazało, że spełnienie specyfikacji będzie wymagało znacznej zmiany projektu względem poprzednika. Priorytetem dla dowództwa był zasięg samolotu i pod to kryterium tworzono nową konstrukcję. Otrzymała ona aerodynamiczny, cylindryczny kształt, stąd też nazwa Hamaki, czyli cygaro. Maszyna miała duże wymiary – niemal 25 m rozpiętości skrzydeł i 20 m długości, pierwotnie zespół projektowy chciał bowiem stworzyć samolot czterosilnikowy, lecz sprzeciwili się temu wojskowi decydenci, by nie zwiększać masy konstrukcji. Z tego powodu zrezygnowano z opancerzonych i samouszczelniających się zbiorników paliwa. Ustępstwo to okazało się dużym błędem i największą bolączką samolotu G4M. Pod ostrzałem łatwo ulegał on zapłonowi, przez co uzyskał wśród Amerykanów, obok nazwy kodowej Betty, przydomki takie jak „latająca zapalniczka" czy „pochodnia".

Prototyp Mitsubishi G4M został oblatany w październiku 1939 r. Do uzbrojenia został przyjęty w kwietniu 1941 r., a miesiąc później rozpoczęto produkcję seryjną. Samolot był średniopłatem o metalowej konstrukcji skorupowej. Jednostki napędowe stanowiły silniki Mitsubishi Kasei o mocy 1530 KM każdy. Długi czas pomiędzy oblataniem prototypu a rozpoczęciem produkcji wynikał z testowania samolotu jako ciężkiego myśliwca eskortującego oraz zapotrzebowania na ciągłe dostawy innych maszyn koniecznych na froncie chińskim. Łącznie powstało niespełna 2,5 tys. samolotów Hamaki w różnych wersjach rozwojowych.

G4M służył w armii japońskiej przez całą II wojnę światową. Jednym z jego największych sukcesów było zatopienie 10 grudnia 1941 r. nowoczesnego brytyjskiego pancernika HMS Prince of Wales oraz krążownika liniowego HMS Repulse. Był to dotkliwy cios dla Royal Navy. Maszyny te brały także udział w zatopieniu amerykańskiego ciężkiego krążownika USS Chicago w styczniu 1943 r.

Mitsubishi G4M był konstrukcją stricte ofensywną, która dzięki ogromnemu zasięgowi mogła zaskakiwać przeciwnika na dużym terytorium. Jednak jego podatność na zapłon oraz braki w opancerzeniu sprawiały, że bez osłony myśliwców stawał się łatwym łupem dla samolotów przeciwnika.

FOT. IMPERIAL JAPANESE NAVY

eprasa.pl bb51fa83aa



„The Crown"

CHRISTIANITAS AETERNA

Mój teleranking



MAREK JUREK

Kultura masowa kształtuje świadomość społeczną nie mniej niż szkoła. Czytając więc rankingi seriali, postanowiłem sam przedstawić kilka, które naprawdę warto obejrzeć, z pożytkiem dla serca i umysłu. Kwarantanna się skończyła, ale mogą być inne okazje.

Zrealizowany dwa lata temu krótki trzyodcinkowy serial „Spisek prochowy" („Gunpowder"), o prześladowaniach Kościoła w czasach angielskiej reformacji, wiernie pokazuje dojmującą dyskryminację, a właściwie wykluczenie katolików ze społeczeństwa. Skazywanie ich na ustawiczne poniżenia, na wywłaszczeniowe grzywny za wierność prawdziwej religii, a na śmierć za jej nielegalne praktykowanie. Serial o tyle ważny, że nawiązujący do wydarzenia stanowiącego w protestanckiej kulturze angielskiej symbol „papistowskiego fanatyzmu". Tymczasem oglądamy w nim zrozpaczonych, szlachetnych ludzi, targanych dramatycznymi moralnymi dylematami, dokonujących różnych wyborów, choć dzielących ten sam los.

I – bez zamiaru sztucznej równowagi – trzeci sezon „The Crown", o monarchii Windsorów. Bardzo dobrze pokazujący, że choć monarchia pozostaje jedynie pamiątką (bo już nie żywym czynnikiem cywilizacji chrześcijańskiej), jest ciągle doniosłym składnikiem świadomości narodowej. Sama w sobie wyraża ciągłość, obowiązek, państwo, kulturę narodową, więc najważniejsze wartości naturalne. Władza to nie wszystko, nie na niej kończy się życie narodowe. Król (czy w tym wypadku królowa) reprezentuje, najdosłowniej uosabia, państwo. Ojczyzna zyskuje materialną postać i nie są nią walki polityków o władzę. Bo monarchia to fenomen bardziej społeczny niż polityczny. To ona czyni naród rodziną.

O rodzinie mówi też świetny izraelski serial „Shtisel". Pokazuje życie ortodoksyjnych wspólnot we współczesnej Jerozolimie. Ich codzienny wysiłek wierności i przekazu wiary, mimo wszystkich otwartych ataków i dyskretnie przychodzących pokus nowoczesności. Wiele z tych problemów ma najzupełniej uniwersalny kontekst, niezależny od żydowskiej odrębności. Sama odrębność nie gwarantuje wierności, ta jest ciągłym wysiłkiem dawania pierwszeństwa wymogom wiary przed natrętnymi wymuszeniami „życia". Jednym z głównych motywów filmu jest zmiana pokoleń, która jednak nie musi być wywróceniem wartości, „konfliktem" ani tym bardziej destrukcją.

Inny charakter niż tamte filmy ma rosyjski „Trocki". Film ciekawy nie tylko ze względu na samą historię bolszewizmu, lecz i na sposób jej pokazywania we współczesnej Rosji. Trocki w tym filmie to prekursor współczesności. Spalany chorą ambicją podpalacz świata, uczący się i od Marksa, i od Freuda, najdosłowniej wyzuty z ludzkich uczuć – miłości, przyjaźni, przywiązania. Film teoretycznie od rewolucji bolszewickiej się odcina. W jego ostatnich sekwencjach pokazuje się wygnany z Rosji Iwan Iljin, wybitny neoheglistowski filozof, twórca rosyjskiego faszyzmu na emigracji, uznawany za duchowego mistrza Putina. I tu się robi przeskok – rozmowa Iljin–Trocki to jakby dialektyczna synteza rosyjskiej historii, która – na dobre i złe – pozostaje w centrum świata.

O współczesnym postkomunizmie traktują „Nieświadomi", czeski serial o grze wywiadów podczas aksamitnej rewolucji. Dobra lekcja realizmu, pokazująca samotność narodów Europy Środkowej i naszych antykomunistycznych dążeń. W filmie pojawia się powracający w wielu podobnych dziełach wątek samotnej, beznadziejnej walki o prawdę. Ale są też drobne motywy nadziei: natura ludzka, która sama kieruje nas ku prawdzie i solidarności.

I na koniec – choć o polskich filmach z reguły wiemy więcej – kolejny sezon naszej „Watahy". Bieszczady, Polska egzotyczna, gdzie sąsiadują ze sobą unickie i łacińskie kościoły, na granicy naszego świata, gdzie czuć już oddech posowieckiego Wschodu i gdzie można usłyszeć puls współczesnej historii. Chodzi bowiem o jeden z najważniejszych procesów współczesności, imigrację i towarzyszący jej nielegalny przemysł. Motywy heroiczne zaś zawsze będą potrzebne w kulturze, bo to one stale przypominają, że żyjemy dzięki poświęceniu innych.

Oczywiście telewizji można nie oglądać, i to też jest bardzo dobry wybór. Jeśli już jednak oglądamy – najlepiej szukać tego, co zobaczyć warto. Unikać trucizny i wiedzieć, co oglądają inni. Musimy sobie w tych sprawach radzić, bo przynajmniej połowa filmów, o których wyżej napisałem – nie doczekała się żadnej poważniejszej reklamy. Tym bardziej zasługuje na uwagę.



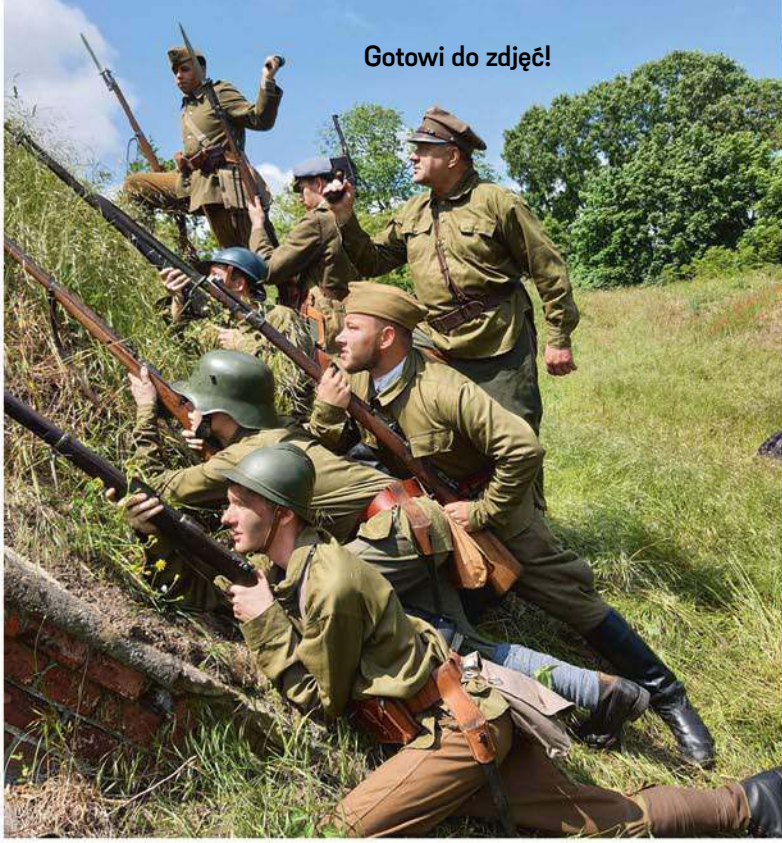
„Wataha"

FOT. MAT. PRASOWE

eprasa.pl bb51fa83aa



Fotograf Andrzej Wiktor instruuje (od lewej) Jacka Gradusa, Bartka Sasina oraz Mateusza Kacprzaka



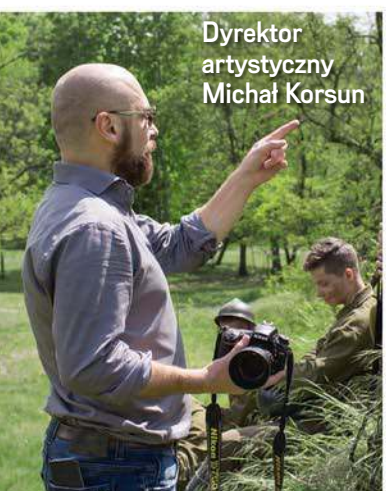
Gotowi do zdjęć!

Każda rocznica Bitwy Warszawskiej powinna być obchodzona hucznie nie tylko w Polsce, lecz również w całej Europie. Nazwana bowiem „Cudem nad Wisłą" uratowała nie tylko naszą ojczyznę przed utratą niepodległości, ale cały kontynent przed niszczycielską falą bolszewizmu. Liczebność wojsk polskich, które stanęły naprzeciw Armii Czerwonej, szacuje się na ponad 900 tys. żołnierzy, z czego 80 tys. stanowili ochotnicy. W samej Bitwie Warszawskiej wzięło udział ponad 100 tys. Polaków. W kraju, który dopiero co odzyskał niepodległość po 123 latach zaborów, żołnierze Wojska Polskiego nosili wyposażenie pochodzące z zasobów armii różnych krajów. Polacy szli na front w mundurach i uzbrojeniu pruskim, austro-węgierskim, francuskim, włoskim, amerykańskim, a nawet japońskim i chińskim. Jakby tego było mało, z Nowej Zelandii przypłynął statek z wojskowymi kapeluszami. Jednocześnie nasze oddziały potrzebowały ponad 40 rodzajów amunicji do broni strzeleckiej.

Taki miszmasz widać na zdjęciu z sesji okładkowej autorstwa Andrzeja Wiktora. W szeregi ochotników wcielili się rekonstruktorzy ze Zgrupowania „Radosław" oraz ze Stowarzyszenia Historyczno-Edukacyjnego im. 7 Pułku Lansjerów Nadwiślańskich. Podziękowania za cierpliwe pozowanie w trudnych, upalnych warunkach należą się dla Kacpra Tarnowskiego, Fryderyka Palonki-Manunzy, Bartłomieja i Juliana Sasinów oraz Mateusza i Macieja Kacprzaków. Oficera zagrał już zasłużony w naszych „bojach" okładkowych Jacek Gradus. Sesja odbyła się na Fortach Bema, na której terenie podczas wojny polsko-bolszewickiej szkolono właśnie ochotników przed wyjazdem na front...

Jeżeli Forty Bema, to Grill-Bar Forteczna, którego właściciel Piotr Klaybor użyczył wnętrz naszym rekonstruktorom do przebrania się i odpoczynku. Część broni historycznej do zdjęć udostępniło Muzeum Pamięci Powstania Warszawskiego powołane przez Stowarzyszenie Grupa Historyczna „Zgrupowanie Radosław". Tu warto poświęcić kilka słów tej placówce, która powinna się znaleźć na mapie niejednej wycieczki szkolnej. Wśród licznych eksponatów znajdujących się w zbiorach muzeum zobaczyć można unikatowe dokumenty, oryginalne elementy wyposażenia, uzbrojenia oraz umundurowania powstańców. Muzeum mieści się w dawnej Reducie Banku Polskiego przy ul. Daniłowiczowskiej 18B (przy siedzibie Wojskowego Przedsiębiorstwa Handlowego) – w miejscu ściśle związanym z przebiegiem powstania warszawskiego. Zwiedzanie muzeum jest na razie możliwe wyłącznie po uprzednim e-mailowym skontaktowaniu się z przedstawicielami stowarzyszenia i uzgodnieniu terminu: sgh.radoslaw44@gmail.com.

MICHAŁ KORSUN



Dyrektor artystyczny Michał Korsun



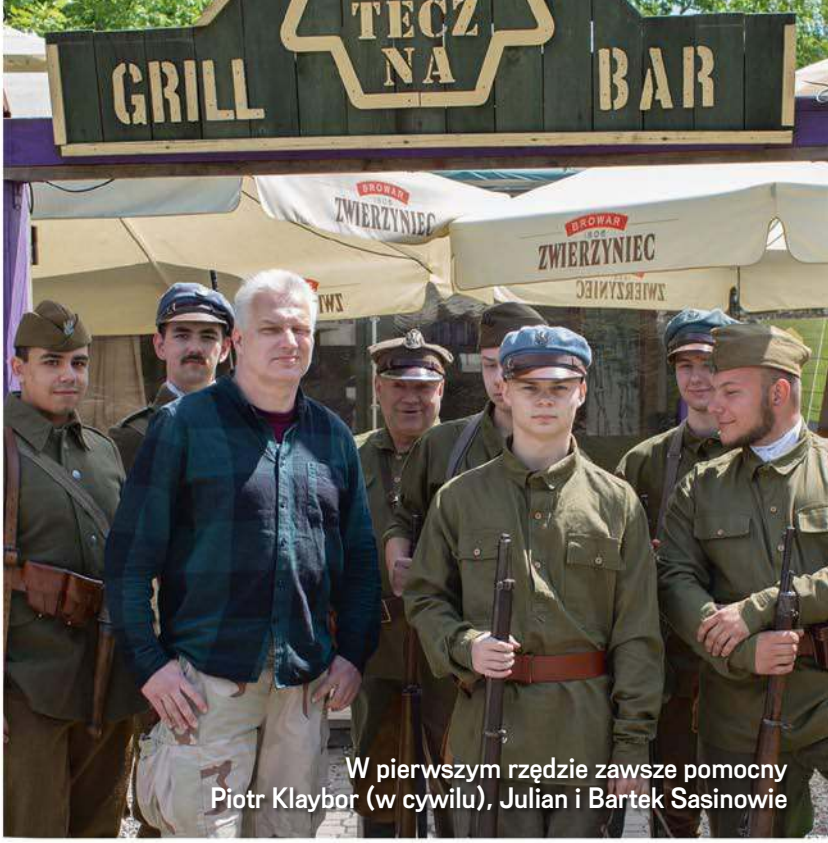
Maciej Kacprzak od Lansjerów



Jacek Gradus z Mauserem C96 (Stowarzyszenie Historyczno-Edukacyjne im. 7 Pułku Lansjerów Nadwiślańskich)



Z wąsem Kacper Tarnowski, bez wąsa Fryderyk Palonka-Manunza



W pierwszym rzędzie zawsze pomocny Piotr Klaybor (w cywilu), Julian i Bartek Sasinowie



Grzegorz Krynicki, przedstawiciel SGH Zgrupowanie „Radosław", prezentuje eksponaty Muzeum Pamięci Powstania Warszawskiego











PATRIOTYCZNA GRA KOMUNIKACYJNA

Wielkimi krokami zbliża się 76. już rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Tegoroczne obchody, ze względu na dotychczas niewyeliminowane zagrożenie ze strony ogólnoświatowej epidemii koronawirusa, z dużym prawdopodobieństwem będą musiały być zorganizowane z uwzględnieniem „społecznego dystansu".

W momencie powstawania tego tekstu jest jeszcze zbyt wcześnie, by istniały jakiekolwiek potwierdzone plany uroczystości, a i tak ze względu na rozwój sytuacji mogłyby one podlegać daleko idącym modyfikacjom. Trudno wyobrazić sobie, jak z zachowaniem obostrzeń sanitarnych będą wyglądały dotychczas wielotysięczne sierpniowe zgromadzenia Polaków – śpiewanie powstańczych piosenek na pl. Józefa Piłsudskiego czy spotkanie Powstańców z prezydentem RP w Muzeum Powstania Warszawskiego. Wszystkie punkty programu będą musiały zostać dostosowane do nowej rzeczywistości.

W tych warunkach niecodzienną formą uczczenia bohaterów sierpnia 1944 r. może być udział w „Patriotycznej grze komunikacyjnej" przygotowanej pięć lat temu przez zespół prof. Marka Cieciury ze Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Aby w niej uczestniczyć, potrzebne są: smartfon z aplikacją umożliwiającą odczytywanie kwadratowych kodów QR oraz pewna doza chęci i wolnego czasu.

Gra polega na docieraniu do miejsc związanych z niemiecką okupacją i Powstaniem Warszawskim i odczytywaniu umieszczonych tam kodów. Zeskanowanie każdego z nich powoduje otworzenie się strony internetowej poświęconej danej lokalizacji. Wszędzie tam umieszczono zdjęcie miejsca, w którym znajduje się tabliczka, obszerny opis wydarzeń rozegranych w danej lokalizacji lub życiorys bohatera, któremu punkt jest poświęcony. Teksty opatrzone są archiwalnymi fotografiami i dodatkowo komentarzami czytanymi przez lektora w języku polskim i, co wyjątkowo istotne, również po angielsku. Na końcu jest pięć pytań testowych, dzięki którym istnieje możliwość sprawdzenia stopnia przyswojenia przeczytanych treści.

Słowo gra samo w sobie sugeruje, że poza zabawą występuje tutaj również współzawodnictwo. Tak było w pierwszych trzech latach, czyli do roku 2018. Wówczas, dzięki wykorzystaniu systemu GPS, każde przybycie na punkt było potwierdzane w bazie danych. Zebrane w niej dane pozawalały wyłonić i nagrodzić zwycięzców każdej z trzech edycji. Obecnie nie ma możliwości zorganizowanego współzawodniczenia z innymi graczami, co w ni czym nie umniejsza edukacyjnych walorów przedsięwzięcia.

Wykaz wszystkich punktów gry znajduje się na stronie www.graedu.pl. Początkowo były 123 – rozmieszczone w całej Warszawie, przy czym najwięcej z nich, co oczywiste, umieszczono w centralnych dzielnicach, gdzie rozgrywały się główne działania w czasie powstania. Od startu gry do dziś organizatorzy dodali jeszcze 31 punktów w okolicach Warszawy na obszarze ograniczonym Siedlcami ze wschodu, Grójcem od południa, Sochaczewem z zachodu i Pułtuskiem od północy.

Każda z tabliczek jest łatwo dostępna i widoczna od razu po przybyciu na miejsce. Z różnych jednak względów – tabliczki z kodami QR nie są stale nadzorowane – może się okazać, że po przybyciu na miejsce punkt będzie uszkodzony lub usunięty. Trud dotarcia do danej lokalizacji nie pójdzie jednak na marne. Każda tabliczka jest umiejscowiona przy istniejącym pomniku, obelisku, grobie czy innej formie upamiętnienia Powstania Warszawskiego i jego bohaterów. Poza tym na stronie www.graedu.pl poza lokalizacjami wszystkich punktów znajdują się również ich opisy. W sytuacji awaryjnej można skorzystać z tego, mniej emocjonującego, sposobu dotarcia do obszernych informacji.

Udział w patriotycznej grze komunikacyjnej może wziąć każdy. Nie wymaga rejestrowania się ani innej formy zgłaszania udziału. Największym jej atutem jest możliwość uczestniczenia w dowolnie wybranej przez gracza porze i czasie. Bez znaczenia jest, czy na poszukiwania tabliczek wybierzemy się ciepłym letnim popołudniem, czy mroźnym zimowym porankiem. Tabliczki z kodami QR i ukryta za nimi wiedza zawsze będą czekały na ich odkrywanie.

Nowoczesna forma odczytywania informacji w połączeniu z tradycyjnymi upamiętnieniami wydarzeń i przemieszczaniem się po terenie całej Warszawy może być atrakcyjną propozycją dla młodzieży, która często mniej entuzjastycznie uczestniczy w oficjalnych obchodach państwowych. Warto o tym pamiętać, chcąc zarazić młodych ludzi pasją do naszej historii i szacunkiem do przodków walczących o naszą wolność.

PS. Pod adresem www.graedu.pl/sopot znajduje się siostrzana gra – jej punkty rozmieszczone są na terenie Sopotu.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl bb51fa83aa

SZTYLET KOMANDOSA

„NASZE SZKOLENIE DOBIEGAŁO KOŃCA. WYDANO NAM DŁUGIE NOŻE, TZW. FIGHTING KNIVES, O KSZTAŁCIE SZPIKULCA, TAKIE NOŻE MIELI ŻOŁNIERZE BRYTYJSCY Z JEDNOSTEK WYPADOWYCH". AUTOR TYCH SŁÓW, CICHOCIEMNY KPT. ALFRED PACZKOWSKI „WANIA", MIAŁ NA MYŚLI SZTYLET FAIRBAIRN-SYKES. EGZEMPLARZ TAKIEGO NOŻA ZNAJDUJE SIĘ W ZBIORACH MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. NIESTETY NIC O NIM NIE WIEMY POZA TYM, ŻE ZOSTAŁ WYPRODUKOWANY NAJPRAWDOPODOBNIEJ W 1941 r.



RAFAŁ BRODACKI

W 1940 r. do Wielkiej Brytanii przybyło dwóch nietuzinkowych ludzi: William Fairbairn i Eric Sykes. Obaj mieli za sobą służbę w Szanghaju, gdzie w bezpardonowy sposób walczyli z bandytyzmem. W Wielkiej Brytanii zostali skierowani jako instruktorzy do jednostek szkoleniowych podległych Kierownictwu Operacji Specjalnych (SOE). Trenowali m.in. polskich Cichociemnych.

Szczególną uwagę przykładali do walki przy użyciu noża, który uważali za morderczą broń. Opierając się na swoich doświadczeniach, pracowali nad własną konstrukcją i ostatecznie powstał nóż szturmowy Fairbairn-Sykes, który został przyjęty do służby w brytyjskiej armii w 1941 r. W następnym roku projekt przechodził jeszcze modyfikacje obejmujące m.in. zmianę wyglądu jelca, rękojeści i różnicowanie długości głowni. W opinii twórców doprowadziły one do utraty dobrego wyważenia.

Mimo to sztylet zaprojektowany przez Fairbairna i Sykesa zrobił zawrotną karierę. Nic dziwnego, bo był bardzo ostry, wytrzymały i dobrze leżał w dłoni. Zadana nim rana – głęboka i obficie krwawiąca – powodowała szybką śmierć. Idealnie także nadawał się do rzucania.

Początkowo trafił na wyposażenie brytyjskich komandosów. Szybko jednak sztylety te weszły w skład ekwipunku innych żołnierzy. Mieli je chociażby spadochroniarze z 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego, którzy skakali w okolicach Arnhem, oraz Samodzielnej Kompanii Grenadierów. Używali ich również Polacy z 1 Samodzielnej Kompanii Komandosów, którzy walczyli we Włoszech. Wydawano go także Cichociemnym. Używali go też Amerykanie.

Po wojnie projekt Fairbairna i Sykesa był wykorzystywany przez różne brytyjskie formacje. Do dziś jest on wręczany komandosom na zakończenie podstawowego szkolenia. Swoją wersję, dla jednostek Legii Cudzoziemskiej, opracowali także Francuzi. Obecnie zaś używają go m.in. żołnierze kambodżańskich sił specjalnych.



Nóż szturmowy Fairbairn-Sykes (wersja z 1941 r.), zbiory Muzeum Powstania Warszawskiego

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**